



- Ona się przyznaje, że rzuciła mu w głowę grubą książkę. masz nawet zeznanie na piśmie, porządnie przez nią

podpisane. Taki guz to jest na przykład poważne uszkodzenie ciała, będę jeszcze musiał zobaczyć raport lekarza. I ona jest w ciąży z Pieterem. A on nigdy nic dla niej nie zrobił, a co jej dał w prezencie, musiała mu oddać.



**Janwillem**



**van de**

**Wetering**

CZYTELNIK



**siła wyższa**

Janwillem  
**van de Wetering**

siła wyższa

przełożył z niderlandzkiego  
Andrzej Braga

**Czytelnik**  
**Warszawa 1982**

Gdy byłem mały, życzliwi wujowie i ciotki pytali mnie nieraz, kim chciałbym zostać. Miałem na to zawsze zdecydowaną odpowiedź. Chciałem zostać Indianinem, a w wolnych chwilach kowbojem.

Kiedy los, który podług buddyzmu jest rezultatem wcześniejszych czynów, po długiej podróży przez wiele krajów sprowadził mnie z powrotem do Amsterdamu, otrzymałem wkrótce pismo z Ministerstwa Obrony. List zapraszał mnie na rozmowę i wymieniał adres, nazwisko i datę. Zostałem damę w średnim wieku, siedzącą za biurkiem, która powiedziała mi, że mam zostać żołnierzem. Zwróciłem jej uwagę na fakt, że mam 34 lata. Okazało się, że nie widziała w tym wielkiej przeszkody.

Niedługo potem otrzymałem znowu list z ministerstwa, w którym zawiadamiano, iż mam uważać się za powołanego do „służby nadzwyczajnej Przez jakiś czas przyglądałem się listowi, a potem włożyłem go do szuflady. Co znaczy „służba”, rozumiałem niezupełnie, co natomiast „nadzwyczajna” - nie rozumiałem zupełnie.

Ale urzędy nie rezygnowały. Następne zaproszenie pochodziło z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a kiedy - znowu pewnej damie - oświadczyłem, że nie chcę do niczego wstępować, cokolwiek by to było, doradziła mi, bym zgłosił się do służby w policji. - Ja już mam zajęcie - powiedziałem. - W wolnym czasie - powiedziała dama.

O tym, że w wolnych chwilach można być funkcjonariuszem policji, nie wiedziałem. Pomysł wydał mi się zbyt dziwny, żeby mógł być prawdziwy. Zadzwoiłem do Biura Głównego. To była prawda. Zadzwoiłem jeszcze raz.

- A czy mógłbym jeździć radiowozem? - zapytałem. - Z wyjątką syreną i migającym światłem? - Oczywiście - powiedział głos - będzie pan nawet musiał. Ale przedtem trzeba długo trenować i wykazać się zdolnością do pełnienia

czynności dochodzeniowych.

Przygody, jakie przeżyłem dzięki temu w śródmieściu Amsterdamu, zainspirowały mnie do napisania tej opowieści. Tu i ówdzie poniosła mnie trochę fantazja, toteż policyjna praktyka, jaką przedstawiam, nie zawsze jest zgodna z tym, co się dzieje w rzeczywistości.

Natomiast bohaterów i ich przeciwników wymyśliłem. Nie żyją naprawdę, jakkolwiek czasem myślę, że spotkam ich na ulicy, wychodzących zza rogu.

J.v.d.W

Volkswagen stał na szerokim chodniku Haarlemmer Houttuinen przed posesją numer 5, zaparkowany jak nie należy.

Sierżant wyłączył silnik.

Sierżant wahał się.

Haarlemmer Houttuinen numer 5 był celem tego wyjazdu. Wąski wysoki dom, który oglądał teraz z niechęcią, krył w sobie trupa, trupa wiszącego na sznurze. Trup pewnie obraca się wokół osi, trupy na stryczkach nie wiszą nigdy spokojnie, i sierżant na nic nie miał ochoty. Nie miał ochoty wysiadać, biec przez deszcz, i nie miał ochoty oglądać trupa na sznurze.

- Hop, hop - zawołał wachmistrz de Gier, który siedział w samochodzie obok sierżanta Grijpstry. Wachmistrz też nie miał na nic ochoty, ale czuł, że powinien coś zrobić.

- No, co? - zapytał Grijpstra.

De Gier zrobił bezradny gest. Grijpstra mógł sobie tłumaczyć, jak chciał, ten ruch ręki z bezwładną dłonią. Nie poruszył się jeszcze i obydwaj słuchali zgodnie grubych kropel deszczu, które plaskały z ciężkiego, soczystego wiosennego nieba na blaszany dach volkswagena.

- Tak - powiedział sierżant i wysiadł. Samochód był zaparkowany na samym skraju chodnika i Grijpstra musiał stanąć na bardzo ruchliwej jezdni. Nie uważał i szeroki amerykański krążownik, który akurat wychynął z piskiem zza zakrętu, musiał zrobić unik, żeby ominąć nagle otwarte drzwi. Rozległ się klakson.

De Gier roześmiał się i też wysiadł. Zamknął starannie drzwi, gdy tymczasem zimny deszcz lał mu się za kołnierz. W Amsterdamie nic nie jest bezpieczne, samochody policyjne też nie, a już na pewno kiedy nie mają policyjnych znaków. Tego volkswagena nawet ekspert nie poznałby od razu jako środka transportu funkcjonariuszy śledczych. Pod wąskim pulpitem tkwił nadajnik i odbiornik radiowy, a antena wystająca nad dachem wyglądała na zwykły samochodowy pręcik.

Pod tylnym siedzeniem, w schowku, leżał karabin z sześcioma magazynkami, zawinięty porządnie w derkę. A w bagażniku pod przednią maską można było znaleźć wszystko, co funkcjonariusze policji mogli uważać za potrzebne w trakcie regulaminowego pełnienia obowiązków, jak na przykład latarki w gumowych osłonach, mogące świecić pod wodą, kompletny reflektor, który w mgnieniu oka można było zamontować na dachu wozu, długa mocna lina z kotwiczką, duża rolka bandażu, puszka z dwiema maskami gazowymi, a nawet dość uniwersalne przybory włamywacza i magnetofon. Ale nic z tego nie było widoczne, a dwaj funkcjonariusze też wyglądali zwyczajnie. Grijpstra jest grubym mężczyzną, de Gier szczupłym, ale takich nie brak w stolicy. Grijpstra nosił obwisły garnitur z drogiego angielskiego materiału w prążki, do tego biała koszula i gładki niebieski krawat, a de Gier garnitur miarowy z pepitki, niebieską koszulę i wielobarwny halsztuczek, elegancko zawiązany na jabłku Adama. Grijpstra ma krótkie włosy, a de Gier staranną fryzurę zaczesaną na uszy, podkreconą na szyi, zadbaną, wiele razy szczotkowaną i czesaną i gdyby miał nieco grubsze pośladki, ktoś z tyłu mógłby go wziąć za kobietę.

Jakiś przechodzień idący szybkim krokiem do swego auta zderzył się z Grijpstrą, boleśnie ocierając się biodrem o duży służbowy pistolet, jaki sierżant nosił pod prążkowaną marynarką.

- Ludzie, uważać trochę - mruknął przechodzień ze złością. - Tak jest, proszę pana - powiedział zgodliwie Grijpstra.

Na chodniku stał zwyczajny samochód, a dwaj mężczyźni biegli przez deszcz do posesji numer 5, gdzie zadyszani stanęli obok siebie w portyku.

Stali znowu na suchym i ponownie stracili ochotę na cokolwiek.

- Ech - powiedział Grijpstra i przeczytał tabliczkę na drzwiach. FUNDACJA HINDYSTYCZNA brzmiał napis na tabliczce. Drzwi i tabliczka wyglądały porządnie. Tekst był napisany dziwnym krojem pisma, liternik widocznie usiłował oddać atmosferę Wschodu, litery wyglądały na rzucone w

pośpiechu pędzelkiem i w napisie było coś z tekstu chińskiego, tajemniczego i dalekiego.

De Gier dobył grzebienia i rozglądając się po portyku doprowadził do ładu swoje loki. Stary portyk, z rozmachem zaprojektowany w Złotym Wieku dla kupca, który tu, w wiekowych Haarlemskich Składach Drewna, chciał zrobić wrażenie na nabywcach drogich gatunków drewna, importowanych z Afryki i Dalekiego Wschodu, a także na pewno na kupujących zwykle drewno, które leżało w wielkich stosach po drugiej stronie składów, aż do brzegów rzeki Ij. Ale to było dawno temu, w siedemnastym wieku, teraz podest był spēkany i jakby trochę osunięty. Na prawo w portyku mieściło się jeszcze okno i de Gier zobaczył wystawę flakoników o szklanych korkach z nasionami ziół leczniczych i różnymi rodzajami zielonej i brunatnej herbaty, ugarniowanej czymś w rodzaju suszonych morskich wodorostów'. Tabliczka w witrynie informowała gości tymi samymi wschodnimi literami, że Fundacja działa w różnych dziedzinach.

Grijpstra stanął teraz obok de Biera i przeczytał na głos:

**SKLEP**

otwarty od 9 do 16

**RESTAURACJA** otwarta od 18 do 21

**BAR**

otwarty od 19 do 24

Grijpstra spojrział na de Giera, ale de Gier nic nie powiedział. Razem popatrzyli na pudełeczka z kadzidłem i mały pozłacany posążek Buddy, który nieporuszenie wpatrywał się przed siebie. Miał spiczastą głowę.

- Czubata głowa - powiedział Grijpstra. - Czy od medytacji dostaje się czuba?

- To się nie nazywa czubata głowa - powiedział de Gier tonem belfra, jakiego używał raz na miesiąc, kiedy wprowadzał przyszłych funkcjonariuszy plutonu interwencyjnego w elementy wykrywania przestępstw. - To jest głowa niebiańska. Czubek wskazuje na górę, a na górze jest niebo.

Im więcej medytujesz, tym rzadsza robi się atmosfera, w której się znajdujesz.

- Aha - powiedział Grijpstra - niebiańska głowa.

- Zadzwoń ty - powiedział Grijpstra - ty masz ładny palec.

De Gier wychylił się i zadzwonił. Miał rzeczywiście ładny palec, długi i wysmukły, z czyściutkim, foremnie spiłowanym paznokciem. Grijpstra, jakby chcąc zapobiec wszelkim porównaniom, schował ręce głęboko do kieszeni,

Drzwi otworzyły się natychmiast, czekano na nich.

Obaj policjanci wyprostowali się.

Z policyjnego radia dowiedzieli się parę minut temu, że przypuszczalnie jest to samobójstwo: - Jakiś człowiek się powiesił. Podobno już nie żyje. — Taka była wiadomość z izby zgłoszeń Biura Głównego, zaopatrzona w adres.

Grijpstra powtórzył adres i powiedział, że się tam uda, a funkcjonariuszka w randze starszego policjanta podziękowała mu i zakończyła rozmowę. A teraz byli na miejscu. Ale nie wiedzieli nic ponad to, co usłyszeli przez radio.

I zaraz robi się rwetes. Ludzie mówiący jeden przez drugiego. Białe twarze. Wielkie przestraszone oczy. Krzyk i może pisk. Przemoc czyni człowieka ruchliwszym.

Ale twarz, która patrzyła na nich z otwartych właśnie monumentalnych drewnianych drzwi zielonego koloru, nie była biała, tylko czarna. Policjanci obejrzelili małą postać, która z całym spokojem na nich czekała.

Murzyn, pomyślał Grijpstra, nieduży hindystyczny Murzyn. Co jest, u licha?

De Gier nie wyciągał jeszcze wniosków. On też skojarzył sobie czarnego z Murzynem. Ten mężczyzna nie był Murzynem. Gdzie są jeszcze czarni? - pomyślał de Gier, ale tok jego rozumowania został zakłócony natarczywością wyrazu oczekiwania, jaki malował się na twarzy ciemnoskórego mężczyzny.

- Policja - powiedział Grijpstra i wydobył portfel dużych rozmiarów z kompletem przegródek na jednym końcu,



zeszytowanym kalendarzykiem w środku i dającym się rozłożyć plastikowym etui na drugim końcu. Rozchylił z zamachem skrzydełka portfela i pokazał człowiekowi legitymację.

Tamten zrobił krok do przodu i uważnie przyjrzał się dokumentowi, który tańczył przed jego nosem.

- To jest bankowa karta tożsamości - powiedział.

De Gier roześmiał się po cichu, a Grijpstra spojrział na kolegę powłóczyście, z melancholią i wyrzutem zarazem.

- Pardon - powiedział de Gier.

Grijpstra zanurzył gruby kanciasty palec w plastikowym etui i wyciągnął legitymację policyjną z niebieskimi i czerwonymi paskami i zdjęciem paszportowym.

Mały czarnoskóry mężczyzna obejrzał legitymację.

- H.F. Grijpstra - przeczytał, dokładnie wymawiając - sierżant.

- Policja Miejska Amsterdamu.

- Widziałem. Proszę wejść.

Dziwne, dziwne, myślał de Gier. Ten człowieczek naprawdę obejrzał legitymację. To się nigdy nie zdarza. Grijpstra zawsze pokazuje bankową kartę tożsamości, a nikt tego nigdy nie zauważył. Dokument to dokument. Mógłby równie dobrze pokazać kwit z elektrowni i nikt by nic nie powiedział, a ten człowieczek widzi, co mu się podsuwa pod nos.

- Kim pan jest? - zapytał z kolei Grijpstra.

- Jan Karel Van Meteren - powiedział człowieczek.

Weszli do środka. Za westybulem był korytarz z trojgiem drzwi z ciężkiego drzewa dębowego. Jedne drzwi stały otworem i de Gier zobaczył paru długowłosych młodych ludzi i jednego starszego mężczyznę z łysą głową., którzy siedzieli przy barze. Wszyscy pili piwo. Zza baru doleciało go spojrzenie młodego mężczyzny w naszyjniku z koralami, wyraźnie odcinającym się na tle białej koszuli z krótkimi rękawami.

Van Meteren poszedł przodem, a oni posłusznie szli za nim. Na końcu korytarza były schody, drewniane, kręte schody, dopiero co wypastowane. Przeszli po marmurowej posadzce korytarza, tu i tam zarysowanej, ale nieskazitelnie czystej;

przy schodach Grijpstra dostrzegł niszę, w której wyglądający z hinduska posąg podnosił prawą rękę w geście błogosławienia. Rzeźba była odlewem brązowym wielkości człowieka.

Schodami weszli na górę. Wielka otwarta przestrzeń z wysokim sufitem z pomalowanego na biało żelaza, odlanego w skomplikowany motyw kwiatowy, pociągnięty złotem. Okazało się to restauracją, która zajmowała całe piętro. De Gier naliczył dziesięć stolików, sześć na cztery i cztery na sześć osób. Prawie wszystkie krzesła były zajęte.

Grijpstra zatrzymał się, a ich przewodnik czekał cierpliwie. Oglądał ozdobną figurkę, stojącą na płycie przymocowanej wysoko na ścianie. Figurka przedstawiała postać kobiecą, wykonującą taneczne pas. Szlachetna twarz i smukła szyja były w pewnej sprzeczności z bujnymi piersiami i frywolną pozycją podniesionej stopy i Grijpstra zdziwił się, że naga, pełna erotyzmu postać była czymś boskim, absolutnie boskim; była spokojna, potężna i wolna. Przede wszystkim wolna. Ta myśl przyszła mu szybko do głowy i zniknęła, kiedy ruszył.

De Gier, też zmuszony do zatrzymania się, obejrzał figurkę przelotnie. Spojrzał na jedzących gości i przebiegł oczami dookoła, nie patrząc na niczyją twarz. Ukierunkowane spojrzenie jest prawie zawsze agresywne i przyciąga uwagę obserwowanego. Nie chciał rzucać się w oczy i to mu się udało. Jedzący uznali przechodzących za nowych gości, którzy dopiero co weszli, żeby coś zjeść: jakiś gruby mężczyzna opróżnił sąsiednie krzesło ze swojego kapelusza i teczki.

De Gier pokręcił uprzejmie głową. Zwrócił uwagę, że jedzono w milczeniu, może słuchano muzyki rozchodzącej się z licznych głośników instalacji stereofonicznej. Podobała mu się ta muzyka i przypomniał sobie, że słuchał podobnej w Muzeum Tropików. Ciężkie tony w tle przypisywał gitarze basowej, a suchy twardy tykot perkusji. Falujące gwizdy mogły należeć do fletu, prawdopodobnie bambusowego.

Znów szli i dalej prowadził Van Meteren. Przeszli przez całą restaurację i znaleźli się w podłużnej wąskiej kuchni, której okna wychodziły na ogródek z kwitnącymi rododendronami.

Dwie dziewczyny w prostych ogrodniczkach mieszały w garnkach. Unosił się ostry i dość przyjemny zapach mieszanych wschodnich przypraw. Jedna z dziewczyn chciała coś powiedzieć, ale poniechała tego zobaczywszy, że obcy są w towarzystwie Van Meterena. Znowu schodami na górę i znowu korytarz. Minęli troje drzwi i Van Meteren otworzył ostatnie, czwarte.

Muzyki z restauracji, jedno piętro niżej, nie było słyhać.

Grijpstra wszedł do pokoju i westchnął. Zobaczył trupa: poruszał się dokładnie tak, jak się tego spodziewał. Wisielcy zawsze się trochę obracają, poruszani przeciągiem. De Gier stał milcząc obok swojego przełożonego i też patrzył. Patrzył na małe boscie stopy, które dokładnie równolegle kierowały palce ku podłodze. Potem popatrzył w górę i zobaczył wysunięty język i szeroko rozwarte wychodzące z orbit niebieskie oczy. Małe ciało, mężczyzna nie był wyższy niż metr sześćdziesiąt, chudziutki człowieczek, starannie ubrany w beżowe spodnie z dobrego materiału, zaprasowane w ostry kant, i prążkowaną, świeżą koszulę. Ktoś około czterdziestki, długie lśniące włosy ciemnorudego koloru i bujne zwisające wąsy. De Gier podszedł krok bliżej i obejrzał zegarek na przegubie. Gwizdnął przez zęby. Zegarek musiał być wart tysiąc guldenów', jeżeli nie więcej. Nieczęsto widywał też takie szerokie i grube złote paski do zegarka.

Policjanci stali z rękami na plecach. Na razie nie będą niczego dotykać, a tylko patrzeć.

Grijpstra rozglądał się. Duży pokój, znowu z wysokim sufitem, ale tym razem nie z odlewów żelaznych. Powiódł wzrokiem po długich sosnowych balach. Ścian nie było widać spoza regałów nabitych książkami, między którymi tylko gdzieniegdzie zrobiono trochę miejsca na wazę lub czarękę. Przy kompletnej Winkler Prins Encyclopedie stał telefon. Stół z niskimi krzesłami. Haftowane poduszki. Na stole maszyna do pisania z wkręconym arkuszem papieru. Nachylił się nad nią. „Drodzy Panowie, w związku z waszym listem z dnia 10 bm. donoszę...” - i nic poza tym. Nagłówek składał się ze słów FUNDACJA HINDYSTYCZNA, adresu i numeru telefonu,

papier listowy wyglądał drogo i porządnie. Tuż koło stóp wisielca taboret, najprawdopodobniej przewrócony kopnięciem. Gramofon ze stertą płyt. Niskie łóżko, przykryte batikiem. Zasłony z tkaniny były zasunięte, ale przepuszczały dosyć światła, żeby można było rozróżnić wszystkie szczegóły w pokoju. Przy oknie stał rodzaj ołtarza, niski czerwony stolik, a na nim drewniana figurka grubego łysego mężczyzny siedzącego na podwiniętych nogach i o szklanych oczach utkwionych przed siebie. Przed figurką stała ciężka miedziana donica pełna piasku, w której zauważył ciemne plamki po wypalonych kawałkach kadzidła. W pomieszczeniu było ciężkie, duszne powietrze.

- Czy to pan go znalazł? - spytał ciemnego człowieczka.

- Tak, proszę pana - powiedział Van Meteren. - Miałem Pieta o coś zapytać i kiedy nie powiedział „proszę” ani „tak” po moim pukaniu, odszedłem. Dziewczyny w kuchni powiedziały, że wchodził na górę. Na górę są tylko jedne schody, a ja musiałem się z nim koniecznie zobaczyć. Sprawdzałem w pokoju jego matki, tu w korytarzu, i w świątyni, ale też go tam nie było. Myślałem, że usnął, i jeszcze raz zapukałem, i wtedy po prostu otworzyłem drzwi. No i wisiał. Zaraz zadzwoniłem, a innym nic nie mówiłem.

- Dlaczego go pan nie odciął? - zapytał de Gier.

- Już nie żył - powiedział Van Meteren.

- Skąd pan wiedział?

Van Meteren nie odpowiedział.

- Jest pan lekarzem?

- Nie - powiedział Van Meteren. - Ale widziałem dużo trupów. Piet nie żyje. Nieżywy to nieżywy. Czuję to. Z ciała już nic nie promieniowało. A gdybym go odciął, musiałbym mieć kogoś, żeby przytrzymał ciało, i wołałem zostawić go tak, żebyście go panowie mogli zobaczyć takim, jakim go zastałem, może to się na coś przyda.

De Gier obejrzał jeszcze raz trupa. Miał uczucie, że już gdzieś tego człowieka spotkał, i szukał w pamięci. De Gier miał systematyczną pamięć i umiał poruszać się po swoim archiwum. Po chwili wiedział, że mężczyzny nie znał, ale

twarz o czysto wygolonej brodzie i policzkach oraz bujnych wąsach przywodziła mu na myśl obraz, jaki niegdyś widział w Hadze. Obraz przedstawiał portret jakiegoś wojownika, namiestnika na koniu, w drodze na pole bitwy. Rzuciło mu się w oczy władcze spojrzenie. Ten martwy mężczyzna tutaj też musiał być kiedyś władcą, może jeszcze dziś do południa. Pryncypałem albo szefem. Zdyscyplinowanym szefem, pomyślał de Gier. Wygląda tu porządnie, pokój jest posprzątany i czysty, cały dom jest czysty. Dziewczyny w kuchni robią przyzwoite wrażenie. Tak samo Van Meteren, który w taki czy inny - jeszcze do ustalenia - sposób był podwładnym tego człowieka, też nie wygląda na bałaganiarza. Dlaczego mi się to rzuca w oczy

- zastanawiał się de Gier. Odpowiedź przyszła natychmiast. Kiedy przeczytał na drzwiach słowa: FUNDACJA HINDYSTYCZNA, spodziewał się najgorszego. Niby dlaczego? - pytał sam siebie dalej. Hindystyczny musi znaczyć coś wschodniego, a ze Wschodu przychodzi wszak nowa prawda, nowa atmosfera. Ale wszyscy zwolennicy tej nowej idei, którzy przenikali teraz zewsząd do społeczeństwa, wnoszą bałagan. Pomyślał o zaniedbanych, rozkojarzonych podejrzanych, których musi regularnie przesłuchiwać za wszelkie drobne wykroczenia. Przypomniał sobie zawartość ich kieszeni, jaka podczas przeszukiwania trafia na stół, te obrazki indyjskich świętych, pogięte i pobrudzone zdjęcia starych nagich mężczyzn o gęstych, skołtunionych włosach, którzy rzekomo mieli być yogami albo guru, mistrzami starej nauki, a teraz znowu nowej nauki. Nazwa fundacji skojarzyła mu się najpierw z hinduizmem, potem z mądrością Wschodu a na koniec z paskudztwem, a tymczasem wszystko, co do tej pory zobaczył, przemawiało porządkiem i czystością.

To myślenie de Giera trwało tylko parę sekund, a w tym czasie Grijpstra westchnął.

Człowiek, który przed nim wisiał, był niewątpliwie nieżywy, ale tylko doktor może stwierdzić śmierć. Trzeba będzie go odciąć.

Spojrzał przez ramię i skinął na de Giera.

- Zadzwoń.

Nie musiał tego mówić. De Gier stał przy telefonie i wykręcił już pierwszą z sześciu dwójek numeru policyjnej centrali. W Biurze Głównym mogli jednym naciśnięciem guzika połączyć się ze służbami medycznymi, zespołem fotograficznym, ekspertami od odcisków. Za parę minut wszyscy będą w drodze.

Kiedy de Gier dzwonił Grijpstra postawił przewrócony taborecik i wszedł na niego. Przeciął stryczek sztyletem, który wbrew wszelkim przepisom policyjnym "stałe nosił przy sobie. Sznur nie był gruby i wystarczyło jedno pociągnięcie ostrego jak brzytwa sztyletu. De Gier przesunął się o krok, żeby złapać ciało, ale Van Meteren był szybszy. Położył ostrożnie trupa na niskiej kanapie. Nikt z obecnych nie oczekiwał, że Piet po zdjęciu mu z gardła stryczka zaczerpnie tchu. I nie zrobił tego. Grijpstra nachylił się nad martwą twarzą i mruknął:

- Chodź no, zobacz.

De Gier też się nachylił i spojrzał.

- Oho, ho - powiedział.

- Sina plama przy skroni - powiedział Van Meteren - i guz.

- Prędko pan zauważył - powiedział de Gier.

- Po uderzeniu - dodał Van Meteren, który wciąż patrzył nachylony. - Laską albo może nawet pięścią. A może nie. Doktor na pewno będzie wiedział.

- Czy pan tu o czymś decyduje? - zapytał de Gier.

Van Meteren wyprostował się i założył ręce za plecy.

Zastanawiał się. Na niskim czole pojawiły się nawet zmarszczki nad płaskim nosem i de Gier wiedział już na pewno, że ten mężczyzna jest Papuasem. Stały mu przed oczami zdjęcia z książki do geografii, Papuas siedzący na plaży i polerujący ostrze oszczepu. Ale ten człowiek nie był Papuasem pełnej krwi, nos nie był wystarczająco płaski i inny był kształt twarzy. Może w trzech czwartych, pomyślał de Gier, albo siedem ósmych. Stąd to holenderskie nazwisko. Czysty niderlandzki, jakim mówił Van Meteren, zdradzał tylko leciutki akcent, ale nie był to akcent Surinamczyka ani Indonezyjczyka, jaki często słyszał. Ten głos wychodził jakby z

głębi gardła, wydawał się cięższy.

- Nie - powiedział wreszcie Van Meteren - nie mam tu nic do powiedzenia. Piet był tu szefem. Ja tu tylko mieszkam. Nie mam w tej fundacji żadnej funkcji. Zdaje mi się, że teraz najważniejsze są dziewczyny i Johan z Eduardem. Ale Johan jest w barze i o niczym nie ma pojęcia, a Eduard ma dziś wolne.

- To ja zejść na dół - powiedział de Gier. - Chwilowo nikt nie może opuszczać tego domu. Samochody z Biura Głównego powinny tu być lada moment. Przyjadą wywiadowcy i na pewno przyślą mundurowych, żeby mieli na oku drzwi. Zaraz tu się zrobi normalne piekło.

- Szarpanina - powiedział Grijpstra. -I to już drugi raz tego wieczoru, tyle że tym razem chyba będzie trudniej. Idź na dół, ja tu posiedzę na tym krześle.

De Gier zeszedł spokojnie po schodach. Szarpanina to było najlepsze słowo. Dzień w dzień nic do roboty, oprócz przejażdżek po mieście i rozglądania się, a tu dwa trupy jednego wieczoru. Pierwszego trupa znaleźli zaraz po południu, a właściwie widzieli, jak się ktoś w trupa zamienił. Kobieta żyła jeszcze, jak ją znaleźli nagą i krwawiącą w biednym burdeliku nad kanałem. Pchnięcie nożem w brzuch. Umarła na rękach doktora, który natychmiast przyjechał po telefonie de Giera. Mogła jeszcze dokładnie opisać sprawcę, trzymając się rękami za brzuch, żeby zmniejszyć krwawienie i ból. Starzejąca się kurwa, poczciwy człowiek na pierwszy rzut oka. De Gier znalazł młodego mężczyznę pod drzewem dokładnie naprzeciw burdelu. Chłopak siedział oparty plecami o gruby wiąz i patrzył w wodę. Nóż trzymał jeszcze w ręku. Przyznał się natychmiast.

Grzeczny chłopak, ale niepoczytalny na punkcie noży i starszych kobiet, które mu przypominały matkę. Zabrali go i zamknęli, napisawszy krótki protokół. Robota dla sądowego psychiatry. Możliwe, że chłopak nie pójdzie nawet pod sąd, a od razu zostanie „pozostawiony do dyspozycji władz” w jakimś zakładzie psychiatrycznym. I to będzie mogło trwać latami, pozostawanie do dyspozycji nieuchwytej mocy, która będzie

mu kazać łykać pigułki, robić filcowe lalki albo packać się farbami czy kredkami. i może po kilku latach puszcza go na miasto, żeby mógł kupić nóż w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego i pieniądze z opieki społecznej przeznaczyć na to, żeby sobie znaleźć tanią kurwę. A może nie. De Gier nie mógł wzbudzić w sobie nienawiści do tego chłopaka, a tylko czuł nieokreślone współczucie, tak jak do tamtej umierającej kobiety, która musiała w samotności postradać życie, bo na chwilę przestała uważać. Cała sprawa zabrała im tylko półtorej godziny, biuro policji znajdowało się za rogiem, była wolna cela, maszyna do pisania czekała na nich, podejrzany był posłuszny. A teraz znowu to.

W restauracji poszedł prosto do wzmacniacza gramofonu i przekręcił gałkę. Ale przekręcił ją w niewłaściwym kierunku, muzyka huknęła rozdzierającymi tonami fletów, ogłuszającym dudnieniem bębnów i gitary basowej. Odkręcił gałkę z powrotem i spojrzał na rzeszę pytająco przestraszonych twarzy. Jedna z twarzy miała wściekłą minę. Należała ona do tęgiego dużego mężczyzny; mężczyzna wstał i podszedł do de Giera.

- Co to ma znaczyć? Proszę włączyć muzykę! O co chodzi?

De Gier położył rękę na ramieniu mężczyzny i popatrzył na niego przyjaźnie i ze znużeniem.

- Spokojnie. Jestem z policji i muszę pana prosić o pozostanie w tej sali. I wszystkich państwa też. - Ostatnie słowa powiedział nieco głośniejszym głosem i patrzył przy tym po sali, zaglądając w oczy gościom.

- Wydarzyła się brzydka sprawa. Moi koledzy są już w drodze. Jest to tylko formalność, ale proszę siedzieć na miejscach, aż pozwolimy państwu odejść. Nie zatrzymamy państwa długo. Jeżeli ktoś wie coś o tym, co wydarzyło się na górze, proszę podnieść rękę.

Po sali przetoczył się pomruk. Nie podniosła się żadna ręka. Z kuchni wyszły dwie dziewczyny i stanęły przed de Gierem.

- Co się stało? - zapytała starsza, piękna dziewczyna mniej więcej dwudziestoletnia, z warkoczami i o dużych zielonych oczach.



- Zaraz się dowiecie - powiedział de Gier.

- Czy to chodzi o pieniądze z pokoju Pieta?

- To zginęły jakieś pieniądze? - zapytał de Gier.

- Nie wiem - powiedziała dziewczyna - ale Piet pytał nas po południu, czy byliśmy u niego w pokoju. Johan zaniósł pieniądze ze sklepu na górę o czwartej i na stole powinno leżeć trzysta ileś guldenów, ale Piet twierdził, że było mniej. Myślę, że Johan pomylił się w liczeniu. Czy to o to chodzi?

- Nie - powiedział po cichu de Gier - Piet nie żyje. Wisiał martwy na stryczku.

- O - powiedziała dziewczyna zasłaniając dłonią usta. Druga dziewczyna, w okularach, mała i okrągłutka, zaczęła płakać.

- Nie płacz - powiedział de Gier - nic już nie można zrobić. Nie byliście w jego pokoju?

Dziewczyny pokręciły przecząco głowami.

- Nie - powiedziała starsza - nie po czwartej. Widziałam jeszcze pieniądze na stole, bo poszłam z Pietem na górę. Razem przeliczyliśmy pieniądze i potem poszłam z powrotem do kuchni. On nie lubi, jak się kręcimy po jego pokoju, a oprócz tego powiedział mi, że musi zająć się jeszcze pisaniem listów.

- On jest tutaj szefem? - zapytał de Gier.

- Tak - powiedziała gruba dziewczyna - on jest dyrektorem fundacji. Fundacja to właściwie my wszyscy, ale on o wszystkim decyduje. A teraz nie żyje?

De Gier dał jej swoją chusteczkę, a ona zaczęła zawzięcie wycierać sobie oczy. Patrzył z przygnębieniem na czarne pasy tuszu, które nigdy całkiem nie zejda w praniu; chusteczka była do wyrzucenia. Nie robiły na nim wrażenia łzy. Wydawało mu się, że dla dziewczyny było to po prostu pasjonujące wydarzenie. Śmierć jest zawsze wielkim przeżyciem.

Zadzwoniono. Kiedy de Gier otworzył drzwi, na chodniku stały cztery samochody, nie licząc jego. Koledzy przybyli bez syreny i alarmowego światła. Byli to spokojni fachowcy, którzy nigdy nie pędzili na łeb, na szyję. Karetka też nie gonila, bo umarłemu się nie spieszy.

De Gier pokazał drogę lekarzowi i fotografom i przez chwilę

rozmawiał ze specem od daktyloskopii, którego dobrze znał. Wywiadowców skierował do restauracji i baru, gdzie od razu przystąpili do sporządzania notatek. Przesłuchania były krótkie i ograniczały się prawie wyłącznie do zapisania nazwisk i adresów. Tylko dziewczyny i Johan z baru byli przesłuchiwanie trochę szczegółowej. Wyglądało na to, że wszystko szybko się skończy.

De Gier usłyszał dzwonek przy drzwiach i znowu otworzył. Rozpoznał nadinspektora i pozdrowił go trochę uprzejmiej niż poprzednich.

- Samobójstwo? - zapytał nadinspektor.

- Możliwe - powiedział de Gier. - Ale dostał też czymś w głowę.

- Hm - powiedział nadinspektor i poszedł na górę.

Nadinspektor pierwszy też odjechał, porozglądawszy się i pomruczawszy.

Po godzinie powrócił spokoj.

Grijpstra i de Gier siedzieli w restauracji przy stoliku, palili i spoglądali na siebie.

- Dwa razy w jednym dniu - powiedział Grijpstra.

- Za dużo - powiedział de Gier. - Ale co to jest" Morderstwo czy nie morderstwo?

Grijpstra wypuścił dym szeroko rozwartymi nozdrzami, de Gier zobaczył włoski.

- Jedno i drugie możliwe - powiedział Grijpstra - ale to będzie chyba morderstwo. Uderzenie w skroń, zwyczajnie pięścią, bo nie zauważyłem żadnej broni ani niczego podobnego, sina plamka i guz prawie nie do zauważenia, łup! i Piet leży na ziemi, nieprzytomny albo tylko chwilowo zamroczony. Sznur jest przygotowany. Pętla na szyję. Pieta za klapy i na taboret, drugi koniec sznura na hak, który już jest w belce, kopniak w taboret i hop za drzwi. Minuta roboty. Pół minuty.

- Dla jednego czy dwóch? - zapytał de Gier.

Grijpstra energicznie potrząsnął swoją ciężką głową.

- A po co od razu dwóch czy dwie, czy dwoje, on i ona albo ona i on? Po co tak komplikować? Jeden morderca, nie dwóch

ani nie trzech. W Amsterdamie prawie nie ma morderców, dlaczego miałyby się naraz pojawić jakaś grupka?

- Ale to jednak trochę krzątania - powiedział ostrożnie de Gier. - Trzeba go było przesunąć. Posadzić na taboret. To może nie jest takie proste w pojedynkę.

Grijpstra wstał.

- Chodź, popracujemy.

Przez jakiś czas mieli zajęcie. De Gier położył się na ziemi i leżał całkiem bezwładnie. Grijpstra z łatwością postawił go na nogi i umieścił na taborecie, obejmując go jedną ręką, a drugą nakładając mu na szyję niewidoczną pętlę.

Wypróbowali to kilka razy.

- No widzisz - powiedział Grijpstra. - Żaden problem. Ty też nie ważysz dużo, niecałe siedemdziesiąt pięć kilo, jak mi się zdaje, ale ten Piet ważył jeszcze mniej, coś między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt, jeszcze się tego dokładnie dowiemy. Chucherko. Każdy, kto nie jest karłem, mógłby go tak wymanipulować.

- Tak, tak. - powiedział de Gier.

Jednakże trochę później, kiedy znowu siedzieli na dole w restauracji pałac i ziewając, de Gier zmienił zdanie.

- To nie było tak - powiedział de Gier. - Uważaj.

- Uważam - odpowiedział Grijpstra i rozpedził dłonią dym ze swojego papierosa.

- Piętowi jest smutno. Chce ze sobą skończyć. Doszedł do wniosku, że życie jest nic niewarte. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek udzielał zgody na urodzenie go. No, tkwi tu, w tym pokoju starego domu na Haarlemmer Houttuinen, jako dyrektor jakiejś bzdurnej fundacji, która w dodatku nic nie daje oprócz długów, i myśli sobie, że przekroczył czterdziestkę i wkrótce będzie starowiną w beznadziejnej sytuacji. Oprócz tego jest niepokąznym człowiekiem, a takim zawsze najtrudniej. Siedzi tu samiutki jak ten palec, otoczony i atakowany przez swe własne idee, w które już nie wierzy albo których się boi, i chce uciec. Chce przejść przez białą bramę i ma srebrny klucz.

- Co? - zapytał Grijpstra.

- Taki obraz - powiedział de Gier. - Wschodnia metafora. Gdzieś czytałem. Pasuje do tej historii, bo to wszystko tutaj to jest wschodni interes. Śmierć to jest biała brama i każdy ma srebrny klucz.

- Pardon - powiedział Grijpstra - jestem niewykształcony. Ale teraz rozumiem. Sznur jest tym srebrnym kluczem.

- Twoje wykształcenie nie jest takie najgorsze - powiedział de Gier. - A w Ogóle wykształcenie to nonsens. Tylko dużo słów napakowanych do głowy. Też gdzieś czytałem. Więc ten sznur jest srebrnym kluczem, ale kiedy wystarczająco długo zatrzymasz swój oddech albo umyślnie nieostroźnie przekroczysz jezdnię, to też używasz srebrnego klucza.

- No, dobrze - powiedział Grijpstra. - Piet chce uciec. Przez bramę. W nieznaną. Ale co się dzieje dalej? Bo w twojej historyjce jeszcze siedzi i myśli.

De Gier wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po przejściu między stołami.

- Decyduje się. Ale nie podejmuje się od razu takich wielkich decyzji. Normalnie człowiek w ogóle nie podejmuje żadnych decyzji, coś tam robi, życie go niesie. Okoliczności trzymają go za kark. Ale nasz Piet podejmuje decyzję. Nie robi tego od razu. Nalewa sobie drinka. Ma trochę w czubie. Pije dalej. Robi się kompletnie pijany. Chce przywiązać sznurek do haka. Włazi na taboret. Ale już jest tak zalany, że się przewraca i wali o coś głową. Może nawet traci przytomność. Ale przychodzi do siebie i wiesza się.

Grijpstra milczał. De Gier ciągle jeszcze chodził tam i z powrotem. - Nie czuć go było wyraźnie alkoholem — powiedział Grijpstra - tylko odrobinę. Może jedno piwko albo sherry wychylone naprędce w barze. W jego pokoju nigdzie nie widziałem alkoholu, kiedy wyszedłeś, wszystko przeszukałem, jeżeli w ogóle pił, to musiał to robić na dole w barze. W jego pokoju nie znalazłem nawet szklanki, a na ulicy nie było potłuczonego szkła, więc nie wyrzucił butelki. Na to zresztą wydał mi się za porządny. Zresztą, w ogóle wydawał mi się za porządny, żeby popełnić coś tak nieeleganckiego jak samobójstwo. Czy może elegancyjcy ludzie z uczesаныmi wásami

i w spodniach z nienagannym kantem też popełniają samobójstwa?

De Gier patrzył przed siebie.

- Samobójcy tracą samodyscyplinę. Golą się nieregularnie i jedzą, kiedy im wypadnie. Przypominam to sobie jeszcze z odczytów psychologicznych. To możliwe. Ale nie wydaje mi się wykluczone, że elegancki mężczyzna wiesza się na kawałku solidnego sznura i mocnym haku, akurat- nie wkręconym w belkę.

Grijpstra potrząsnął parę razy głową.

- No dobrze. Niech będzie. Ale podług ciebie, zanim to zrobił, zamroczył się i przez to zamroczenie nabił sobie guza na głowie. To nie był alkohol, jak mi się wydaje, ale pewni będziemy dopiero, jak lekarz zbada jego żołądek. Może zażywał morfiny, ale nie było śladu ukłuć na ramionach. Może wdychał kokainę albo połknął pigułkę z opium. W fazie czego się dowiemy.

De Gier wzruszył ramionami.

- Poczekajmy do jutra. Nie musimy wszystkiego rozwiązywać dziś wieczór. Możemy pójść porozmawiać z Van Meterem, jego pokój jest na tym samym piętrze co Pieta, a on wie, że przyjdziemy, bo go uprzedzałem. Dziewczyny posłałem do łóżka, jutro będzie ich kolej.

- Tak - powiedział Grijpstra. - I będziemy musieli wtedy zapytać o te pieniądze, chociaż nie wierzę, żeby w naszych czasach wieszali kogoś dla paruset guldenów.

## 2

- Czy napiją się panowie herbaty? - zapytał Van Meteren.

- Kawy - powiedzieli Grijpstra i de Gier równocześnie. Siedzieli naprzeciw niego na niskim łóżku, przechyłem do tyłu i niewygodnie oparli głowę o ścianę. Była już północ i zwłaszcza de Gier czuł się wyczerpany, przed oczami przebiegały mu wizje jego małego, ale wygodnego kawalerskiego mieszkania w Buitenveldert, wyobrażał sobie, jak stoi pod ciepłym prysznicem, cały w pianie. Zaczynał mieć dość

tego starego kupieckiego domu z jego długimi ciasnymi korytarzami i schodkami i naśladownictwem atmosfery Wschodu, ale musiał przyznać, że pokój Van Meterena promieniował jakimś spokojem. Był to duży pokój, również z białymi ścianami i pięknym, aczkolwiek wytartym perskim dywanem. Na półce wzdłuż całej długości ściany wystawił Van Meteren kolekcję przedmiotów, dziwnie ukształtowanych kamieni, najrozmaitszych muszel, suszonych kwiatów w garnuszkach i butelkach oraz czaszkę jakiegoś wielkiego zwierzęcia, przypuszczalnie dzika. Van Meteren siedział ze skrzyżowanymi nogami na grubej poduszce na podłodze, odprężony i cierpliwy, jego kędzierzawe włosy okalały płaską czaszkę i, oświetlone od dołu przez lampę stojącą naprzeciwko niego, rzucały wyraźny cień na białą ścianę.

Van Meteren wydał wargi.

- W pokoju nie mam kawy i już jest za późno, żeby przynieść z baru, to jest jedyne miejsce, gdzie tu się podaje kawę. Picie kawy jest właściwie sprzeczne z regułami tego domu. Piet zawsze mówił, że kawa człowieka podnieca.

Van Meteren nalał z termosu herbaty do małych filiżanek bez uszek. Na termosie były namalowane znaki pisma chińskiego, mogło się w nim pomieścić co najmniej dwa litry.

Policjanci wzięli niezręcznie filiżaneczki i siorbali parzącą herbatę. Van Meteren roześmiał się na widok nieszczęśliwych min.

- Może się panowie przyzwyczajają. Picie herbaty jest sztuką, herbata to święty napój. Herbata aktywizuje troszeczkę i odpręża zarazem. Pijecie panowie zieloną herbatę, nieco gorzką, ale to najszlachetniejszy gatunek, jaki tu można dostać. Człowiek się po niej budzi i nabiera dystansu.

Dystansu wobec czego? - zapytał Grijpstra.

Van Meteren machnął drobną czarną dłonią.

- Wobec wszystkiego. Siebie samego. Tego, czym się pan troska, co pan ze sobą nosi.

- To dobre - powiedział Grijpstra. - Słyszałeś?

- Słyszałem - odpowiedział de Gier. - I jestem przyzwyczajony do herbaty. Poproszę o jeszcze jedną filiżankę.

Van Meteren nalał mu jeszcze.

- I niech pan opowiada - powiedział Grijpstra. - Co pan tu robi? Kim pan jest? Co tu właściwie się mieści? I kim był Piet?

- Tak - powiedział de Gier. -1 czy pan sam lubi kawę? Czy może nie ma pan jej w domu, bo Piet nie pozwalał?

Van Meteren patrzył na nich spokojnie.

- Sporo tych pytań. Od czego mam zacząć?

- Od byle czego - powiedział Grijpstra po ojcowsku. De Gier skinął zadowolony. To była ich zwykła taktyka. Płatanie myśli. Na przesłuchaniach często też zmieniali role. Raz Grijpstra był agresywny, podczas gdy de Gier zdawał się pocieszać podejrzanego, innym razem było na odwrót. Potem przesłuchiwali podejrzanego osobno, także mógł się poskarżyć, poszukać wsparcia i ulżyć sercu; i mówić, przede wszystkim mówić. I podejrzani mówili, więcej, niżby sami chcieli. I w trakcie mówienia przychodziło przyznanie się albo ważne zeznanie świadka. A po czymś takim oni mogli iść do domów, spełniwszy swoje zadanie.

Ale teraz było inaczej, myślał de Gier. Czuł się zmęczony i niezadowolony, a Van Meteren wydawał się samym spokojem. I nic nie mówił. Przyjrzał mu się jeszcze raz. Osobliwa figura, nawet jak na śródmieście Amsterdamu. Mały, ciemnoskóry i grzeczny. Starannie ubrany. Wąskie, czyste, granatowe spodnie i dopasowana koszula w prążki, które biegnąc pionowo, czyniły go pozornie wyższym, niż był w istocie. I jaki opanowany. Może nawet świadomie. Czy są ludzie mający świadomość siebie, zadał sobie pytanie de Gier. Ludzie, którzy wiedzą, co robią, dlaczego coś robią?

Grijpstra też patrzył. Widział mężczyznę pod czterdziestkę, małego i filigranowego. Również Grijpstra zaklasyfikował teraz mężczyznę jako Papuasa. Grijpstra w swoich młodych latach walczył w Indonezji i przypominał sobie twarze kilku żołnierzy zawodowych z byłej Królewskiej Armii Indii Holenderskich, którzy zostali przydzieleni do jego oddziału.

Papuasi, dziwni osobnicy, którzy się czuli Holendrami i w namiocie mieli powieszoną kolorową fotografię królowej. Dzielni żołnierze, nie znał ich długo, bo wnet polegli, gdyż

zawsze wyrywali się do przodu, jako zwiadowcy albo grupa uderzeniowa.

- Czy pański ojciec pochodził z Holandii? - zapytał Grijpstra.

- Mój dziadek - powiedział Van Meteren. - Moja babka była Papuaską, córką naczelnika plemienia. Mój dziadek pracował w administracji państwowej, w niewysokiej randze, ale na Nowej Gwinei to było coś. Moja matka też jest Papuaską, żyje jeszcze, mieszka w Holandii. Przyjechałem tu osiem lat temu, w 1965 roku wybrałem obywatelstwo holenderskie i musiałem od razu wyjechać.

- A jak pan zarabia na życie?

- Pracuję w policji - powiedział Van Meteren i uśmiechnął się szeroko, zobaczywszy zdumienie na twarzach obu przesłuchujących. Miał ładny uśmiech, mocne białe zęby poniżej czarnego punkcika wąsów i płaskiego szerokiego nosa.

- Bez obawy - powiedział Van Meteren. - Nic panom nie zrobię, jestem tylko w policji drogowej. Mogę wam co najwyżej wlepić mandat, bo zaparkowaliście samochód na chodniku, ale przecież i tak byście nie zapłacili.

- Policja drogowa? - zapytał Grijpstra.

Van Meteren przytaknął. - Już pięć lat. W Nowej Gwinei byłem w prawdziwej policji. Byłem wachmistrzem pierwszej klasy, bo umiałem czytać i pisać i nosiłem holenderskie nazwisko: miałem pod sobą trzydziestu ludzi. Tam wachmistrz to coś znaczyło. Ale kiedy tu przyjechałem, miałem prawie trzydzieści lat i w Hadze uważali mnie za starego; mogłem dostać tylko jakąś urzędniczą posadkę. Nie chciałem odejść z policji i w końcu pozwolili mi zostać w drogowej. Przez cały czas byłem w służbie patrolowej, mam teraz dwie belki. Jestem uzbrojony w pałkę. Co pół roku piszę podanie o przeniesienie do prawdziwej policji, ale to ciągle jest niemożliwe.

- Policja drogowa to też jest prawdziwa policja - powiedział Grijpstra.

Van Meteren wzruszył ramionami i patrzył przed siebie.

- A jaką służbę pełnił pan w policji na Nowej Gwinei? - zapytał de Gier.



- Polową. Przez ostatnie lata chodziłem przeważnie z patrolami po terenie Vogelkop. Polowaliśmy na infiltrantów z armii indonezyjskiej. Sporo ich złapałem. Byłem wtedy bardziej żołnierzem niż policjantem.

De Gier patrzył na wielką, podartą na zgięciach i naklejoną na płótno mapę fizyczną Nowej Gwinei wiszącą na ścianie, obok niej wisiała mapa Holandii, a dalej jeszcze jedna mapa: utworzone z morskiej zatoki jezioro Ijsselmeer i przybrzeżne wody Waddensee.

- Czy mógłbym zobaczyć pańską legitymację z policji drogowej?

Legitymacja wyglądała nienagannie. Van Meteren pokazał też swoją starą legitymację z Nowej Gwinei, wyświechtany, pożółkły dokument w podartej plastikowej okładce. Zarówno Grijpstra jak i de Gier studiowali drugą legitymację szczegółowo. Holenderski wachmistrz pierwszej klasy z dalekich terytoriów. Kawalek przeszłości. Obejrżeli stempel i oficjalny podpis generalnego inspektora i jeszcze jeden stempel wytłoczony na zdjęciu, no i samo zdjęcie. Van Meteren był w mundurze, metalowe belki na pagonach błyszcząły w świetle lampy błyskowej policyjnego fotografa. Wyrazista młoda twarz dumna ze stopnia i ze swojej pracy, i ze swego korpusu, Korpusu Policji Państwowej Holenderskiej Nowej Gwinei, części Królestwa Niderlandów.

- Zatem, kolego - powiedział Grijpstra - co pan sądzi? Czy ktoś pomógł Piętowi powiesić się?

Van Meteren spojrział na sierżanta smutnym wzrokiem.

- Możliwe. Mógł też przedtem się przewrócić. Obejrzałem wszystko w jego pokoju i zastanawiałem się, ale to zawsze niebezpieczne wyciągać wnioski. Piet mógł nabić sobie tego guza, ponieważ upadł, a może też się z kimś kłócił, może bił się z kimś, to możliwe, bo często się kłócił. Ostatnio źle się z nim działo. Żona z dzieckiem opuściła go i nie chce wrócić. Miewał depresje i mówił czasem o samobójstwie. Człowiek jest wolny i wolno mu samemu zakończyć swoje życie, słyszałem, jak parę razy tak mówił.

Bardzo się przejmował, że ludzie go nie lubili. Może ta

ostatnia kłótnia, jeżeli to była kłótnia, tak na niego wpłynęła, że się powiesił.

- A z kim się kłócił? - zapytał de Gier. - Z panem?

- Nie - powiedział Van Meteren - ze mną nigdy się nie kłócił. Pokazywał mi swoje humory, ale wtedy zawsze odchodziłem.

- Czy był pan przyjacielem Pieta?

Van Meteren pokręcił głową przecząco.

- Nie wierzę w przyjaźń. Przyjaźń to jest coś chwilowego. To przechodzi. Nie mam przyjaciół, ale też nie mam wrogów. Ludzie wokół mnie są ludźmi wokół mnie, niczym więcej.

- Co robi pan w tym domu? - spytał de Gier.

Van Meteren roześmiał się.

- Nic. Mieszkam tutaj. Piet mnie tu wprowadził. Mieszkalem w małym pokoiku, między gastarbeiterami, czwarte piętro na Pijpie, na takiej wąskiej ulicy bez drzew, ale kręciłem się zawsze w śródmieściu i jadałem przeważnie u Chińczyków. Ale tutaj też jest restauracja, przeczytałem raz na tabliczce. Można do niej przychodzić, tylko jeśli się jest członkiem fundacji, a w tym celu trzeba pójść do Pieta, żeby wypełnić formularz i zapłacić dwadzieścia pięć guldenów. Zaczęliśmy rozmowę i zaproponował mi pokój, właśnie ten. Dwieście guldenów miesięcznie i darmowe jedzenie w restauracji. Nie miałem obowiązku nic robić, ale myślę, że Piet był zadowolony mając w domu byłego policjanta, tu jest też bar i tam zdarzają się kłopoty. Jestem dobrym wykidajką, znam wszystkie chwytły obronno-obezwładniające.

Grijpstra skinął ze zrozumieniem.

- Piet był pewnie homoseksualistą?

Van Meteren zaśmiał się w głos.

- Z pana jest prawdziwy policjant. Zawsze podejrzewać najniższy motyw. Wtedy się ma przeważnie rację.

Patrzył przez chwilę na Grijpstrę.

- Ale Piet nie był taki. Podejrzewałem go co prawda przez jakiś czas, bo przychodził do mnie często do pokoju, interesował się moimi kamieniami i muszlami i chciał, żebym mu opowiadał o Nowej Gwinei, zwłaszcza o tym, co jedliśmy, i o naszej religii, i przyprawach, jakich używaliśmy, i o tańcach.

Ale nigdy mi się nie narzucał. Kiedy czuł, że wolę być sam albo czymś jestem zajęty' zawsze natychmiast odchodził. Nie, Piet szukał tego szczęścia u kobiet, ale miał z nimi zawsze kolosalne kłopoty. Chciał je opanowywać, posiadać, musiały robić to, co on kazał. Na początku to jakoś wychodziło, ale potem nie wytrzymały. Kobiety mogą być bardzo złośliwe, ale w przypadku Pieta trudno im to było mieć za złe, nigdy nie był dla nich miły, stale tylko pokrzykiwał i ośmieszał je przed obcymi, no i uciekały.

- W sumie niesympatyczny? - zapytał de Gier.

- Ależ nie - powiedział Van Meteren. - Nie aż tak. Nie należało mieć z nim po prostu wiele do czynienia, na ogół miał dobre zamiary.

- Ni to wróg, ni przyjaciel? - zapytał de Gier.

- Też nie - powiedział Van Meteren. - Ja staram się stać na osobności, utrzymywać dystans, ludzie są tacy, jacy są, niewiele tu można wskórać.

- I dlatego pije pan herbatę? - powiedział Grijpstra.

Van Meteren patrzył przed siebie.

- Robię też inne rzeczy.

Tym sposobem daleko nie zajedziemy, pomyślał Grijpstra i podstawił filiżankę. Van Meteren napełnił ją, a Grijpstra zaczerpnął głęboko tchu, łyknął herbaty i znowu zapadł się w nieprzejrzywą materię.

- A to, ten hindystyczny interes, co to właściwie jest?

Van Meteren przeszukał kieszenie i znalazł paczkę papierosów, w której była już tylko jedna sztuka. Zaoferował papierosa.

Grijpstra odmówił ruchem głowy. - To pana ostatni?

- Nie szkodzi - powiedział Van Meteren. - Mam jeszcze paczkę tytoniu.

- Ten hindyzm - powiedział de Gier.

- Tak - powiedział Van Meteren - ten hindyzm. Ja też się nad tym zastanawiałem i nigdy tego nie zrozumiałem do końca. Coś pośredniego między hinduizmem a buddyzmem. Własna religia Pieta. Jest tam masa reguł, wegetarianizm, picie herbaty, medytacja, tu obok jest izba z poduszczkami, dwa

razy w tygodniu wieczorem schodzą się ludzie i przez godzinę siedzą bez ruchu pod kierunkiem Pieta. On siedział zawsze na czymś w rodzaju honorowej poduszki, przed ołtarzem. Wydaje mi się, że on sam siebie uważał za przywódcę duchowego albo nauczyciela, który powinien coś zrobić dla młodzieży, dla nowego człowieka jutra. Ale w ostatnim czasie już w sobie nie wierzył. Musiał się nasłuchać sporo krytyki. Zespół, który tu pracował przez wiele lat, rozsypał się, dziewczyny, Johan i Eduard pracują od niedawna, niecałe pół roku, i też nie są zadowoleni. Piet chciał stworzyć spokojne miejsce, cichą przystań wśród morza wrzasków o polityce, wśród mordęgi i zaganiania. Tu ludzie mieli nauczyć się żyć świadomie. Odkryć swoją duszę, odnaleźć swoje prawdziwe ja. Po to wynalazł cały ten interes. Bar na dole właściwie do tego nie należy, to jest daleki przedsięwzięcie. Człowiek Zachodu odpręża się w knajpce, rozmawia tam z innymi. Człowiek zza baru miał powoli kierować poszukujących na górę, do restauracji z czystym jedzeniem, nie pryskanymi warzywami, razowym chlebem i sokiem marchewkowym. A tam mieli stać się czysti i zechcieć medytować. A Piet kierował, on wiedział, dokąd zaprowadzić. Przynajmniej tak myślał na początku, podejrzewam! Później zaczął wątpić z powodu tych kłótni i dlatego, że uważał się za słabego. Kiedyś słyszałem go, jak wygłaszał odczyt o jarskiej diecie, a potem poszedł i kupił za rogiem dwa hamburgery.

- Ale jednak wydaje się, że fundacja, czy co to naprawdę jest, ma powodzenie - powiedział de Gier. - Wszystko wygląda porządnie, w restauracji pełno, ludzie w barze. W sumie to musi nieźle iść.

- Oczywiście - powiedział Van Meteren - tu naprawdę jest przyjemnie. Zawsze się tu dobrze czułem, byłaby szkoda, gdyby to się skończyło. Idee pieta nie były takie złe, przeciwnie, tyle tylko, że sam sobie stał na przeszkodzie. Może był zbyt dumny. W końcu dopiero zaczynał i powinien to zrozumieć, ale zawsze chciał być czymś więcej, niż był naprawdę. Nie trzeba być od razu wielkim mistrzem, ale jemu się zdawało, że jest, a kiedy uciekli ludzie, ci, co mu pomagali, jego pierwsi uczniowie, i kiedy w dodatku odeszła jeszcze jego

żona z dzieckiem i przy tym naurągała mu od oferm i kutasów...

Van Meteren nie dokończył zdania.

- Kto tu jeszcze mieszka? - zapytał Grijpstra.

Van Meteren odliczył osoby na palcach. - Jego matka, osiemdziesiąt trzy lata, pokój obok, niezupełnie dobrze w głowie, teraz pewnie śpi. Nie można z nią rozmawiać, można jej tylko słuchać. Ja. Mnie panowie już znacie. Piętro wyżej, najwyższe, tam śpi Therese, dziewczyna z warkoczami. Annetje, druga dziewczyna, śpi na zapleczu, teraz dzieli swój pokój z Johanem. Eduard mieszka w domku w ogrodzie. Eduard miał dzisiaj wolne, ale możliwe, że był około południa w domu, muszą panowie zapytać, Johan miał cały dzień służbę, w dzień w kuchni, wieczorem w barze.

Zapukano do drzwi. Van Meteren krzyknął: - Tak! - ale nic nie nastąpiło, Wstał, otworzył drzwi i policjanci zobaczyli starą damę, wielką i kanciastą, w koszuli nocnej obszytej szeroką koronką i z zarzuconą na ramiona grubą wełnianą chustą. Dwoje bystrych czarnych oczu zaglądało sponad orlego nosa do pokoju.

- Co wy robicie - powiedziała stara dama. - Dlaczego rozmawiacie? Słyszę dudnienie męskich głosów, jest wpół do pierwszej, chcę spać.

Van Meteren otoczył staruszkę ramieniem.

- Wejdz, Miesje, panowie są z policji. To jest pan Grijpstra, a to pan de Gier.

Policjanci potrzęsneli pokrytą brązowymi plamkami szkieletowatą ręką.

Stara dama usiadła na brzeżku krzesła. Siedziała prosto jak świeca.

A co się stało? - zapytała opryskliwi^. - Czy to są twoi przyjaciele, Jan? Z policji drogowej?

- Nie, Miesje. Oni są z prawdziwej policji. Zdarzył się wypadek. Piet się przewrócił.

Staruszka, która na wpół przymknęła oczy, nagle jakby się obudziła.

- Nie żyje? - zapytała. Jej głos był ostry jak nóż.

Nikt nic nie powiedział.

- Nie żyje - powiedziała starsza dama i zaczęła płakać. Był to okropny odgłos, złożony z mamrotów i pisków. Usta miała szeroko otwarte i Grijpstra ze zgrozą patrzył na język, który wyskakiwał przy każdym nowym pisku.

Van Meteren wybiegł z pokoju i wrócił zaraz ze szklanką wody i małą-białą pigułką.

- Połknij to, Miesje: — Staruszka połknęła. Patrzyła nieprzytomnie przed siebie, zaskoczona nagłym rozkazującym tonem Van Meterena.

Spojrzała na de Giera i zaczęła mówić. Wydawało się, że ma całkiem sucho w ustach, jakby jej gruczoły ślinowe nie działały.

- Jeszcze w południe Piet powiedział, żebym nie marudziła, bo rododendrony stoją w kwiatkach. Ale ja już nic nie widzę. Co to są właściwie rododendrony?

Jej głos brzmiał płaczkliwie, jak u rozpieszczonego dziecka.

- To jest taki rodzaj tulipana, Miesje - powiedział Van Meteren i dźwignął ją z krzesła. - Chodź teraz ze mną, pójdziesz spać. Jutro zajrzę do ciebie przed pójściem do pracy.

- Wyprowadził staruszkę z pokoju.

- Staruszki okropnie na mnie działają - powiedział de Gier - a już w ogóle kiedy są wariatkami.

Musisz się koniecznie przyzwyczaić - powiedział Grijpstra. - Jest coraz więcej staruszek na świecie, społeczeństwo się starzeje, nie wiedziałeś o tym? Co to mogła być za pigułka?

- Środek nasenny na opium - powiedział Van Meteren, który właśnie powrócił. - Nazywa się palfium, ona to dostaje na receptę od lekarza, każdą ilość, to już jest beznadziejny nałóg, ale Piet nic z tym nie robił, w końcu kogoś w tym wieku nie można zacząć odzwyczajając, a te tabletki zapewniały jej przynajmniej spokój. Szczerze mówiąc, to powinna już od dawna siedzieć w zakładzie, ale Piet mógł ją jakoś trzymać w domu. Jutro zadzwonię do lekarza, to ją na pewno zabiorą.

- Czy Piet też brał te pigułki? - zapytał de Gier.

- W każdym razie nic o tym nie wiem - powiedział Van Meteren.

- Ale miał łatwy dostęp - powiedział de Gier.

Van Meteren przytaknął.

- Nie przypuszczam - powiedział po chwili. - Te pigułki są mocne. Lekarz mówi, że taka jedna może zwalić z nóg konia. Ale Miesje jakoś to wytrzymuje. Zresztą nie zostało jej wiele żołądka, kilka razy operowali jej wrzody i prawdopodobnie wszystko przepływa przez nią bez zatrzymania. Ale gdyby coś takiego zażył Piet, dałoby się to od razu zauważyć, człowiek robi się od tego śpiący, oczy mu się zamykają, nie panuje nad ruchami. Nigdy tego u niego nie zauważyłem. Ostatnio popijał czasem whisky w barze, ale po tym robił się po prostu trochę pijany. Domyślam się, że pan zmierza do tego, że Piet mógł się dzisiaj przewrócić.

- Tak - powiedział de Gier.

- To możliwe - powiedział Van Meteren - ale trzeba by było założyć, że wziął taką pigułkę po raz pierwszy.

- Dlaczego nazywa ją pan Miesje? - zapytał Grijpstra.

- Ach - powiedział Van Meteren - to kiedyś wymyśliłem. Ona dostaje czasem ataków hysterii, wtedy skrzykuje swoim piskiem cały dom. Odkryłem, że trzeba ją wtedy traktować jak dziecko. Piet mi powiedział, że nazywali ją Miesje, kiedy była mała i nosiła wysokie sznurowane buciki, skakała i biegała po chodniku. Kiedy jest normalna, nazywam ją panią Verboom, a kiedy wydaje mi się, że znowu zaczyna, mówię do niej Miesje. Jak już jest całkiem źle, biorę ją na kolana, wtedy się może wypłakać i poprzytulać. Rozmawiać z nią nie ma żadnego sensu, ona nie słyszy, co się mówi. Piet też tak z nią robił, dla niego była większym ciężarem. To był śmieszny widok, kiedy ona siedziała mu na kolanach, chyba ze dwa razy większa od niego. Ja też nie jestem duży, ale Piet to jest naprawdę chłopaczek, i tak szarpać się z tą zwariowaną starą babą. Dziwne są koleje losu, kiedyś prowadziłem powstańców indonezyjskich na linie; jeżeli się wrywali, lina zaciskała im się na szyi i dusiła ich, w jednej ręce trzymałem linę a w drugiej karabin. Teraz pomagam w lulaniu starej wariatki, biorę ją na kolana i mówię do niej Miesje.

Znowu zapukano. Wszedł zaniedbany młodzian w dżinsach i

z długimi włosami bez połysku. De Gier przypomniał sobie chłopaka z baru.

Przedstawił się jako Johan i policjanci poprosili go, żeby usiadł. Johan twierdził, że nic nie wie. Po raz ostatni widział Pieta Verbooma o czwartej, kiedy zaniósł utarg ze sklepu, f 356,30. Piet później mówił mu przez wewnętrzny telefon, że nie było tyle, ale on już nie chodził na górę; był zbyt zajęty sprzątaniami baru na wieczór.

- Jak myślisz, co się wydarzyło? - zapytał de Gier.

Johan wzruszył ramionami i Grijpstra zdał sobie sprawę, że spotykał go setki razy. Śródmieście od lat roilo się od duplikatów Johana; zerwanych z uwięzi chłopaków o dobrych zamiarach, przychodzących nie wiadomo skąd i idących nie wiadomo dokąd, włóczących się po urojonym świecie zawieszonym w przestrzeni, pozbawionym wszelkiego podparcia. Grijpstra pomyślał o swoim własnym synu i popatrzył na chłopaka bez nadmiaru sympatii.

- Najprędzej samobójstwo - powiedział Johan - kto by go chciał mordować? Był nieprzyjemny, ale nikomu nie robił krzywdy.

- Nie wygląda, żebyś się tym za bardzo przejął - powiedział de Gier.

- No, nie - potwierdził Johan. - Przykro mi, ale nie będę się zmuszał do współczucia. Annetje i ja mieliśmy w przyszłym tygodniu stąd odejść, to jest przedsiębiorstwo komercyjne, gdzie się zarabia pieniądze - dla szefa. A Pi. t był szefem. Chcieliśmy poszukać czegoś innego. Tutaj nas tylko robił w konia, ciężko pracuj dla dobrego celu, ale ten dobry cel to był sam Piet, czy panowie widzieli jego zegarek?

Policjanci przytaknęli.

- To niech panowie jeszcze obejrzą jego samochód, stoi pod drzwiami, najnowszy model. Piet był kapitalistą, ale się nie chciał do tego przyznać.

- Więc uważasz, że to było samobójstwo? - powiedział de Gier.

Johan przytaknął.

- Dostyc - powiedział Grijpstra. - Musicie iść spać. I ja też. I



mój kolega też. Jutro porozmawiamy dalej. Spróbuj sobie przypomnieć wszystko, co mogłoby mieć jakiś związek ze śmiercią Pieta. Został zakłócony porządek i jako funkcjonariusze śledczy musimy ten porządek przywrócić, a wy musicie nam pomóc, takie jest prawo.

Minutę później stali przy swoim samochodzie.

Spóźniony pijak przechodził podśpiewując. Potrzebował całej szerokości chodnika i de Gier musiał pośpiesznie odskoczyć na bok.

- Z drogi - krzyknął pijak, który złapał się za słup latarni i zaczął siusiać na jezdnię.

- Fe - powiedział de Gier.

- Uważaj - zawołał Grijpstra, bo pijak nagle się osunął i leżał teraz w połowie na chodniku a w połowie w rynsztoku.

De Gier otworzył drzwi samochodu i wziął do ręki mikrofon, podczas gdy Grijpstra przeciągnął człowieka na chodnik.

- Nieprzytomny człowiek na chodniku Haarlemmer Houttuinen, pięćdziesiąt metrów od rogu Buiten Brouwerstraat. Przyślijcie mikrobus, jest pijany w drobny mak.

- Wysyłam mikrobus - odpowiedział głos policjantki z izby zgłoszeń.

- Poczekajmy moment - powiedział de Gier - zaraz przyjdzie do siebie i pójdzie położyć się na jezdni.

- Dobrze - zgodził się Grijpstra - przecież i tak nic nie robimy. - W milczeniu poczekali jednak, aż przybył niebieski mikrobus z dwoma policjantami, którzy załadowali bezwładne ciało pijanego, stękając i klnąc.

- Nareszcie mają coś do roboty - powiedział de Gier, machając do policjantów i zapalając silnik.

- My też - dodał od siebie Grijpstra. - Nieźleśmy trafili. Zamordowana niewinność na stryczku, otoczona kochanymi ludźmi, Murzyn z dżungli wyszkolony w zwalczaniu partyzantów i tego kopnięta starsza dama.

- Mam nadzieję, że ona to zrobiła - powiedział de Gier - przecież i tak musi iść do zakładu.

- Kocha się ludzi, co? - zapytał Grijpstra.

- Nie kocha się więzień - powiedział de Gier. - Byłem tam w tym tygodniu. Zimno, ciemno i beznadziejnie. Jeżeli człowiek nie jest zły, to tam się stanie.

- A z drugiej strony niejednego tam wsadziłeś - zauważył Grijpstra.

- Tak, tak - powiedział de Gier i już nic więcej nie mówił tej nocy, oprócz ściśle rzeczowych uwag, koniecznych do sporządzenia protokołu, który Grijpstra wystukał powoli czterema palcami i który on, pod urzędową przysięgą, podpisał. Nie powiedział nawet dobranoc, ale Grijpstra był już do tego przyzwyczajony. Prawdziwa kłótnia jeszcze nigdy im się nie przydarzyła.

### 3

De Gier leżał w łóżku. Była ósma, już powinien był wstać, w każdym razie nie powinien już przedłużać snu.

Ale też nie spał. Stosował pewną sztuczkę, sposób, jakiego nauczył się będąc chłopcem. Leżąc płasko na plecach i sięgając palcami stóp do prętów starego szpitalnego łóżka (które przed paroma laty znalazł na licytacji i mógł zabrać za parę dziesiątków), utrzymywał z niejakim trudem stan półświadomości. Właściwie był zajęty kierowaniem pewnym snem. Jego ciało przenikało mrowienie - nie owo nieprzyjemne, prawie bolesne odczucie, które się miewa w dłoniach po wejściu z mrozu do ciepłego pomieszczenia, ale podniecający dreszczyk, który rozpalał całe ciało. W wyobraźni był prawie wolny, nie związany codziennymi obowiązkami, odpowiedzialnością, z całym nieodłącznym od ziemi istnieniem. W jego drżącym ciele duch poruszał się wolno, podług zasad, które on sam mógł określać.

I ponieważ był człowiekiem praktycznym, użył tej swojej wolności dla osiągnięcia bezpośredniego celu. Nakazał swojemu duchowi wrócić do pokoju, w którym wisiał trup. Zobaczył znowu Papuasa i starą chudą jak szkielet damę. Restaurację i gości oraz kuchnię i dziewczyny w kuchni. Nie starał się niczego osiągnąć, zmusił tylko swojego ducha do

cofnięcia się o jeden dzień i jego duch był posłuszny, dopóki Olivier ,nie skoczył na jego brzuch, rozbijając cienką ściankę, która oddzielała de Giera od rzeczywistości. Rozbudził się z niechęcią i spojrzął na zegarek. Pięć po ósmej.

- Tak - powiedział do kota syjam .kiego i postawił go na podłodze, gdzie ten zaczął mruzczyć i płaczkliwie miauczeć.

- Zaraz, zaraz - powiedział i poszedł do małej łazienki, oglądając po drodze rośliny, które rosły wszędzie dookoła.

Jeżeli to prawda, że dom jest projekcją osobowości mieszka-  
jącego, to osobowość de Giera nie była całkiem normalna.

Małe mieszkanie umeblował jedynie łóżkiem, regałami i roślinami. Żadnego stołu, krzesel, telewizora. Rozkładana półeczka, przykręcona do ściany nad łóżkiem, mogła służyć jako stół, jeżeli chciał coś napisać, ale to nie zdarzało się często. Jadał na stojąco w kuchni, niewiele większej od sporej szafy.

- Mmm - powiedział zatrzymując się przy bodziszku, który jeszcze przed paroma tygodniami był nasionkiem, i tak samo powiedział „mmm” oglądając roślinę o zwisających pędach, które opadały z regału.

- To rośnie - powiedział Olivierowi, który nie był ciekaw, po czym nad umywalką zwilżył pierś i ramiona zimną wodą i przystąpił do golenia, zamaszycie się pędzując.

Olivier ciągle narzekał.

- Zaraz będziemy jeść śniadanie - powiedział de Gier - idź, podokuczaj trochę ptakom na balkonie, chcę się spokojnie ogolić. - Odepchnął kota brzegiem bosej stopy i Olivier, becząc jak koza, pozwolił się przesunąć ku balkonowym drzwiom. De Gier otworzył mu je i zamknął wysadziwszy kota ostrożnym kopnięciem na balkon, koło którego akurat przelatowała mewa, chwytając w locie kawałki chleba.

Parę minut później policjant i kot jedli śniadanie. Jajecznicza na słoninie dla de Giera, siekane serce wołowe dla Oliviera. Potem zaś pili kawę i wodę. Po ostatnim sprawdzającym spojrzeniu w lustro de Gier poszedł do pracy, o godzinę za późno, a kiedy doszedł do przystanku autobusowego, kot wyszukał sobie wygodne miejsce pod jeszcze ciepłą kołdrą,

wyciągnął się i naśladowując zachowanie swego pana, zamykał się w swoim własnym świecie bez zapadania w sen.

- Spóźniłeś się - powiedział Grijpstra.

De Gier uśmiechnął się i myślał o pięknej czarnowłosej dziewczynie, która siedziała obok niego w autobusie.

- Nie pierwszy raz - powiedział de Gier.

- To prawda. Proszę. Przeczytaj to. Raport lekarza.

Byli w swoim wielkim szarym pokoju w Biurze Głównym. Grijpstra wychylił się do tyłu na plastikowym krześle i patrzył na swego czytającego kolegę. Uśmiechnął się krzywo. Czuł się zadowolony. Jego żona spała, kiedy o wpół do trzeciej wrócił do domu. Spała jeszcze, kiedy wychodził. Sam zjadł śniadanie z wieloma grzankami i smażonymi jajkami bez jakichkolwiek sprzeciwów ani krytyki, a w swoim biurze mógł spokojnie podlać drzewko kauczukowe i pograć na perkusji, która w niewyjaśnionych do tej pory okolicznościach trafiła przed rokiem do ich pokoju. Może pochodziła z rzeczy znalezionych albo zarekwirowanych. Grijpstra chciał zostać perkusistą, kiedy był jeszcze chłopakiem i mógł sobie pozwolić na fantazjowanie, i miał pewien talent. A teraz często przychodził specjalnie wcześniej, ku zdumieniu portierów, którzy uważali go za pracusia i służalca, i ćwiczył na trzech bębnach i dwóch talerzach. Oczywiście po cichutku, bo bębnić po cichutku to jest prawdziwa sztuka. Po wielu próbach zdołał się wyspecjalizować w „szeleszczeniu”, zamiataniu wachlarzowatymi instrumencikami, które przyszły razem z perkusją, stale też naciągał silniej skóry bębnów, żeby otrzymać jeszcze subtelniejsze efekty. Csz, cśś, a potem po raptownym obróceniu wachlarzyków: bam!, ale też oczywiście nie za mocno. A potem terkocik, krótki terkocik pałeczkami, bardzo krótki i dlatego bardzo podniecający.

Kiedy de Gier czytał, Grijpstra wypróbował jeszcze raz terkocik.

- Wspaniały - powiedział de Gier i uniósł wzrok.

- Co takiego? - zapytał Grijpstra.

- Ten terkocik. I ten raport. Czyli naprawdę wziął taką pigułkę. Czy to lekarstwo nazywało się palfium? Podług

lekarza miał w żołądku ślad opium. I pory by się zgadzały. Musiał umrzeć gdzieś koło siódmej, a my tam przyjechaliśmy o ósmej.

Zadzwoił telefon.

- Tak jest - powiedział Grijpstra pokazując grubym palcem na sufit. De Gier wstał posłusznie. W niecałe pół minuty stali wśród kaktusów u nadinspektora.

- I? - zapytał nadinspektor.

Grijpstra zdał relację.

- I? - zapytał nadinspektor ponownie.

Grijpstra nic nie powiedział.

Nadinspektor wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem. Obaj policjanci patrzyli przed siebie.

Nadinspektor zatrzymał się przy kaktusie, który miał prawie dwa metry wysokości, gruby zielony filar, krostowaty i pełen groźnych małych kolczastych haczyków. Oglądał roślinę z niejaką koncentracją.

De Gier bezgłośnie zachichotał. Wyobraził sobie, jak nadinspektor mierzy kaktus metalową calówką, taśmą Zwiniętą w małym pudełeczku, które wciągało miarkę do środka, kiedy się wciskało guzik. De Gier wiedział, że nadinspektor zawsze nosi przy sobie tę miarkę w prawej kieszeni marynarki od swego modnego miarowego garnituru. Latami de Gier podejrzewał, że nadinspektor nosi tam mały pistolecik, wbrew przepisom, które pozwalają funkcjonariuszom śledczym wyłącznie na noszenie broni dostarczonej przez państwo, ale pewnego razu drzwi do gabinetu nadinspektora stały otworem i de Gier zobaczył, jak jego szef z rozanielonym uśmiechem stał i mierzył tę potworność wyrastającą z wielkiej różowej donicy. De Gier był pewien, że nadinspektor miał ochotę dokonać pomiaru również w tej chwili i że na pewno to zrobi natychmiast, gdy Grijpstra i on zamkną drzwi za sobą. Spróbował oszacować, ile kaktus może urosnąć w ciągu dnia. Milimetr? Pół milimetra?

Nadinspektor odwrócił się i popatrzył na każdego funkcjonariusza z osobna.

- Niemrawiec - powiedział. - Ciamajda, który chce naprawić świat. Idzie taki do notariusza i zakłada fundację. Żeby oczyścić atmosferę. Fundację religijną, niczego mniej już nie można, i to w dodatku z religią, którą sam sklecił z kawałków istniejących religii, z których nic nie rozumiał, a o których ten czy ów pisarzyna, co też o niczym nie ma pojęcia, popełnił książkę. Kupuje na wpół zawalony dom na Składowach Haarlemskich, który już dawno powinien paść pod spychaczem, troszeczkę go podreperowuje i bieli wszystko na białe. Potem kupuje jeszcze gdzieś na bazarze podrabianą rzeźbę, która ma przydać całości wschodniego zabarwienia, podpala pałę kadzidła, a potem zaczyna sprzedawać „zdrowe jedzenie” bo to się teraz wszędzie robi. Jedz nie myte pomidory i nie łuskane ziarno, a od tego zrobisz się święty. To świństwo stoi przecież człowiekowi w gardle, w sklepach trzeciego świata nigdy nie ma szczurów, bo szczury nie lubią czegoś takiego. I sok marchewkowy, byłbym zapomniiał, trzeba przede wszystkim pić do tego sok marchewkowy, po tym ma się taki dobry wzrok, że się widzi, jak w niebie tańczą anieli.

Spojrzał pytająco na funkcjonariuszy. Obaj przytaknęli. Dobrze wiedzieli, że nadinspektor nie lubi soku marchewkowego. Wiedzieli też dokładnie, co lubił. Nadinspektor lubił starego zimnego jenevera, coctails krewetkowe, ślinciaczki w sosie czosnkowym i befsztyk z pieczarkami. Ananas z bitą śmietaną na wety. I koniak.

- Tam też jest bar - powiedział Grijpstra.

Nadinspektor spojrzał zdziwiony.

- Jest co?

- Bar - powtórzył Grijpstra. - Na dole, od wejścia na prawo. Można tam dostać drogie belgijskie piwo i jenevera, i winiak.

- Niezły pomysł - powiedział nadinspektor - po drinku łatwiej się nawiązuje kontakt z innymi niemrawcami. A kiedy już osłabisz trochę ich opór, możesz ich zabrać na górę i dać do zjedzenia talerz wodorostów. Zupy z pokrzyw. Sałatkę z chrzanu.

Znowu spojrzał na kaktus.

- Dobrze - powiedział. - Ale cały ten interes nie ma podstawy. Na początku coś takiego rozwija się dość naturalnie. W mieście roi się od poszukiwaczy i tych nietrudno ściągnąć do środka. Oni wszyscy chcą tego samego. Nic nie jest dobre, co się im tu oferuje, zwłaszcza jeżeli muszą coś za to zrobić. A wtedy fundacja jest sukcesem, a nasz przyjaciel zaczyna zarabiać pieniądze.' Zanim ci pozwolą postawić nogę w świątyni, musisz wyłożyć dwadzieścia pięć guldenów, bo klub jest tylko dla członków. Tak to jest, prawda?

Grijpstra skinął.

- A potem, kiedy już się przeszło wszystkie próby, wolno ci iść na górę. Zaglądałem do tej izby medytacji. Byliście tam?

- Tak jest - powiedział de Gier. - Wielki pusty pokój z długimi niskimi ławkami z drewna, trochę poduszek z gąbki i ołtarzyk, i jeszcze jedna ławeczka z grubszą poduszką, wyszywaną złotem.

- Otóż to - powiedział nadinspektor - dla głównego Ciamajdy. I świece, oczywista. No i tak tam siedzą ze skrzyżowanymi nóżkami. Cały rząd świątobliwych ludzików z wielką pilnością poszukujących siebie, swojej prawdziwej jaźni rzecz jasna, nie tej niby-jaźni, która się nazywa Jansen czy Pietersen. Kiedyś o tym czytałem. I nasz Piet jest tym wielkim kapłanem, na którego zeszło światło i któremu wolno siedzieć na złotych haftach, bo są tam różne szczeble i stany. Wszystkim chodzi o Ciszę, a można ją osiągnąć kilkoma etapami. Jest cisza trzeciego stopnia i tak dalej. Im ciszej, tym głębiej i dalej. Pewnie noszą jakieś dziwaczne ubranka, nie widzieliście żadnych dziwnych ubranek?

- Nie, panie nadinspektorze - powiedział Grijpstra.

- To na pewno wiszą w szafie.

Nadinspektor pomyślał chwilę.

- Ale po jakimś czasie cała sprawa bierze w łeb. Mędrzec staje się widoczny jak na dłoni i wszyscy widzą, że niczego sobą nie reprezentuje. Urok nowości przemija. Na początku obarcza oczywiście winą innych, 'nic bardziej ludzkiego, ale w końcu zaczyna rozumieć, że jest zerem. Wtedy połyka jedną z pigułek swojej mamusi i ścięty z nóg leży przez jakiś czas na

podłodze, ale w końcu gramoli się jeszcze raz i wnet huśta się na stryczku, tam też go znaleźliście. Te belki zostały zrobione zresztą dla lepszych celów.

- A do czego, panie inspektorze? - spytał de Gier.

- Te belki podtrzymują sufit kupieckiego domu. Holandia stała się wielką dzięki swoim kupcom. To byli prawdziwi poszukiwacze przygód. Nie sięgali może tak wysoko, ale robili przynajmniej coś pożytecznego.

De Gier milczał.

Cisza trwała jeszcze przez chwilę. Była to piękna cisza. Może nawet drugiego stopnia, pomyślał de Gier.

- No? - zapytał nadinspektor.

- Możliwe - powiedział Grijpstra. - Ale chciałbym jeszcze trochę poszukać, jeżeli pan się zgodzi oczywiście.

- Ma pan podejrzenia?

- Nie - powiedział Grijpstra. - Ale nie mogę zrozumieć, gdzie on zarobił tego guza na głowie. Nie przewrócił się na ziemię, raczej o coś się uderzył albo coś go uderzyło. W tym pokoju nie było dużo mebli. Szkoda, że ta rana nie krwawiła, wtedy moglibyśmy znaleźć w pokoju ślady krwi. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby dostał od kogoś po głowie, a jeżeli to prawda, to mogło to być morderstwo.

- Nieumyślne zabójstwo - powiedział nadinspektor. - Morderstwo jest zawsze tak trudne do udowodnienia, chociaż przeważnie próbujemy, próbować zawsze można. Ale najmłodszy, najmniej rozgarnięty adwokat może zawsze przekonać najbardziej doświadczonego i mądrego sędziego, że to było nieumyślne zabójstwo, choćbyśmy przedstawili sprawę okrągłą jak kula bilardowa.

Westchnął.

- A może to nawet nie jest zabójstwo. - Nadinspektor westchnął jeszcze raz, a jego oczy powędrowały ku kaktusowi.

- Jak to jest właściwie z waszym Papuasem? On naprawdę jest Papuasem? Nie spotkałem go.

- Tak jest, panie inspektorze - powiedział de Gier. - Ma holenderskie nazwisko Van Meteren, ale jest tylko w jednej ósmej biały, rzadki egzemplarz, Papuas prawie pełnej krwi w



Amsterdamie. A do tego jeszcze gliniarz.

- Tak, przeczytałem to. Osobliwe. Ale może w Amsterdamie jest więcej gliniarzy - Papuasów, w Amsterdamie można znaleźć wszystko, jeżeli się będzie wytrwale szukać. Czy ten Van Meteren nie powiedział, że ktoś mógł być walczyć z Pietem Verboomem i że Piet potem, w przystępie rozżalenia i zniechęcenia popełnił...

- Mógł był... - powiedział Grijpstra.

- Naciągane, co? A może nie. Wybadajcie to dalej. Morderstwo nie jest rzeczą codzienną. Wasza teoria też mogłaby być uznana za naciaganą. Cios w głowę, sznur na szyję...

Pokręcił głową.

Policjanci rozpoznali sygnał i ruszyli do drzwi.

Była przerwa na kawę, poszli do swojego pokoju i czekali na wózek, który miał wkrótce nadjechać. Byli zwolnieni z wyjazdów. Mogli się zastanawiać.

- Mamy sprawę - powiedział Grijpstra.

De Gier przytaknął i poszedł otworzyć drzwi kobiecie rozwóżającej kawę. - Dzień dobry, Treesje, dziękuję, Treesje.

Dostali dzbanek kawy i dwie filiżanki, dzbanuszek mleka i garść torebek z cukrem. Przez chwilę byli zajęci i mieszając spojrzeli na siebie.

Znowu zapukano i Grijpstra dostał teczkę.

- Aha - powiedział - raporty z przesłuchań. Zobaczymy.

De Gier patrzył mu przez ramię.

- Ho, ho - powiedział de Gier.

- No. Niezłe, co?

To było niezłe. Wywiadowcy, którzy przyszli po nich na miejsce zajścia, spisali dane gości z baru i restauracji. Trzydziestu ośmiu ludzi, nic szczególnego z wyjątkiem dwóch, ale ci dwaj siedzieli w barze i byli handlarzami środków odurzających, jeden z wyrokiem, malusieńkim, bo nie można było wiele udowodnić, a drugi tylko podejrzany, ale podejrzany nie bez racji.

- Znam te nazwiska - powiedział de Gier. - Wydział środków odurzających kiedyś mi o nich opowiadał. To muszą być grube

ryby, handlarze dużych partii, ale nie udało im się pozostać za kulisami.

- Hurtownicy - powiedział wesoło Grijpstra. - Dwóch naraz. Zaraz dzwonię.

Nadinspektor ulegał, niechętnie i Grijpstra musiał się parę razy powtarzać. Wreszcie odwiesił słuchawkę. De Gier spojrzał pytająco.

- W porządku - powiedział Grijpstra. - Dostaniemy pomoc. A nadinspektor sam zajrzy do archiwum.

Pomoc przyszła w ciągu dziesięciu minut i wypila resztę kawy; de Gier przepłukał dla nich filiżanki. Dwaj wywiadowcy przeczytali, co było w teczce, i wysłuchali jeszcze raz całej historii ze wszystkimi szczegółami. Po godzinie poszli.

Grijpstra zaprodukował terkocik na środkowym bębnie perkusji.

- Tak - powiedział. - Oni mogą się zabawiać w kawiarniach i barach. Jestem ciekaw, ile wydadzą pieniędzy, i to wszystko na państwowy rachunek. A my musimy pracować.

De Gier patrzył ponuro.

- Ile godzin przesiedziałeś w kawiarniach przy szklaneczce?

- Tysiąc - powiedział de Gier.

- Minęły te czasy - powiedział Grijpstra.

De Gier przymknął oczy i sięgnął myślami wstecz. Ile godzin przesiedział w kawiarniach? Słuchając, gawędząc, grając komedię. I wciąż szukając, kto coś wie? Kto coś powie? Kto wie, czy hurtownicy znali Pieta? Pieta, który właśnie umarł? Kto zna Pieta? Kto zna dom na Haarlem- mer Houttuinen numer 5? Co tam się działo oprócz świątobliwej gadki w barze, zdrowotnej diety i siedzenia po cichu w świątyni medytacji? Napijesz się jeszcze jednego? A słyszałeś ten kawał? Ostrożnie, ostrożnie. Rozmawiać z dziewczynami. Słuchać dziewczyn. Czekać, aż się zacznie jakaś awantura. Doprowadzać do złości. Kto jest zły, ten mówi. Kto jest zazdrosny, ten mówi. Komu nadepnęli na odcisk, ten mówi. Czy może trzeba coś zapłacić? Chcesz jeszcze jednego drinka? Dostaniesz. I jeszcze trochę miedzi, jeśli trzeba. Albo stowę, jeżeli twoja historia jest tego warta. Możesz mi to opowiedzieć

na dworze, na ławce w parku, gdzieś, gdzie jest cicho. I potem możesz za to parę dni pić albo palić, albo się szprycować. Bywa i tak. Czy jest coś gorszego niż szprycowanie się? Od wódki można się jeszcze uwolnić, od palenia haszyszu dostaje się tylko czerwonych oczu i może jakichś urojeń, ale od igły już się nie wyzwolisz.

- Idziemy do pracy - powiedział Grijpstra. - Ty wracaj do tego domu i przeszukaj wszystko. To jest wielki dom i nie widzieliśmy wszystkiego.

- A ty? - powiedział de Gier.

- Ja pójdę dowiedzieć się, czym była ta fundacja. Jak będziesz coś wiedział, to dzwoń. A kiedy mnie nie będzie, możesz mi tu zostawić kartkę i wieczorem zadzwonić do mnie do domu.

- Samochód? - zapytał de Gier.

- Niepotrzebny, obaj pójdziemy pieszo, zadzwoń do garażu, że samochód jest wolny.

Grijpstra wczorajszego wieczora zaglądał do regałów Pieta Verbooma. Oprócz książek stały tam segregatory i w jednym z segregatorów znalazł nazwisko rewidenta, który kontrolował księgowość Pieta i podpisywał razem z nim roczne sprawozdania fundacji. Zanotował sobie nazwisko i numer telefonu.

De Giera już nie było. Grijpstra zadzwonił do rewidenta i zastał go w biurze.

- Policja? - spytał rewident. - Oczywiście, jestem do dyspozycji.

Grijpstra był na miejscu w ciągu dziesięciu minut, piękny dom na Keizersgracht z poważną tabliczką. Został natychmiast wpuszczony do rewidenta i poczęstowany kawą i cygarem.

Rewident wiedział już o wypadku, czytał poranną gazetę.

- Czy był pan zdziwiony? - zapytał Grijpstra.

- Tak - odparł rewident i przeczesał ręką gęste, siwe, kręcone włosy. - Tak, byłem zdziwiony. Piet bywał czasem ponury i był oczywiście dziwakiem, nie zanadto zrównoważonym, miewał humory, ale samobójstwo... Czy to nie było samobójstwo?

Grijpstra wzruszył ramionami.

- Morderstwo?

Grijpstra zrobił ten sam gest.

- Co mogę dla pana zrobić?

- Czym właściwie była ta fundacja? - zapytał Grijpstra.

- No, cóż - powiedział rewident - niczym. Prawie niczym. Ale niemniej jednak dawała duże dochody. Bar szedł dobrze, restauracja jeszcze lepiej i na sklep też nie mogliśmy narzekać. Sporo tam się sprzedawało w tym sklepie, sama specjalna żywność, cent na zakup, gulden ze sprzedaży. Na książkach, osobliwościach i figurkach też były niezłe zarobki. Sprzedawał całe stosy toczonych pałeczek do ryżu, towar wytwarzany masowo w Hongkongu, koszt żaden, a on żądał po *f* 1,95. I minimalne koszty własne oczywiście. Nie płacił dużo swoim ludziom. To byli idealisci, zawsze im opowiadał, że fundacja należy do nich, ale Piet był w gruncie rzeczy właścicielem. Sądzę, że niektórym dawał nie więcej niż dwadzieścia pięć guldenów tygodniowo. Ponieważ była to fundacja o ideowym celu, nikt nie musiał figurować na liście płac, oprócz niego, rzecz jasna, jako dyrektora. Żadnych świadczeń socjalnych, nic. A jeżeli się komuś nie podobało, to po prostu odchodził, a na miejsce tych, co odeszli; stale napływali nowi.

- Ile Piet na tym zarabiał? - zapytał Grijpstra.

Rewident wyciągnął teczkę z szuflady metalowej szafy-

- Dwa do trzech tysięcy tygodniowo przed potrąceniem kosztów, według mego szacunku. Albo więcej, może nie wszystko zgłaszał.

- Czy płacił podatek?

Rewident spojrzał ostrożnie.

- Jeszcze nie. Fundacja liczyła sobie dopiero trzy lata. Podejrzewam, że Piet podpatrzył coś takiego w Paryżu, tam też jakiś czas pracował. Nie, nigdy nie został zapłacony choćby cent podatku, oczywiście nie licząc podatku obrotowego, bo tego nikt nie może uniknąć. To się po prostu odejmuje automatycznie od cen.

- Ale czy to tak można? Nie płacić podatku dochodowego?

Rewident patrzył w dalszym ciągu uważnie.

- Można, można - powiedział. - Fundacje to jest bardzo ulotna materia. Jeżeli nie są deficytowe, nie mogą osiągać zysków, ewentualne nadwyżki przeznacza się na pokrycie kosztów. Może pozostać fundusz rezerwowy, ale jeżeli będzie się za dużo zarabiać, można mieć kłopoty z inspekcją finansową. Przewidywałem to i nie mogłem narażać na szwank swojej opinii w rejestrze. Doradziłem mu obrócenie fundacji w zwykłe przedsiębiorstwo komercyjne i zapłacenie podatku za ubiegłe lata. Wtedy bym pozostał jego doradcą. Mógł oczywiście i potem dalej kombinować i chować pieniądze do swojej kieszeni, ale wtedy bym się definitywnie wycofał.

Grijpstra uniósł wzrok.

- Przed chwilą powiedział pan, jeśli sobie dobrze przypominam, „my” - „na sklep nie mogliśmy narzekać”. Czy to miało znaczyć, że był pan jakoś zainteresowany obrotami fundacji?

Rewident roześmiał się.

- Widzę, że mam do czynienia z policją. Nie, nie. W obrotach fundacji z definicji nikt nie może mieć interesu, żadnego materialnego interesu w każdym razie. Ale rewident utożsamia się zawsze ze swoim klientem na złe i dobre i mówi wtedy „my”. Może pan to porównać do matki, która mówi do swego malucha: a teraz zrobimy siusiu. Ale matka nie siusia, dziecko siusia!

Grijpstra zachichotał, dobre, na pewno się spodoba de Gierowi, trzeba zapamiętać.

- Ale gdyby dalej kombinował, w końcu musiałby przecież wpaść?

Rewident złożył dłonie w domek i patrzył sponad tej konstrukcji na swego interlokutora.

- Może tak, a może nie. Inspekcja jest ogromnie zajęta.

I możliwe, że Piet sprzedałby cały kram i uciekł za granicę. Może by mu zostało z kilkaset tysięcy.

- Czy Piet Verboom był jedynym zarządzającym? - zapytał Grijpstra.

- Tak - odparł rewident. - Prosił też mnie parę razy do spółki, ale nie wierzyłem w to wszystko. Jego żona też była zarządzającą, ale nie bardzo się w tym wszystkim orientowała. Zresztą uciekła od niego.

- Hmm - powiedział Grijpstra. - A gdzie się podziały pieniądze?

- Zaraz zobaczymy - powiedział rewident i pokartkował dossier. - No tak. Pozostawały w fundacji. Dom jest własnością fundacji i stale coś tam w nim przerabiał, przez co jego wartość stale szła w górę. Miał niezły samochód, też, własność fundacji, domek w Brabancji, w lesie, też elegancko na nazwę fundacji. I sam cośkolwiek zarabiał, jako dyrektor firmy. Niedużo, sześćset guldenów na miesiąc, i od tego płacił podatek.

Grijpstra wyjrzał przez okno. Rewident czekał cierpliwie.

- Czyli wszystko, co było w tym domu, adapter, meble, rzeźby, cały inwentarz baru, restauracji i sklepu, zapasy towarów, wszystko należało do fundacji.

Rewident skinął.

- I Piet mógł sprzedać wszystko, co chciał, a pieniądze schować do kieszeni?

- Tak - powiedział rewident - właściwie to on sam był fundacją. Trudny przypadek, także dla inspektora podatkowego. Ten interes powinien być koniecznie zostać obrócony w przedsiębiorstwo, a wtedy inspektor od razu by się do niego dobrał.

- Czyli nic karalnego?

- Sądzę, że nie - powiedział rewident. - Ale do czego pan zmierza?

- Jeszcze nie wiem - powiedział Grijpstra. - Zbieram tylko możliwie dużo informacji. Zastanawiam się, czy ktoś na jego śmierci mógł skorzystać.

- Jego żona - powiedział rewident. - Ale ona od niego odeszła. Uciekła do Paryża, powiedział Piet. Jeżeli tam siedzi, to nie mogła go zamordować. Zresztą, ja ją znam, to piękna, ale trochę pozbawiona wyrazu kobieta. Nie przypuszczam, żeby była zdolna do powieszenia kogokolwiek. Ich dziecko ma

cztery lata.

- Czy widzi pan powód do samobójstwa? - zapytał Grijpstra.  
Rewident wyjrzał przez okno.

- Nie jestem psychologiem, ale może był pewien powód. Ta fundacja nie mogła tak dalej istnieć, sądzę, że Pieta ostatecznie co do tego przekonałem. Pewnego dnia musiałby z tego zrobić własne przedsiębiorstwo albo spółkę z o.o., a wtedy kazaliby mu wyłożyć na stół forszę na podatek. Obliczyłem mu, że by go to kosztowało około pięćdziesięciu tysięcy, a tyle nie miał.

- W gotówce - uzupełnił Grijpstra.

- Dlatego to nie było aż takie straszne - powiedział rewident - mógł wziąć kredyt pod zastaw hipoteki tego domu albo sprzedać domek w Brabancji, kupił go bardzo dobrze, a zysk na tym domku nie podlegałby nawet podatkowi. Ale ta kwota wydawała mu się nie do przyjęcia, związał mi się tu na krześle jak na mękach, kiedy mu powiedziałem. I oczywiście skończyłby się gruby zysk. Teraz mógł operować personelem jednorazowego użytku, który miał prawie darmo, ale przedsiębiorstwo ma prawdziwy personel, a prawdziwy personel w dzisiejszych czasach kosztuje furę pieniędzy.

- Aha - potwierdził Grijpstra.

Przyglądał się rewidentowi, wysokiemu, barczystemu mężczyźnie między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Kształtna głowa. Rewident, Rejestru, człowiek z towarzystwa, porównywalny z chirurgiem, dyrektorem banku, wielkim kupcem. Droga kancelaria, drogie nazwisko. Joachim de Kater, nomen omen: kocur, przyglądający się, jak inni gonią tam i z powrotem w pocie czoła, a on, kocur, machnie tylko co jakiś czas łapą i zawsze zawiśnie na niej niezły kąsek. Rewident Rejestru jest nieomal ponad prawem. Człowiek, któremu się wierzy, który nawet nie musi dawać słowa.

- Dziękuję panu - powiedział Grijpstra - nie będę zabierał panu więcej czasu.

- Jestem do pańskich usług. - De Kater wstał. Energiczny uścisk suchej dłoni. Drogi uśmiech. Grijpstra przyjrzał mu się w tej chwili. Taka szczeka musi sporo kosztować. Osiem

tysięcy? Dziesięć tysięcy? Zęby wyglądające na naturalne, odrobinę nawet nieregularne, ale każdy ząb to oddzielne dzieło protetyka, a trzonowe zęby wszystkie ze złota.

Grijpstra szedł zamyślony nad wodą Keizersgracht. Pięćdziesiąt tysięcy do zapłacenia za jednym zamachem, ale to jakoś by jeszcze przeżył. Podatki nigdy nie wykończyły jeszcze kury, znoszącej złote jajka. Na pewno daliby mu czas, żeby tę kwotę spłacił ratami. Trzeba będzie zadzwonić do wydziału finansowego.

Ale może Piet rzeczywiście pomyślał, że w jednej chwili straci i pieniądze, i szansę dobrych zarobków. Ta myśl mogła go popchnąć do takiego rozpaczliwego czynu. Ale wsadzać od razu głowę w pętlę z powodu garści pieniędzy? Małą główkę o ciemnorudych włosach i ładnym zadbanym wąsiku. Małą główkę z nielichym guzem. Znowu stanął mu przed oczami ten mały trup, bose stopy przykładnie jedna przy drugiej, palce skierowane równolegle ku drewnianej podłodze.

#### 4

De Gier szedł długim sprężystym krokiem wzdłuż kupieckich kamienic Prinsengracht. Był zły na policję w ogóle, a na Grijpstrę w szczególności. Nie chciał iść piechotą, miał ochotę jechać samochodem. Ale policja jest oszczędna, a Grijpstra był policjantem starej daty. Nigdy nie skorzystałby z samochodu, gdyby to nie było niezbędnie konieczne.

Ale była ładna pogoda i gniew de Giera przechodził. Jeżeli Grijpstra chciał być taki dobry dla państwa, to jego sprawa. Postanowił, że aby go ukarać, pójdzie piechotą, a nie pojedzie tramwajem, wiedząc nawet, że kasa policyjna zwróciłaby mu pieniądze za bilet.

De Gier uśmiechał się, przeanalizował swoje myśli i pojął, że jest małodusznym człowieczkiem. De Gier zawsze starał się analizować swoje myśli i odnajdywać motywy, jakie go popychały do czynów. I zawsze znajdował małoduszość. Ale ta małoduszość nie nastrajała go ponuro. Dzielił ją z większością ludzi, bo jego bliźni zdawali się przejawiać tę



samą małoduszność, więc też de Gier nie miał zbyt wygórowanego mniemania o ludzkości. Kiedyś przy kieliszku-podzielił się tym z Grijpstrą i Grijpstra przytaknął. Był to jeden z rzadkich wieczorów, kiedy Grijpstra się zapomniał, nie chcąc wracać do rodziny, i po długim dniu przyjął zaproszenie de Giera, żeby zjeść u Chińczyka, a potem trafili do jednego z małych szynków przy Zeedijk, gdzie właściciel rozpoznał ich jako policjantów i milcząco podsuwał jednego jenevera za drugim.

Grijpstra nie tylko wtedy przytaknął, ale się też rozgadał. Opróżnił swoją szklanekę jednym haustem, stanął plecami do baru i podniósł palec wskazujący do góry.

- Ludzi - powiedział Grijpstra - można podzielić na parę grup.

- Tak? - zapytał de Gier swoim najłagodniejszym i najbardziej zachęcającym głosem. Zawsze próbował skłonić Grijpstrę do mówienia i teraz zanosilo się na powodzenie.

- Tak - powiedział Grijpstra - słuchaj. Najpierw są szuje. Znasz ich nie gorzej niż ja. Faceci o czerwonych łbach i grubych karkach, którzy rozbijają się amerykańskimi samochodami, palą cygara i mają futrzane kołnierze przy jesionkach. Są szuje-alfonsy i są szuje-bankierzy, ale w gruncie rzeczy to jest jedno i to samo. Szuje to są chłopaki, które zrozumiały, w czym rzecz. Wiedzą, czego ludzie chcą. Ludzie chcą, żeby ich nabijać w butelkę, i-szuję nabijają. Dowiadują się albo, jeszcze lepiej, każą się dowiedzieć (są otoczeni przez bardzo inteligentnych niewolników), czego ludzie chcą i te rzeczy bardzo tanio kupują, a potem sprzedają za najnieprawdopodobniejsze ceny. To się odnosi do towarów i do usług. Szuję zarabiają zawsze. Nigdy nie stoją w kolejce i regularnie wyjeżdżają na wakacje. Na Ijsselmeer czekają ich jachty, a w Hiszpanii stoją ich wille. A na Beethovenstraat mieszkają ich metresy. Nie mają żadnych problemów i nie sprawiają żadnych problemów. Wszystko prędko załatwiają albo, ale to już raz zaznaczyłem, każą wszystko załatwić. To jest pierwsza grupa.

De Gier słuchał z zapartym tchem. Zmęczony szynkarz

postawił nowego drinka. Dwa drinki, kiedy de Gier skinął zachęcająco.

- Druga grupa - powiedział Grijpstra, który leciutko sepleniał - jest największa. To są niedojdy. Tę grupę należy podzielić na dużą liczbę mniejszych grup, ale właściwie po co?

De Gier potrząsnął głową, nie chciał dalej dzielić.

- Bardzo dobrze - powiedział Grijpstra - to i tak są wszystko takie niedojdy czy siakie niedojdy, ale wszystkie są siwej maści. Cierpią bolączki, wystają w kolejkach, tylko raz w roku mają urlop, jeżdżą w malutkim samochodziku, który się stale psuje, kupują drogie towary od szuj, i płacą podatki oczywiście, to im się od razu potrąca z pensji, i robią, co im się każe, nie tylko, co powiedzą szefowie, ale i co powie reklama, co mówi telewizja, co mówi gazeta, co mówi każdy. Jeżeli tylko mówi się dostatecznie głośno, oni to robią. Nawet włąza do wagonów bydłych i jadą do obozu koncentracyjnego, a kiedy to się skończy, zapełniają samolot czarterowy i lecą do Jugosławii. Chodzą do brudnych kurew i piją syntetycznego jenevera. Zdrowie.

- Zdrowie - powiedział de Gier.

- Robią wszystko, co im każą szuje. A jak skończą sześćdziesiąt pięć lat, podaje im się dłoń i odchodzą, i nigdy się ich już nie widzi, ale to nie szkodzi, bo lęgną się prędzej, niż znikają. Są bardzo czuli na pieczątki i formularze, i tabliczki na drzwiach. I medale, i tytuły, i wszelkie przywileje. Ale nie mają żadnych przywilejów ani praw. Mają obowiązki. Obowiązek kupowania i oszczędzania. Wszystko jedno, jaki system polityczny im dasz, pozostaną niedojdami, a jak będzie przejeżdżać w limuzynie jakaś szuja, oni krzyczą hura. Do taktu i na baczność. Hura, hura, hura!

Grijpstra trochę za głośno zawołał i stali goście też zaczęli wołać hura.

- Słyszysz - powiedział Grijpstra. - Dokładnie, jak powiedziałem. Ale oprócz nich jest jeszcze trzecia grupa

Jest to bardzo mała grupka. Wiesz, kogo mam na myśli?

- Nie wiem - powiedział de Gier - ale chyba mi powiesz?

- Ta mała trzecia grupka - podjął Grijpstra - to jest grupka

życzliwych. To są panowie wśród nas. Idealiści. Ludzie z dobrymi pomysłami i często niezwykle inteligentni. Nie pchają się i nie wciskają i sprawiają wrażenie, że anie nie nabijają w butelkę, ani nie są nabijani.

- To pięknie - powiedział de Gier. - Czyli jest jeszcze trochę przyzwoitych ludzi.

- Nie - odparł Grijpstra - tego nie powiedziałem. Nazwałem ich tylko życzliwymi. Od czasu do czasu stykam się z nimi i wtedy dokładnie im się przyglądam. Bardzo dokładnie.

- I co wtedy widzisz? - zapytał de Gier.

- Tak - rzekł Grijpstra, pocierając dłonią po zmęczonej twarzy - nie wiem. Nie widzę właściwie dużo. Ale nie mam do nich za grosz zaufania. Ci życzliwi też są do niczego. Wierzę w to święcie.

De Gier często zastanawiał się nad tymi trzema grupami Grijpstry i im był starszy, i im więcej przeszedł, tym bardziej wierzył w słusność jego teorii. Ale pozostawiał jednak w niej trochę wolnego miejsca. Nie lubił teorii, które sprawdzały się co do joty. De Gier wierzył w cudowny surrealistyczny świat i nie chciał poniechać swojej wiary, zwłaszcza dlatego, że ten świat wielokrotnie mu się potwierdzał. Teraz też, kiedy szedł wzdłuż Prinsengracht. Nad wodą szybowała mewa, jakiś szczyt domu odcinał się ostro na tle ciemnoszarej chmury deszczowej, jakaś stara kobiecina karmiła wróble, które rzucały coraz to inny cień na bruk. Cudowny świat, pomyślał de Gier. Bardzo piękny. Może on jest do niczego, ale ja istnieję. Idę sobie i mam coś załatwić, coś zbadać.

Było ciepło tego lipcowego poranka i ucieszył się, zobaczywszy Składy Haarlemskie, bo wiedział, że czeka na niego chłód wielkiego starego domu. Ale nim do niego doszedł, zobaczył samochód policyjny na chodniku, w tym samym miejscu, gdzie zaparkował poprzedniego wieczora i w chwilę potem rozpoznał wywiadowcę z biura na Warmoesstraat.

- Co znowu? - zapytał zdziwiony kolegę.

- Włamanie - odparł kolega i zabrał go do restauracji, gdzie wokół stołu spokojnie siedziała czwórka pomocników Pieta oraz Van Meteren.

- Cześć - powiedział de Gier do Van Meterena - nie musisz być w pracy? Już po jedenastej.

Van Meteren uśmiechnął się.

- Znowu tu jesteś? Nie, nie muszę iść do pracy. Poprosiłem o wolny dzień z powodu niezwykłych okoliczności, chciałem załatwić przeniesienie matki Pieta. Ale tymczasem w nocy było tu włamanie i znowu do was zadzwoniłem.

- Ale kiedy? - zapytał de Gier.

- Ja wiem? - odparł Van Meteren. - Położyłem się spać, jak poszłicie. Musiało się to zdarzyć między wpół do drugiej a wpół do ósmej, bo o wpół do ósmej zeszedłem na dół. Wyłamali drzwi do piwnicy i przewrócili wszystko do góry nogami w sklepie i w restauracji. Na górze nie byli, bobym ich na pewno usłyszał.

- Czy coś zginęło? - spytał de Gier wywiadowcę.

Tamten wzruszył ramionami.

- Niewiele. Nie ma magnetofonu, który tu stał, i kasetki z pieniędzmi. Dziewczyny mówią, że tam były tylko drobne, grube oddały już wcześniej pryncypałowi. A pryncypał popełnił samobójstwo, ale o tym już wszystko wiesz.

De Gier spojrział na kolegę i uzmysłowił sobie, że nic nie wie. Trup i włamanie, coraz lepiej.

- Napisałeś już raport? - spytał.

- Napisałem, odciski palców też załatwione, ale takie chmary ludzi się tu kręciły, was też tu wczoraj w nocy było wszędzie pełno. Miałem właśnie zamiar odjeżdżać.

De Gier uściśnął mu rękę i funkcjonariusz wyszedł.

- A to numer - powiedział niezadowolony de Gier do Van Meterena - a ja przyszedłem zobaczyć, czy jeszcze czegoś nie znajdę.

Uzmysłowił sobie, że Van Metereija uważa również za kolegę.

- Czy teraz możemy już odejść? - zapytały dziewczyny.

De Gier przytaknął.

- A dokąd macie zamiar pójść?

- Niech pan się nie martwi - odparł Johan - pozostajemy w mieście. Eduard i ja zamieszkamy w łodzi mieszkalnej na

Binnenkant, naprzeciwko numeru 10, łódź nazywa się „De Goede Hoop”, to jest własność mojego brata, ale on jest teraz w Indiach, tymczasem stoi pusta, a ja mam klucze.

De Gier zapisał adres.

- A co macie zamiar robić? - zapytał dziewczyn.

- Ja idę z chłopakami - odpowiedziała gruba dziewczyna i przysunęła się do Johana. De Gier z trudem pohamował grymas wstrętu. Nie miał nic przeciwko grubym dziewczynom, ale jeżeli taka jeszcze do tego nosi cygańskie sukienki w kwiaty i w dodatku lata boso z brudnymi stopami... Ukradkiem zerknął w dół. Annetje miała brudne bose stopy.

- A ty? - zwrócił się do ładnej dziewczyny.

Therese patrzyła przed siebie.

De Gier powtórzył pytanie.

Therese zaczęła płakać.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział Van Meteren i usiadł przy dziewczynie.

- Ona jest w ciąży - powiedział do de Giera - i nie wie, gdzie się ma podziać.

- Masz ci los - powiedział de Gier. Przyjrzał się z zaciekawieniem dziewczynie. Piękna, długie czarne włosy, zielone kocie oczy, wysoka, trochę chuda, ale z ładnymi pełnymi piersiami. Znowu ukradkiem zerknął w dół. Długie nogi, sandały i czyste stopy.

- Czy nie mogłaby tymczasem tu pomieszkać? - zapytał Van Meterena.

- Nie wiem. Interes jest zamknięty. Wysłałem telegram do żony Pieta. Paryż niedaleko, na pewno niedługo przyjedzie. Przedtem miała tu coś do powiedzenia, razem z Pietem, a teraz jest chyba jedyna. Nigdy nie widziałem statutu fundacji, może będzie mógł w czymś pomóc rewident. Dom na pewno zostanie sprzedany.

- Ale w takim razie Therese może jednak tu jeszcze zostać?

- Nie chcę tu zostać - powiedziała Therese, która przestała płakać. - W tej trupiarni. A teraz jeszcze zrobili włamanie. Wolę jechać do matki.

Podawała adres w Rotterdamie, a de Gier go zapisał. Johan,

Eduard i Annetje pożegnali się. Ich walizki stały już gotowe, jedna przy drugiej koło drzwi. De Gier dotknął dłoni Annetje. Van Meteren też wstał.

- Zaraz do ciebie zajrzę - powiedział de Gier - chciałbym tylko porozmawiać z Therese.

Gdy byli sami, de Gier zaoferował dziewczynie papierosa i podał ogień: zaciągnęła się niezręcznie jego gauloise'em i zaczęła kaszlać.

- Zgaś go - powiedział de Gier - to żaden przysmak. Chciałem cię zapytać, z kim jesteś w ciąży.

- Z Pietem - powiedziała dziewczyna.

- Czy jego żona dlatego odeszła?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

- Jego żona była do tego przyzwyczajona. Piet próbował tu podrywać każdą dziewczynę i co jakiś czas mu się udawało. Ze mną na początku nie, ale mieszkam tutaj, a on tak nalegał i czasem umiał być naprawdę miły.

- Był naprawdę miły? - zapytał de Gier.

Dziewczyna uniosła wzrok.

- No?

Znowu zaczęła płakać.

- Nie. To był drań. Z tą swoją manią zdrowia. Po co ja tu zostałam? Teraz jeszcze będę musiała iść na zabieg, póki nie jest za późno. A w żadnym wypadku nie chcę mieć jego dziecka.

De Gier pozwolił się jej wyplakać. W otwartych drzwiach pokazał się Van Meteren, ale de Gier zrobił przeczący gest i Van Meteren z powrotem zniknął.

- Klóciłaś się z nim czasem?

Dziewczyna go nie słyszała. Wstał i ujął ją za ramiona, ale to spowodowało tylko komplikację stosunku między przesłuchującym a przesłuchiwanym, bo rzuciła mu się w objęcia.

- Eeej - powiedział de Gier i posadził ją ostrożnie na krześle. Powtórzył swoje pytanie.

Skinęła głową.

- Wczoraj też?

Znowu skinęła głową:

- Wczoraj po południu w jego pokoju?

- Tak - powiedziała dziewczyna. - Bardzo na niego krzyczałam, ale on nic nie odpowiedział, tylko że mogę sobie pójść, jeżeli mi się tu nie podoba, i że już jest żonaty i nie może mi w żaden sposób pomóc. Powinam była uważać. Każdy powinien ponosić konsekwencje własnych czynów. To się nazywa w religii Wschodu karma. Karma jest zawsze pożyteczna. Widzisz, znów czegoś się nauczyłaś. Cha, cha.

- I wtedy go uderzyłaś?

- Rzuciłam w niego książką.

- Ciężka była tą książką?

- Tak, taki gruby słownik.

- Trafiłaś go?

Nie otrzymał odpowiedzi. Wziął ją za rękę i poprowadził na górę. W pokoju Pieta znalazł słownik, leżał na ziemi, ale leżały tam różne książki. Rzecz była potężna.

- Możesz sobie przypomnieć, czy go, trafiłaś? Przewrócił się?

- Nie wiem - odparła Therese. - Wybiegłam z pokoju, jak rzuciłam tą książką. Nie oglądałam się.

De Gier pytał dalej, ale nie posunął się do przodu.

Wybiegła i zatrzasnęła za sobą drzwi. I nie powiesiła go; gdy o to spytał, zaczęła się śmiać przez łzy.

De Gier wziął arkusz papieru z notesu, jaki leżał na stole, i napisał krótkie oświadczenie. Potem je przeczytał i poprosił Therese, żeby podpisała. Sprowadzało się ono do tego, że rzuciła w Pieta grubym słownikiem, ale że nie wie, czy go trafiła, bo zaraz wybiegła z pokoju, nie oglądając się.

- Chyba pan nie myśli naprawdę, że ja go powiesiłam? - zapytała.

De Gier nic nie powiedział, tylko zatelefonował do Biura Głównego i został połączony z Grijpstrą. Grijpstra grał sobie na bębnie i rozmawiał z nim jednocześnie.

- Zaraz tam będę - powiedział w końcu.

- Ale weź samochód - powiedział de Gier - to kawał drogi - i odłożył słuchawkę.

- Stryczek - powiedział do dziewczyny. - Czy wiedziałaś, że w pokoju był stryczek, a w belkę na suficie był wkręcony hak?

- Ten hak był tam zawsze - powiedziała Therese. - Kiedyś Piet trzymał tam zawieszoną maskę, ale to był dla mnie nieprzyjemny widok, kiedy leżałam w łóżku, i wtedy Piet sprzedał ją. A ten stryczek to przecież zwyczajny sznur. Mamy tu masę tego sznura. Piet importował żywność z Japonii, przychodziła w takich ładnych beczułkach, obwiązanych grubym sznurem. Ten sznur, który tu wczoraj widzieliście, był z tych beczek.

- Więc widziałeś ten stryczek? - spytał prędko de Gier.

- Nie - odparła dziewczyna. — Van Meteren mi powiedział.

- Czy myślisz, że Piet popełnił samobójstwo? - spytał de Gier. Dziewczyna spojrzała na niego obojętnie.

- Wcale bym się nie zdziwiła. Miał niedobrze w głowie, tak mi się zdaje. Kiedy uciekła od niego żona, strasznie narzekał. Przy mnie też, kiedy leżał ze mną w łóżku.

- Na co jeszcze narzekał? - spytał de Gier.

- Ach - odparła niezdecydowanie Therese - na wszystko. Marudził coś o sensie życia i o iluminacji. Uważał, że nie doznał iluminacji. Tego się dostępuje, kiedy żyje się podług reguł, ale on nie dostąpił.

- Iluminacji? - spytał de Gier.

- Tak - powiedziała Therese. - Zawsze mi to przypominało żarówki. Buddyści, i chyba hinduiści też, mówią, że człowiek doznaje iluminacji, jeżeli żyje we właściwy sposób. Do tego trzeba robić wszystko możliwie dobrze i dużo medytować i wtedy zaczyna się coraz więcej rozumieć, i ma się widzenia, jakoś tak. Niewiele o tym wszystkim wiem, szczerze mówiąc. Ale myślałam, że po czymś takim będzie się miało mniej problemów. I chyba Piet też na to liczył. Mówił, że przemilcza swoje problemy. I że na pewno źle robi, ale nie wie, jak powinien właściwie postępować.

- Ale samobójstwo nie wydaje mi się czymś zanadto buddyjskim - powiedział de Gier - albo hindystycznym, czy jak się to tam nazywa. Jeżeli się popełnia samobójstwo, kończą się wszystkie twoje próby i niczego nie można dostąpić. No nie?

Therese usiadła na łóżku i przecierała oczy.



- Piet powiedział, że Japończycy, mnisi czy samuraje, już nie wiem dokładnie, popełniali samobójstwo, kiedy znaleźli się w beznadziejnej sytuacji. Tak trzeba, mówił. To nawet godne podziwu. Ale to trzeba robić we właściwy sposób. Najpierw oczyścić duszę i ciało; potem pomedytować przed ołtarzem i dopiero wtedy, kiedy się z całym spokojem człowiek pożegnał ze wszystkim dookoła, można to zrobić.

De Gier pomyślał o kancie na spodniach Pieta, uczesanych włosach i zadbanym wąsiku.

- Co naprawdę sądziłaś o tej religii Pieta? - zapytał de Gier. - O tym hindyźmie?

- Ech - powiedziała dziewczyna - ostatnio już się od tego robiłam chora. Mówił tyle bzdur. Nic naprawdę nie istnieje. Wszystko jest iluzją, wszystko się zmienia i przemija. Życie jest snem i nic nie jest naprawdę ważne. Wydaje się autentyczne, ale takie nie jest.

De Gier zastanowił się.

- Ale to mogłoby być w gruncie rzeczy słuszne - powiedział.

- I rzeczywiście tak jest - powiedziała dziewczyna - ale nie kiedy mówi o tym Piet. Ktoś, kto wie, że nic nie jest naprawdę ważne i że tu wszyscy kręcimy się tylko, żeby odbyć ćwiczenia, a on tak zawsze mówił, nie zachowuje się jak Piet.

- Więc jak on się w takim razie zachowywał?

- Był nieprzyjemny - powiedziała Therese - nudny. Ponury. Strasznie mu zależało na posiadaniu, zawsze mówił, że posiadanie to głupota, że ma się po prostu rzeczy, żeby się nimi posługiwać, korzystać z nich, i że poza tym trzeba z dystansem podchodzić do tego, co się ma. Ale sam trząsał się nad każdym garnuszkiem, każdym stołkiem, każdą płytą, każdą książką. Jak się coś od niego pożyczyło, zaraz trzeba było oddawać. Nigdy nie zdążyłam doczytać do końca żadnej książki. I nigdy nic nikomu nie dał. Wszystko, co od niego dostałam, kiedy mnie podrywał, później mu oddałam. Figurę, parę muszel, płytę. Lepiej, żebym oddała, mówił, to wtedy będzie nasze wspólne. I stale sterczał na dworze i pucował swój samochód. I co wieczór obliczał, ile pieniędzy posiada fundacja, a przecież ta fundacja to był on sam, no nie?

Wszystko było jego, do niczego nie wolno nam się było dotknąć. Nawet kiedy jechaliśmy do tego domku w Brabancji, sprawdzał dokładnie, ile się brało jedzenia, i gdy uznał, że to za dużo, wyciągał z powrotem z torby. Ale kiedy sam jechał, wszystko było w porządku.

De Gier pokręcił głową.

- Ale jeżeli wiedziałas, że to taki typek, to dlaczego poszłaś z nim do łóżka?

Therese znów zaczęła płakać.

- Ja wiem? Nie mam pojęcia, dlaczego się robi coś takiego. Przychodził stale do mojego pokoju, a mnie jest tak trudno nawiązać z ludźmi kontakt. Kiedy się do mnie uśmiechnie jakiś mężczyzna, nigdy nie wiem, jak się zachować. A mężczyźni zawsze tak komplikują sprawę, flirtują, silą się na marne dowcipy, a Piet tego nie robił. Powiedział po prostu, że chciałby iść ze mną do łóżka i żebym się rozebrała. Najpierw powiedziałam „nie”, ale później to po prostu zrobiłam.

Zawsze się człowiek czegoś uczy - pomyślał de Gier. Ta dziewczyna w autobusie. A gdyby ją tak postukać w ramię, spojrzeć prosto w oczy i powiedzieć: „Proszę pani, nazywam się Rinus de Gier, chciałbym iść z panią do łóżka. Czy odpowiada pani dziś wieczór? Oto moja wizytówka. Od siódmej jestem w domu”.

- Czy pan mnie słucha? - zapytała Therese.

- Jak najbardziej - odparł de Gier.

- No więc, czy mogę już iść? Czy myśli pan dalej, że powiesiłam Pieta?

- Tak, tak, idź - powiedział de Gier - a jakby coś było, to mam twój adres i telefon.

- A co ma być? - spytała Therese. - Piet nie żyje, a ja jestem w ciąży i muszę się jakoś z tego wygrzebać.

Wszedł Grijpstra i de Gier opowiedział o swoim odkryciu.

- No, no - powiedział Grijpstra - rzuca się książkami, co?

Therese nic nie powiedziała.

- No, damy sobie jakoś radę - powiedział Grijpstra. - Przyjemnej podróży do Rotterdamu - i spojrzał przyjaźnie na dziewczynę. Następnie razem przeszukali cały dom, pokój po

pokoju. Mieli czas i pracowali spokojnie. W pewnym momencie wytrąciły ich ze skupienia głosy, okazało się, że to są dwaj pielęgniarze z sanatorium dla nerwowo chorych gdzieś w rejonie Gooi. Przyjechali zabrać matkę Pieta.

Pani Verboom pozwoliła się spokojnie wyprowadzić i nie rozpoznała dwóch policjantów. Van Meteren dał jej znowu tabletkę palfium, stara kobieta była prawie zupełnie otepiała i zaledwie powłóczyła nogami. Van Meteren niósł jej walizkę.

- Jak ci się udało to tak szybko załatwić? - zapytał de Gier, kiedy Van Meteren wrócił.

Przez lekarza domowego. On już dawno chciał ją oddać do tego zakładu. Dziś rano do niego zadzwoniłem, jak tylko powiadomiłem policję o włamaniu. Zaraz przyjechał i zatelefonował do sanatorium. Ona tam na razie jakiś czas zostanie, a potem zabiorą ją do domu starców dla chorych psychicznie.

- Czy ona naprawdę nie jest przy zdrowych zmysłach? - zapytał Grijpstra.

- Co to znaczy przy zdrowych zmysłach? - spytał Van Meteren z rezygnacją. - Nie może po prostu troszczyć się o siebie, więc gdzieś ją muszą zabrać. Jeżeli doktor chce ją umieścić w sanatorium, to proszę bardzo. Jeżeli rzeczywiście postradała zmysły, to tam i tak jej nie uzdrowią, kobieta ma grubo po osiemdziesiątce.

- No to w takim razie co jej jest? - zapytał de Gier.

- Zwyczajnie - odparł Van Meteren - to, co nam wszystkim. Za dużo myśli o sobie. Myśli, że cierpi.

- Ale nie cierpi naprawdę?

Jasne, że nie - powiedział Van Meteren.

- Ejże - nie wytrzymał Grijpstra. - Co za bzdura. Ta kobieta jest stara, chora i naprawdę cierpi.

- Ach, to? - powiedział Van Meteren. - No oczywiście, źle się czuje. To prawda. Na pewno jej to dokucza. Ale wy mówiliście o cierpieniu.

- To co to jest w takim razie cierpienie? - zapytał de Gier.

- Cierpienie to nonsens - odparł Van Meteren.

- I nic nie jest ważne - dodał de Gier, który wiele się nauczył

tego dnia.

- Bardzo słusznie - powiedział Van Meteren.

Grijpstra zaczął się niecierpliwić. - To bardzo pięknie.

Ta wschodnia filozofia hula tu po całym domu, ale my mamy do czynienia z trupem i z włamaniami.

- Nie przeszkadzam panom - powiedział Van Meteren.

Policjanci szukali dalej i naraz Grijpstra zaczął wydawać głębokie pomruki. De Gier rozpoznał ten dźwięk, przypominało mu to odgłos, wydawany przez jego syjamczyka, gdy stał na balkonie i przez szparę w przepierzeniu, oddzielającym dwa balkony, zauważył psa sąsiadów. De Gier bał się wtedy swojego kota, który nadęty jak balon i wymachując grubym ogonem parskał wściekłością i krwiożerczością. W takich razach był bardzo ostrożny ze swoim kotkiem.

- Co się stało, sierzancie? - zapytał prawie pieszczotliwym tonem.

- A to się stało - powiedział Grijpstra i pokazał mu teczkę, którą znalazł na półce i którą wertował. - Piet Verboom zaciągnął w banku kredyt na hipotekę tego domu, pięćdziesiąt tysięcy. Tydzień temu. To jest masa pieniędzy. To wygląda na niezłą nieruchomości, ale naprawdę ten dom się przecież wali i pięćdziesiąt tysięcy to było maksimum, co można było pożyczyć. Pieniądze przekazali na rachunek bankowy fundacji, ale on zaraz to wybrał. Podług wyciągu z konta, pobrał nawet siedemdziesiąt pięć tysięcy gotówką. Gdzie są te pieniądze?

- A czy zostało coś pieniędzy na koncie? - zapytał de Gier.

- Trochę ponad dziesięć tysięcy. Wychodzi na to, że zainkasował za jednym zamachem cały będący do dyspozycji kapitał fundacji. A my nic nie znaleźliśmy. Jeżeli to jest w domu, musi być dobrze schowane, ale myślę, że już nie ma.

- Ktoś sprzątnął? - zapytał de Gier.

Grijpstra skinął głową.

- To przynajmniej mamy motyw.

- Tak - przyznał Grijpstra i usiadł.

- I każdy miał możliwość. Van Meteren na przykład. Van

Meteren niejednego człowieka zabił na Nowej Gwinei, a siedemdziesiąt pięć tysięcy mogłoby mu się jak najbardziej przydać. A pani Verboom też to mogła zrobić, ona jest rzeczywiście wariatką. Tylko że dla niej pieniądze nie są motywem, po co człowiekowi w tym wieku siedemdziesiąt pięć tysięcy?

- Pieniądze ta pieniądze - sprzeciwił się de Gier - nawet stare wariatki mogą sobie wyobrazić, że uda im się coś z nimi osiągnąć. Może są teraz w jej torebce, a ona wybiera się na Rivierę, do takiego staroświeckiego luksusowego hotelu. Tam jest sporo starszych pań.

- Hm - powiedział Grijpstra - nie mam takiego nowoczesnego wykształcenia jak ty, ale nie widzę tego. Ale niech ci będzie, mogła jednak to zrobić, może nie cierpiała swojego syna, będziesz musiał ją odwiedzić w tym sanatorium.

- Cudownie - powiedział de Gier - co mi jeszcze powiesz?

- Podejrzanego trzeba przesłuchać, nawet jeżeli jest tępym jak rząd.

- To prawda - powiedział de Gier.

- Następnie mamy Therese, ona też nie kochała Pieta. Nawet rzucała w niego słownikami. A tych dwóch chłopaków, ten Johan i Eduard, może oni też mieli dość wyzysku. Może współdziałanie między Johanem, Eduardem i Annetje. Cały czas pracowali za darmo, a teraz, za jednym zamachem, bogaci. Za siedemdziesiąt pięć tysięcy można kupić nowiusieńki statek mieszkalny.

De Gier podrapał się po szyi. - Każdy mógł śmignąć schodami tamtego popołudnia. Dziewczyny mogły na moment wyjść albo nie uważały. Trudno zaglądać do garnka i mieć oko na schody. Po drugie, po co miałyby właściwie uważać? Każdy z tych trzydziestu ośmiu gości mógł to zrobić. Jedyne, czego nie mogą zrozumieć, to jest to włamanie. Może nie mogli znaleźć pieniędzy?

Grijpstra siadł prosto.

- Chcesz powiedzieć, że go powiesili, a potem chcieli zabrać pieniądze? Ale pieniędzy nie było. A potem wrócili, żeby ich poszukać?

- Wrócili? - zapytał de Gier. - Dlaczego wrócili? Wyłamane drzwi do piwnicy niczego nie dowodzą, może chcieli, żebyśmy podejrzewali kogoś z zewnątrz, a tymczasem oni są w środku, jak gdyby nigdy nic.

- Nie mogą się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Przestępcy to są zazwyczaj nerwusy.

- Więc co teraz? - spytał de Gier.

- Przeszukać dom - zakomenderował Grijpstra. - Nic nie znaleźliśmy, ale to jeszcze nie dowód. W policji jest więcej ludzi, niech oni spróbują.

Zatelefonował i przez całe popołudnie zespół sześciu wywiadowców przeszukiwał cały dom od góry do dołu. Opukano każdą belkę, zrywano deski, wyjmowano umywalki, przekopano ogród. Wsadzano ręce do klozetów, a dwaj wywiadowcy przeryli się jak krety przez spiżarnię z zapasami żywności dla sklepu. Jak białe krety, bo wywrócili beczkę z mąką.

De Gier przyglądał się pracy swoich kolegów z przyjemnością. Jeszcze parę lat temu to jemu kazaliby zasuwać do takich robótek.

Zadowolony wszedł na schody.

## 5

Znalazł Grijpstrę w pokoju Pieta Verbooma.

Grijpstra leżał na łóżku przykrytym kapą z jakiejś tkaniny, ręce miał złożone na brzuchu.

Kiedy wszedł de Gier, otworzył jedno oko.

- O - powiedział Grijpstra - po co przyszedłeś?

- Pomóc ci - odparł de Gier.

- W czym?

- W myśleniu - powiedział de Gier.

Grijpstra zamknął z powrotem oko.

- Dobrze - powiedział - ale rób to po cichu. Usiądź gdzieś.

De Gier się rozejrzył, znalazł trzy poduszki, położył jedną na ziemi a dwie razem przy ścianie i usiadł. Zamknął oczy.

Ocknął się po godzinie. Grijpstra oddychał głęboko, usta

miał trochę rozchylone. De Gier zdrzemnął się trochę, ale nie miał wygodnej podpórki dla głowy i obudził się. Zapalił papierosa i patrzył przed siebie. Widział niewyraźne, wciąż zmieniające się obrazy Therese i tajemniczej dziewczyny z autobusu.

Szczęka Grijpstry opadła jeszcze niżej i nagle ciszę pokoju rozdarło przeraźliwe chrapnięcie.

De Gier zerwał się. Pomyślał, żeby potrząsnąć Grijpstrę za ramię, ale przyszła mu do głowy lepsza myśl. Jego wzrok padł na bębenek bongo w kącie; dwa drewniane bębniaki przymocowane do siebie mogły wyrzeć lepszy skutek na jego przełożonym niż natrętne potrząsanie. Wziął bębniaki, przekradł się do łóżka, kucnął, spojrział jeszcze raz na rozluźnioną i bezbronną twarz Grijpstry i mocno walnął prawą ręką w większy bębenek, a lewą uderzał tymczasem w szalonym tempie w drugi.

Grijpstra był natychmiast na nogach.

- Och, ty - powiedział - bęben bongo. Skąd ty to wzięłeś?

- Musiałeś tu dobrze szukać - powiedział de Gier - przez cały czas stał w kącie.

Grijpstra pomyślał.

- Tak, rzeczywiście. Nawet go miałem w ręku, ale nic nie było w środku. Daj no.

Grijpstra usiadł z powrotem na łóżku i obejrzał instrument z pewną dozą nieufności. Był przyzwyczajony do swojej perkusji w biurze. Bęcnął parę razy dłonią, potarł napiętą skórę, zapukał kostką w krawędzie bębniaków i powoli zaczął kształtować jakiś rytm, spokojnie, suchymi, twardymi seryjkami. Kiedy zaczął grać, spojrział pytająco na de Giera.

De Gier pomacał się po wewnętrznej lewej kieszeni. Między dwoma długopisami i grzebieniem wyczuł skórzany futerałik, zawierający jego flet poprzeczny, flet, który już rok nosił przy sobie, odkąd Grijpstra zaczął z powrotem uprawiać sztukę gry na perkusji. Kiedyś de Gier grywał często, najpierw jako mały chłopczyk w szkole grał na flecie blokowym, później zaś muzykę średniowieczną na flecie poprzecznym. Potem zapomniał o flecie, ale osobliwe sola perkusyjne w szarym

pokoju biurowym pobudziły go na nowo i pewnego pięknego poranka, kiedy Grijpstra produkował subtelniejsze tykanie, wyciągnął z wahaniem flet i zagwizdał cieniutką nutkę. Grijpstra nawet nie podniósł wzroku, ale jego bębnienie stało się foremniejsze, i od tej pory regularnie grywali razem.

Teraz też Grijpstra nie podniósł wzroku, kiedy de Gier zaintonował swoje solo, ale nie była to już ta niepewna cienka nutka, którą kiedyś zagwizdał w ich biurze. Grał teraz swobodnie, pełnym głosem i Grijpstra miał kłopot, żeby mu dotrzymać kroku i wypełnić tło. De Gier stanął, lekko pochylony, zamknąwszy oczy i kiedy Grijpstra robił mocny, twardy, suchy podkład, ostre tony fletu o przenikliwym głosie poleciały na pokój. Na chwilę ucichli i nagle buchnęła wspólna gra, de Gier kołysał barkami, żeby dać dźwiękom więcej głębi, Grijpstra siedział na łóżku wyprostowany jak świeca grając całą siłą swojego korpusu.

Żaden nie zauważył, że drzwi się otworzyły, że wszedł Van Meteren i że z powrotem wyszedł. Nie zauważyli też, że Van Meteren zaraz powrócił i byli tak pochłonięci, że nie przerwali, kiedy ich towarzysz uderzył w drewniany instrument, pień drzewa ze szczeliną. Brzmienie tego instrumentu z dżungli było hipnotyczne, czarodziejskie, głębokie a jednak ostre, absolutnie niczego nie zakłócające, niby jakiś środkowy nurt melodii, która właśnie powstawała. Zarówno Grijpstra, jak i de Gier grali teraz dookoła tego nowego dźwięku i podejmowali temat, aż Van Meteren, wydawszy wysoki okrzyk i jęknąwszy swoim pniem, urwał przenikające się nawzajem dźwięki, a oni spojrzeli na siebie w wielkim zdziwieniu.

Że Van Meteren miał białą krew, nie było teraz widać. Siedział przycupnięty w końcu pokoju, oczy miał prawie zamknięte. Twarz otoczona kręconymi włosami miała wyraz uciszenia, sposób, w jaki siedział, przywodził na myśl pozycję małpy, orangutana na gałęzi jakiegoś drzewa w mangrove, zalewanym przyplływami nadmorskim lesie w jego ojczyźnie, spokojnego w zapadającym zmierzchu, ale silnego i tajemniczego, połączonego w jedno z otoczeniem.



- Co to było? - spytał po cichu Grijpstra.

Van Meteren otrząsnął się z odurzenia i spojrział ze śmiechem na nich.

- Usłyszałem, jak tak ładnie gracie, i pomyślałem sobie, że razem może by niezłe zabrzmiało. To jest bęben rimbu, przodkowie mojej matki używali go jako telegrafu, przekazywali sobie z wioski do wioski wiadomości. Ale można na nim uprawiać muzykę. A nasi czarownicy i czarownice też używają tych bębnów. Jeżeli się zna dobrze taki bęben, można nim wywołać nastroje, zmieniać usposobienie, wywierać wpływy. Można narzucać ludziom swoją wolę, ale to jest niebezpieczne. Siły, które wywołujesz, mogą się obrócić przeciw tobie i cię zniszczyć. Lepiej używać tych bębnów tylko do muzyki.

Nie mówisz serio - powiedział de Gier.

Czego?

- O tych nastrojach. Tych wpływach.

Van Meteren spojrział na niego przyjaźnie.

A ty z tym swoim fletem? A sierżant? Jak ci się zdaje, co wy robicie? Samą muzykę?

No - powiedział de Gier muzykę. Zwyczajnie. Bam bam. Tu tut. Dużo ludzi tak robi. Dla odprężenia.

No to przecież też jest zmiana nastroju? To jest jednak coś, nie? Robisz coś niewinnego, ale mógłbyś robić coś innego.

Grijpstra roześmiał się.

- Człowieku, jesteś w Holandii. Ser, masło, krowy, dzwony, karillony. Jesteś w kraju tłuczonych kartofli i ciastek anyżkowych. Ale załóżmy, jak tak już chcesz, że też jesteśmy czarownikami. Łapiemy mordercę wytwarzając drgania, one się rozchodzą, po cichutku, i cap! - mamy go. Przychodzi sam do nas, a my wciskamy mu długopis do ręki i podpisuje przyznanie się do winy.

Van Meteren spojrział znowu przyjaźnie, ale w jego wzroku było coś nalegającego.

Ale to było trochę dobrej muzyki, nie?

- No - powiedział de Gier. - Grupa rockowa „Stary Zachód”. - Spojrzął na zegarek.

- Szósta. Muszę jechać do domu. Kotu trzeba dać jeść.
- To musisz jechać autobusem - uprzedził Grijpstra - nie mamy samochodu.
- Brr - powiedział de Gier - w autobusach teraz pełno ludzi, Spocone ciała, które się do mnie będą przyciskać.
- Gdzie mieszkasz? - spytał Van Meteren.
- W Buitenveldert. A co? Masz samochód?
- Nie - odparł Van Meteren. - Policja drogowa nie płaci aż tyle. Ale mam motocykl.

De Gier nie miał wielkiej ochoty trząść się na tylnym siedzeniu jakiejś purkawki, ale nie chciał odrzucać oferty tego osobliwego byłego kolegi.

- Chętnie skorzystam - powiedział.
- Tylko wróc - powiedział Grijpstra. - Pójdę coś zjeść do Chińczyka na Nieuwendijk, koło tego kina z golasami. Czekam na ciebie o wpół do ósmej, zdążysz?

De Gier kiwnął głową i poszedł za Van Meterenem. Przekroczyli ruchliwą jezdnię Haarlemmer Houttuinen i weszli na dziedziniec wielkiego budynku Katastru Państwowego.

- Wolno mi tu parkować - powiedział Van Meteren. - Najpierw portier nie chciał o tym słyszeć, ale kiedy mu pokazałem swoją legitymację policji drogowej, wszystko było w porządku.

To musi być jakaś droższa sztuka, pomyślał de Gier.

Harley Davidson stał pod daszkiem.

De Gier stanął. Rozpoznał model, to był harley z 1945 roku, typu Liberator, jakie widywał zaraz po wyzwoleniu, jako mały chłopczyk gapiący się z pobocza. Amerykańska żandarmeria używała wtedy takich.

Egzemplarz, który miał przed oczami, był w idealnym stanie, polakierowany na biało i dobrze utrzymany.

- Podoba ci się? - spytał Van Meteren.
- Niesamowity - powiedział de Gier i nie ukrywał zachwytu. - Jak tyś go zdobył?
- Kupiłem jako wrak za paręset guldenów - powiedział Van Meteren. - Na Nowej Gwinei używaliśmy ich w policji i

w swoim czasie przeszedłem na nim przeszkolenie. Zeszło mi rok, zanim go rozebrałem na części i z powrotem złożyłem, części są drogie, próbowałem obyć się starymi, ale to było bardzo pracochłonne. Skrzynia biegów była ruiną, musiałem do niej dokupywać używane części, nie ma w nim dużo nowych. Torebki są nowe, a właściwie nie używane. Ale skóra tak była sucha od długiego leżenia, że nie wiem ile razy musiałem ją nacierać tłuszczem.

Wyćwiczonym ruchem Van Meteren postawił motocykl na obu kołach i zaczął go pchać na ulicę. Harley był taki ciężki, że z trudem udało mu się sforsować niewielką różnicę poziomów między podwórką a ulicą.

- Chwileczkę - powiedział Van Meteren.

De Gier obserwował czynności: kopnięciem zwolnienie sprzęgła, które nie miało sprężyny i pozostawało w każdej dowolnej pozycji. Odkręcenie do maksimum odpływu benzyny z baku. Regulator dopływu powietrza na całość. Późny zapłon - lewą rączką. Gaz - prawą rączką. Cztery razy kopnąć starter przy wyłączonej stacyjce. Przekręcić kluczyk. Wczesny zapłon. Regulator powietrza na pozycję przed najniższą.

- Uważaj - powiedział Van Meteren.

Kopnął i silnik zaskoczył, głęboki, łagodny, ale potężny gulgot.

- I to wszystko trzeba było robić? - zapytał zdumiony de Gier.

- Tak - odparł Van Meteren - jeżeli choć o jednej czynności zapomnisz, możesz kopać i kopać. Może ci się czasem udać, ale przedtem spocisz się jak mysz. To wszystko potrafię zrobić dużo prędzej, ale widziałem, że się przyglądasz, i robiłem to powoli. W razie potrzeby mam go na chodzie w parę sekund, nauczyłem się tego na Nowej Gwinei, musiałem, to żadna przyjemność grzebać się z motorem, kiedy do Ciebie strzelają.

Zrobił zapraszający gest i de Gier siadł z tyłu podwójnego siedzenia, Van Meteren wśliznął się przodem i motor od razu ruszył. W starych harleyach przełącznik biegów jest umieszczony na boku, staroświecka dźwignienka z gałką. De Gier pomyślał o swoim BMW, którym kiedyś jeździł, i o nożnym przełączniku, który można było przesunąć czubkiem

buta, ale Van Meteren obsługiwał ten pojazd z taką samą łatwością.

De Gier bał się. Na motocyklu niewiele człowieka chroni, może nic. Tylko własna skóra co najwyżej, wystarczy, że otrze się o ciebie samochód, a możesz postradać nogę, złamać obojczyk, rozbić czaszkę. Ale jego strach ustąpił, kiedy stwierdził, że to jest najpiękniejsza przejażdżka przez śródmieście Amsterdamu, jaką kiedykolwiek zrobił. Van Meteren jechał wzdłuż wybranych kanałów głównych i bocznych i sunął bocznymi jezdniami bez żadnego ryzyka. Motor ślizgał się skroś szczytowego zagęszczenia pojazdów i przy każdym świetłach byli na początku, przeważnie Papuas nie potrzebował hamować i zbliżał się do czerwonego światła na drugim biegu, przyspieszając, kiedy czuł, że się zaraz zmieni na zielone. Jakiś samochód wymusił na nim pierwszeństwo, on ominął go łagodnym łukiem i de Gier, przyciśnięty do drobnego ciała motocyklisty, nie poczuł złości. Van Meteren ominął po prostu przeszkodę i niczego przy tym nie pomyślał. Kiedy na końcu Beethovenstraat tłok się skończył, przerzucił dźwignię i de Gier, zajrzawszy przez ramię Van Meterena, zobaczył, że jechali prawie setką, nie było żadnych niebezpieczeństw, ulica nie miała w tym rejonie skrzyżowań. De Gier patrzył na grube kity trzciny wzdłuż drogi, które migwały jak jednolita linia, i czuł się wyzwolony.

Wskazał budynek, który mieścił jego nieduże mieszkanie, i Van Meteren zgasił motor, tak że wjechali na parking bez szmeru.

- To było coś pięknego - powiedział de Gier - dzięki.

Jedyni ludzie, o jakich wiem, że potrafiliby tak jeździć, to chłopaki z policji motocyklowej, ale nie wiem, czy przy tym harleyu umieliby tak się uwinąć, te ich BMW i Guzzi są dużo łatwiejsze w obsłudze.

- Na pewno - potwierdził Van Meteren - daliby sobie radę. Ja też w policji motocyklowej jeździłem na różnych motorach, trzeba mieć trochę czasu, żeby się przyzwyczaić, ale po tygodniu już się zna motor i można wykorzystywać nawet jego braki. Harley jest czasem bardzo ciężki i uciążliwy, ale jest

pewny i na więcej mogę sobie na nim pozwolić niż na wyścigowym, który nagle może złapać jakiś defekt i koniec z tobą.

- Chodź na moment do mnie - powiedział de Gier - napijesz się zimnego piwa, a ja tymczasem dam jeść kotu, ale uważaj, bo pan Olivier jest fałszywy.

Ucieszył się, że ostrzegł Van Meterena, bo syjamczyk był w fatalnym humorze. De Gier trzymał go zawsze w mieszkaniu i kot stał się znerwicowany i choć obliczalny w towarzystwie samego de Giera, zawsze był gotów napaść na obcego. Olivier skulił się zobaczywszy Papuasa i zaczął wydawać z głębi gardła pomruk, a napęczniały ogon skierował groźnie do góry. Van Meteren przykucnął i wziął kota jedną ręką z boku, drugą pod brzuch. Uniósł go z ziemi, obrócił go w powietrzu i rzucił na lewe ramię i pokołysał na nim zdziwione zwierzę niczym dziecko, mówiąc doń po cichutku.

- Będiesz kochany? To z ciebie taki mały wariat? Nie lubisz ludzi?

Olivier zaczął zwyczajnie mruzczyć i przymknął oczy.

- O, do diaska — powiedział de Gier - nigdy w życiu jeszcze czegoś takiego nie zrobił. Mnie wolno go podnieść tylko wtedy, kiedy się ociera o moją nogę.

- Koty to są fajne zwierzaki - powiedział Van Meteren, który postawił Oliviera. - Wielcy komedianci.

Olivier zaatakował jeszcze raz i wbił pazury w spodnie Van Meterena. Van Meteren zlekceważył go. Syjamczyk zrezygnował i pobiegł do kuchni, gdzie oparł się przednimi łapkami o lodówkę, czekając na swoją porcję siekanego serca wołowego.

Grijpstra siedział naprzeciwko nadinspektora w restauracji fundacji. Nadinspektor słuchał, gdy Grijpstra streszczał stylem protokołu przeżycia dnia.

- I pozwoliłeś jej jechać do Rotterdamu? - zapytał nadinspektor.

- Tak jest, panie inspektorze - powiedział Grijpstra.

- Popatrzmy no - powiedział nadinspektor i spojrział na sufit ze złotymi kwiatami i zawijasami. - Ona się przyznaje, że

rzuciła mu w głowę grubą książkę, masz nawet zeznanie na piśmie, porządnie przez nią podpisane. Taki guz, to jest na przykład poważne uszkodzenie ciała, będę jeszcze musiał zobaczyć raport lekarza. I zginęło siedemdziesiąt pięć tysięcy guldenów. I ona jest w ciąży z Pietem. A on nigdy nic dla niej nie zrobił, a co jej dał w prezencie, musiała mu oddać.

- Tak jest - potwierdził Grijpstra.

- Tak jest - powtórzył nadinspektor patrząc wciąż w sufit. - No dobrze, jeżeli nam będzie potrzebna, będziesz musiał coś zrobić, żeby ją znaleźć. Nie mamy za dużo cel w areszcie. T ona jest w ciąży.

Grijpstra nic nie powiedział.

- Czy wciąż myślisz, że to było morderstwo?

- Nie wiem, panie nadinspektorze - powiedział Grijpstra.

- Nie mam jeszcze wiadomości od wywiadowców, którzy śledzą tych dwóch handlarzy narkotyków. Rozmawiałem z jednym z wywiadowców przez telefon. Podług podziemia nie może być żadnego związku między tymi ludźmi a morderstwem. Adres Haarlemmer Houttuinen 5 nikomu nic nie mówi, nigdy jeszcze o tym nie słyszeli.

- Ale ci handlarze siedzieli w barze pod tym adresem - powiedział Grijpstra.

- Tak - powiedział nadinspektor - powinni być członkami fundacji, ale nie widziałem żadnej listy członków. A ty widziałeś?

- Nie - odparł Grijpstra - myślę, że Piet składkę członkowską po prostu sobie przywłaszczał. Znalazłem co prawda bloczek z zaświadczeniami członkowskimi, ale to nie był prawdziwy dokument, bo kiedy się wydarło zaświadczenie, nie pozostawała kopia. Za każdym razem wsadzał do kieszeni dwadzieścia pięć guldenów, a nowemu członkowi wręczał ten kwitek. Niezła fucha.

- Zręczny chłop - powiedział nadinspektor.

- Dość niezręcznie zwiisał z tego sufitu - powiedział Grijpstra.

Nadinspektor też się uśmiechnął.

- Po co Piet podjął te wszystkie pieniądze? - zapytał nadinspektor.

- Może chciał uciec - powiedział Grijpstra. - Podług rewidenta musiałby zapłacić pięćdziesiąt tysięcy guldenów podatku. Jak mówią jego pomocnicy, tych dwóch chłopaków i dwie dziewczyny, ostatnio przestało mu zależeć na fundacji. Może miał zamiar się ulotnić a to wszystko rzucić w diabły. Jak się ma siedemdziesiąt pięć tysięcy, jest z czym zacząć gdzieś daleko.

- Możliwe - powiedział nadinspektor - ale nie uciekł. To pieniądze się ulotniły, a on umarł.

Rozejrzał się po pokoju.

- Dziwna tu atmosfera. Widziałeś tę rzeźbę na korytarzu? I jest ich tu jeszcze parę. Na górze też stoi jeden Budda.

- Ładne rzeźby - powiedział Grijpstra.

- Gusta są różne — powiedział nadinspektor - taki gość, co stale siedzi i siedzi, do czego to komu potrzebne?

Spojrzał przed siebie.

- Choć z drugiej strony jest tu spokojnie. Może za bardzo się przejmujemy. Może przydałaby nam się taka rzeźba w Biurze Głównym, dla tych naszych kolegów, co wszystko zaraz by chcieli pozalać. Czasem przecież lepiej jest poczekać, a rozwiązanie przyjdzie samo. Kotłuje ci się w głowie i następnego dnia sam nie wiesz, skąd ci się wzięła odpowiedź. Zdarzało ci się coś takiego?

Grijpstra pomyślał i ostrożnie skinął głową.

- Możliwe, że tak. Pomysł, przelotna myśl, czasem nawet tak szybka, że ulotni się, zanim się ją zdąży złapać. Tylko się wie, że przez chwilę była, przez chwilę się wiedziało, ale się zaraz zapomniało.

- Później wraca - powiedział nadinspektor.

Grijpstra skinął.

- Co teraz robisz, Grijpstra?

- Idę coś zjeść do Chińczyka z de Gierem.

- A gdzie de Gier?

- Pojechał do domu dać kotu jeść.

Nadinspektor roześmiał się.

- Dać kotu jeść - powtórzył. - To jest przynajmniej wyraźna motywacja, to mi się podoba.

Skojarzenie z jedzeniem skłoniło go do zakończenia rozmowy. Grijpstra odprowadził go do drzwi wyjściowych. Na dworze stał czarny citroen z kierowcą. Nadinspektor niedługo pewnie zostanie komisarzem, pomyślał Grijpstra.

## 6

Punktualnie o wpół do ósmej de Gier wszedł do chińskiej restauracji i znalazł Grijpstrę ze szklanką piwa i z kawałkiem papieru na stole, na którym były narysowane kółka i kreski.

- Widzisz, że potrafię przyjść punktualnie? - zapytał przyjaźnie de Gier.

Grijpstra mruknął coś niewyraźnie.

- Nad czym дума wielki detektyw?

Grijpstra dorysował jeszcze jedną kreskę.

- No?

- Ach — powiedział Grijpstra - już sam nie wiem, słowo daję. Jest, nieskończenie wiele czynników, które mają ze sobą związek, a ja nie rozumiem, jaki. I niczego nie jestem pewien. Książka, którą Piet dostał w głowę od tamtej dziewczynki, to na dobrą sprawę jedyny fakt, jaki nam się udało wyłuskać z tego wszystkiego. Chłopcy, którzy przewracają do góry nogami nieruchomość, ciągle nic nie znaleźli oprócz paru nieżywych myszy; jeszcze szukają. Wywiadowcy grzebią się w podziemiu, też nic nie znajdują. Masz już jakąś teorię?

De Gier spojrział na czerwone lampy z wytartymi frędzlami, które wisiały u sufitu taniej restauracji. Ze ściany naprzeciwko patrzyło na niego trzech grubych chińskich bogów w jedwabnych, luźno zwisających szatach i z wypukłymi brzuchami, na środkowego boga wspinała się chmara dzieciarni w nienaganych strojach, niektóre dzieci siedziały mu nawet na ramionach.

- No? - zapytał z kolei Grijpstra, czytając metodycznie menu, począwszy od lewego górnego rogu.

- Tak - powiedział de Gier - teorię nadinspektora. Mamy teraz trochę więcej faktów, które do niej pasują. W Amsterdamie nie zdarza się dużo morderstw, więc nie trzeba



wychodzić koniecznie od tego, że to musi być morderstwo. Piet był ponury, wszystko poszło nie tak, fundacja przestała przemawiać do jego wyobraźni, żona od niego uciekła, dziecko zostało przy niej, czekało go zapłacenie pięćdziesięciu tysięcy podatku, jego kochanka wymyśla mu i rzuca w niego książką. No i on wiesza się.

- Tak, tak - powiedział Grijpstra - już od jakiegoś czasu miewał depresje i myślał o samobójstwie, ale nie miał bezpośredniego powodu, tego pchnięcia palcem, które pozbawia równowagi, i tego mu dostarczyła kłótnia z przyjaciółką. Powiedzmy. Jeszcze się tylko uczesał, wyszczotkował wąsy, posiedział dziesięć minut przed ołtarzykiem w swoim pokoju i potem spokojnie się powiesił. Ale gdzie się podziało te siedemdziesiąt pięć tysięcy?

De Gier miał już swoje piwo i zdmuchiwał pianę.

- Może zemsta. Chciał, żeby nikt z fundacji na tym nie skorzystał, spalił pieniądze albo schował, albo po prostu wyrzucił do śmieci. W takich workach oddaje się wszystko, można pieniądze, nikt tam nie zagląda.

Grijpstra potrząsnął energicznie głową.

- Nie. Taki Piet nie pali pieniędzy ani ich nie wyrzuca. Pieniądze to pieniądze, postradał już dawno swój idealizm, jeżeli go w sobie kiedykolwiek miał. Może je komuś dał albo kupił coś za to, a mógł też spłacić jakiś dawny dług. Kto wie zresztą, czy to nie był powód samobójstwa, ktoś wyciągnął od niego te siedemdziesiąt pięć tysięcy, dawny dług, szantaż, coś w tym rodzaju, tak że został bez pieniędzy. Wszystko się skończyło, żadnej przeszłości, koniec.

De Gier skinął z pełnymi ustami.

- Kiedy cię nie było, dzwoniłem jeszcze do rewidenta - powiedział Grijpstra. - On się nazywa Joachim de Kater. Nic nie wiedział o żadnym ewentualnym długu Pieta. W każdym razie nie mógł to być dług fundacji, bo to de Kater musiałby wiedzieć, a Piet był fundacją, nie możesz o tym zapominać.

- Ja nie zapominam - powiedział de Gier - ja jem.

- Dobrze - powiedział Grijpstra - bardzo dobrze. Mnie też się chce jeść. I teraz sobie właśnie smacznie pojemy.

De Gier już zaczynał ściągać zębami kawałeczki sate z drewnianego rożenka, wolną ręką krusząc na kawałki krupuk, muszelki z mączki rybnej usmażone na oleju.

- Powoli - powiedział Grijpstra - ja też bym chciał.

- Tak, powoli - przyznał de Gier z pełnymi ustami - masz rację i te Hindusy też. Za bardzo się gorączkujemy, w tym rzecz. Weźmy teraz tego Pieta. Umarł to umarł, i w końcu jakoś się dowiemy, jak do tego doszło, ale bez gorączkowania się. A kiedy już wszystko będzie jasne, protokół przepisany na czysto na maszynie, sprawca będzie siedział w celi, a prokurator dostanie swoje papierki, wtedy zrozumiemy, że to nie było ważne. Jest tylu Pietów i wszyscy poumierają. I my też umrzemy. I wszystko idzie swoim trybem, aż kiedyś się skończy. I co to mnie może właściwie obchodzić. Spróbuj tej przepiekanej jarzyny, przepyszna!

Podniósł wzrok i zobaczył zakrzepłą twarz Grijpstry.

- Co ci jest?

- Za tobą - powiedział Grijpstra i wyciągnął pistolet.

De Gier obejrzał się.

- O Jezu - powiedział cicho de Gier. Mówiąc to wstał i jednocześnie wyciągnął pistolet, mały model FN, który wbrew zwyczajowi nosił w kaburce wiszącej na ramieniu pod lewą pachą, gdzie tani krawiec, turek z Vinkenstraat, zostawił dla niej miejsce. Odsunął bezpiecznik w dół i cofnął zamek, biegnąc już do drzwi, gdzie był wcześniej niż Grijpstra, który wpadł po drodze na kelnera.

Kiedy oni byli już na dworze, kelner jeszcze się przewracał. Taca wystrzeliła w górę i strumień jedzenia trysnął na restaurację. Pan i pani w średnim wieku zostali poczęstowani półmiskiem bami, a lumpie poleciały stolik dalej i rozbiwszy się o jakieś naczynie, spadły gradem na trzy młode dziewczyny.

Grijpstra i de Gier nie obejrzeliby tej filmowej burleski w trzech wymiarach i kolorze. Biegli za Lee Fongiem, całym pędem, wskroś ruchliwego tłumu na Nieuwendijk.

Biedny Lee Fong, chciał tylko coś przegryźć, coś z kuchni kantońskiej, przy osobnym stoliczku tuż koło bufetu, gdzie

właściciel serwował starym znajomym i byłym ziomkom całkiem inne jedzenie niż potrawy holendersko-indyjskie, z których podawania się utrzymywał.

Lee Fong miał już gotowy plan wyjazdu, następnego ranka czekało go miejsce na dziobie pod pokładem francuskiego frachtowca płynącego do Hongkongu. Nie szło mu w Amsterdamie, gdzie od trzech lat mieszkał nielegalnie w dzielnicy chińskiej. Lee Fong był hazardzistą, przemytnikiem i nie lada zabijaką. Przemycać nie mógł, odkąd aresztowano jego współników, na hazard nie miał już pieniędzy, a za bójkę dostał się przed paroma tygodniami w ręce policji. Policjanci z biura na Warmoesstraat wyciągnęli go z knajpy na Zeedijk, jeszcze z długim nożem w rękę, kiedy jego ofiarę wynoszono na noszach, z głęboką raną w barku.

Ale Lee uciekł z aresztu i jego ślad został zatarty przez uczynnych Chińczyków ze śródmieścia.

Teraz zaś, w dzień pożegnania, musiał wpaść w objęcia dwóch podoficerów Amsterdamskiej Policji Miejskiej.

Grijpstra może by go nie poznał, ale Lee zawahał się przy drzwiach restauracji i zbyt wyraźnie się przestraszył, a jego ręka ześliznęła się w dół ku długiemu nożowi, który zawsze nosił przy sobie, w specjalnej kieszeni prawej nogawki. Grijpstra nie znał Chińczyka dokładnie. Spotkał go tylko raz, w biurze na Warmoesstraat, podczas wstępnego przesłuchania, a później studiował zdjęcie podejrzanego. Lee Fang miał szczególnie okrągłą głowę o zwracającej uwagę łysinie, lśniącej, jakby ją sobie co rano polerował ściereczką. Może powinien był nosić perukę? Lee Fong też sobie o tym w tej chwili pomyślał, kiedy wbiegł w wąski zaułek.

Tym zaułkiem był Ramskooi, a Ramskooi kończy się ślepo.

De Gier był tuż za nim.

- Stój! - krzyknął de Gier.

Lee Fong zatrzymał się.

W rękę miał nóż, ale de Gier szerokim wymachem swojej długiej prawej nogi wytrącił mu go z ręki. Istnieją zawile chwyt w celu usunięcia noża z dłoni przeciwnika i de Gier miał je wszystkie wyćwiczone pod kierunkiem starego,

flegmatycznego sierżanta na kursie „Chwyty uwalniające i obezwładniające”, ale kopniak był szybszy niż chwyt, który łączy w sobie wiele ruchów. Stary sierżant udzielał też lekcji kopania i de Gier był pilnym uczniem, kiedy sierżant w swoim wolnym czasie raz w tygodniu dawał te lekcje, w zamian za parę piw w knajpce za rogiem.

Grijpstra prześliznął się pod rozłożonymi rękami de Giera i ujął Chińczyka za ręce. Zatrzasnęły się kajdanki.

Nieunikniony tłumek już się uformował, stali wokół nich Murzyni z okolicznych knajpek Ramskooi. Był duszny, parny wieczór, taki wieczór, kiedy zbiegowisko może się łatwo przerodzić w groźną tłumaczkę.

- O, jakie zuchy! We dwóch na jednego! Dwa pistolety na jeden nożyk!

Grijpstra wszedł do najbliższej knajpy i wykręcił sześć dwójek, prawie natychmiast z Nieuwezijds Voorburgwal dobiegło wycie syreny i na chodnik wjechał biały policyjny Volkswagen. De Gier i Chińczyk wsiedli do środka, samochód z miejsca ruszył.

Grijpstra schował pistolet do kieszeni i spokojnie torował sobie drogę przez tłum. Murzyni wracali do knajp mamrocząc z cicha. Jakiś chłopczyk w wieku mniej więcej dziesięciu lat szedł obok Grijpstry.

- Proszę pana, proszę pana.

- Tak - powiedział Grijpstra.

- Czy to był prawdziwy pistolet?

- No pewnie - powiedział Grijpstra.

- A mógłbym go obejrzeć?

- To nie jest do oglądania, tylko do trzymania w kieszeni.

- Co zrobił tamten Chińczyk?

- Bił się.

Chłopczyk przez chwilę nic nie mówił.

- Proszę pana, ja też się nieraz biję.

- Ale trzeba uczciwie.

Chłopczyk z podziwem spoglądał na potężną postać, sunącą koło niego.

- Ja jeszcze nie umiem dobrze się bić. Ale mój brat umie. On

robi stale ćwiczenia' z łańcuchem od roweru.

- Jak ma na imię twój brat?

- Dżony, proszę pana.

Grijpstra westchnął.

- Powiedz Dżonemu, żeby się nauczył judo. Judo jest o wiele ładniejsze niż łańcuch.

- Tak - powiedział chłopczyk. - Ja też bym chciał się tego nauczyć. Wtedy dostaje się takie fajne kolorowe pasy. nasz pan w szkole ma brązowy pas.

- Widziałeś kiedy judo? - spytał Grijpstra.

- Aha, W telewizji.

- A wiesz, co oni robią, zanim zaczną walczyć?

- Tak - powiedział chłopiec - kłaniają się sobie.

- A wiesz, dlaczego tak robią?

Chłopczyk odwzajemnił spojrzenie.

- Bo właściwie się na siebie nie gniewają? Czy dlatego się kłaniają, proszę pana?

- Właśnie dlatego - powiedział Grijpstra i ruszył przed siebie. Trochę dalej zatrzymał się przy wystawie, gdzie szeroka półka była ozdobiona trzema sztucznymi szczękami.

- Tfu - powiedział wyraźnie, ale zastanowiło go to, dlaczego wystawa tak mu się nie spodobała. Jego własna szczęka, która czekała na niego rano w szklance na pulpicie umywalki, nie robiła na nim żadnego wrażenia.

- To ten mały - mruknął.

Ale chłopakowi też nie miał nic do zarzucenia.

To ja sam - pomyślał w końcu. - Wujaszek policjant. I co tamtemu po takiej mowie. I tak zacznie bić się łańcuchem od roweru. A naprawdę to się mnie pewnie bał. Przez ten pistolet. I przez de Giera. To kopnięcie. I te kajdanki.

- Tfu - powiedział sto metrów dalej, ale wtedy już nie wiedział, dlaczego tak mówi.

Minutę później siedział znów za stołem w chińskiej restauracji. Jedzenie jeszcze stało. Było też jeszcze małżeństwo w średnim wieku i trzy młode dziewczyny, którym na twarzy wylądowała kolejno bami i nadzienie lumpii.

- Zna pan więcej takich sztuczek? - powiedziała dama od bami.

- Przykro mi, proszę pani, ale musieliśmy zatrzymać tego człowieka.

- A moja zniszczona sukienka?

Grijpstra wstał i obejrzał sukienkę.

- Myślę, że to powinno w praniu zejść. Ale jeżeli nie zejdzie, może pani przysłać rachunek policji, podam pani swoje nazwisko i telefon.

- Nie - zaprotestował mąż. - Nie ma sprawy. To mi się nawet spodobało, takie urozmaicenie. Ni stąd, ni zowąd taka akcja, że hej!

- Patrzcie go - powiedziała dama. - Ci mężczyźni są zawsze dziećmi. I co jest zabawnego w jedzeniu na dobrym ubraniu? I w warzywach na szyi?

Mężczyzna zaczął się śmiać i Grijpstra, jakkolwiek próbował się opanować, przyłączył się do niego.

- Niech pan mi da ten swój adres - powiedziała dama.

- Nie, nie, absolutnie - powiedział mąż.

- Przykro mi, proszę pani - powiedział Grijpstra.

- No, już dobrze - powiedziała dama - nie mówiłam tego serio. Złapaliście go?

- Już jest w biurze - powiedział Grijpstra i zaczął jeść. Parę minut później wszedł de Gier.

- Jest pod kluczem na Warmoesstraat, zaraz tam musimy na moment wpaść. Gratulacje od nadinspektora, aż dzwonili do niego do domu.

- Znowu mieliśmy pracowity dzień - powiedział Grijpstra.

- Będziemy jeszcze coś robić? - zapytał de Gier.

- Zapłacimy rachunek i wracamy na Haarlemmer Ho-  
uttuinen. Dziś twoja kolej.

- Zawsze jest moja kolej - powiedział de Gier i sięgnął po portfel.

- Jesteś młodszy - powiedział Grijpstra - a w zeszłym tygodniu w jadłodajni ja płaciłem.

- Sześć siedemdziesiąt - powiedział de Gier - a teraz jest dwadzieścia dwa guldeny.

- Chodzi o zasadę - powiedział Grijpstra.

- Masz już coś? - zapytał Grijpstra spoconego młodego mężczyznę, który w piwnicznej spiżarni przesuwiał beczki.

- Możliwe - odpowiedział młody człowiek - w tych beczkach jest taka pasta, wydaje mi się, że to jest koncentrat mizo, z którego się robi zupę, kiedyś jadłem coś takiego w podobnej zdrowotnej restauracji, nawet ma to niegłupi smak, jak ci nie dadzą za dużo. W każdym razie całkiem niewinna rzecz, ale tu na podłodze znalazłem to. - Wyciągnął otwartą dłoń z kilkoma okruchami brunatnej substancji. - Całkiem podobne, identyczny kolor, ale dużo twardsze. Zdaje się, że to haszysz.

Grijpstra obejrzał okruchy.

- Palisz papierosy czy skręty?

- Skręty - odpowiedział młody człowiek.

- To daj mi na jednego.

Młody człowiek wręczył mu paczkę tytoniu i bibułki.

Grijpstra położył jeden okruh na wieku zamkniętej beczki, otworzył sztylet i rozdrobnił okruh. Zmieszał drobiny ze szczyptą tytoniu i skręcił papierosa. De Gier podał mu ognia swoją zapalniczką. Grijpstra zaciągnął się i trzech policjanci wciągnęli w nozdrza dym.

- Haszysz - stwierdzili jednocześnie.

- Schowaj resztę do koperty i oddaj do laboratorium - powiedział Grijpstra.

Ale zdał sobie sprawę, że znalezisko nie przedstawiało wielkiej wartości. W takim przybytku jak ten można się było spodziewać haszyszu. Może Eduard albo Johan, albo sam Piet czy Van Meteren palili haszysz i upuścili trochę na podłogę. Haszysz zaczyna być dostępny w Amsterdamie dosłownie wszędzie. Zażywanie haszyszu nie jest prawie karalne, a taka mała odrobinka nie uzasadnia podejrzeń o handel haszyszem. Spojrzał tęsknie po beczkach dookoła, taka jedna beczka haszyszu, to byłoby coś.

- Otwierałeś te wszystkie beczki? - zapytał młodego wywiadowcę.

- Dekle leżą luźno - powiedział wywiadowca - żeby otworzyć,

musiałem tylko przeciąć te sznury. Grzebałem w środku, ale zdaje mi się, że to wszystko jest mizo.

- Znalazłeś coś jeszcze?

- Nie - odpowiedział wywiadowca - ale jaki tu brud, to pojęcie przechodzi. I to ma być restauracja. Brr.

- Jesteś jeszcze młody - powiedział Grijpstra - brud trzyma świat w kupie. Nie zagłębiaj się zanadto, bo już nigdy nie zjesz nic poza domem.

Przy schodach jeszcze się zatrzymał.

- Kobiety też lubią być brudasy, wiedziałeś o tym? Jak człowiek o tym pomyśli...

- Niech mi pan nie mówi - powiedział wywiadowca.

De Gier poszedł tymczasem na górę i tam zagadnął go jeden z kolegów.

- Masz trochę czasu?

Usiedli w restauracji.

- Coś znalazłeś? - spytał de Gier.

- Może tak, ty musisz zdecydować, przecież to ty prowadzisz śledztwo.

- Grijpstra prowadzi - powiedział de Gier.

- No tak - powiedział wywiadowca - ale ty jesteś jego człowiek.

- Naprawdę? - zapytał zły de Gier. - Nie jestem pies, żebym był czyjś.

- Dobrze, nie jesteś niczyj - powiedział wywiadowca

- ale chcesz się w końcu dowiedzieć, co znalazłem, czy nie?

- Z chęcią - powiedział de Gier.

- W pokoju Van Meterena, tego pana Papuasa, znalazłem dziwne rzeczy.

- A - powiedział de Gier - ja też widziałem. Czaszka dzikiej świni, bęben z dżungli, gałązki, kamyki i dziwne laleczki.

- Zgadza się - powiedział wywiadowca. - I karabin, Lee Enfield, doskonale zakonserwowany i zawinięty w tłustą szmatę, ale bez naboii.

- Ho, ho - powiedział de Gier - przecież to zabronione.

- Właśnie - powiedział wywiadowca - ale ten facet to nasz kolega i nie było przy broni amunicji. Powiedział, że kiedyś



służył w policji terenowej w Nowej Gwinei i że zabrał karabin jako coś w rodzaju pamiątki. Przemycił go w częściach, w ubraniu i rzeczach, a celnik nie zauważył. Mam coś z tym robić, czy nie? Może mieć z tym cholerne kłopoty, naruszenie zakazu posiadania broni to nie jest dziś takie małe piwo, teraz to jest przestępstwo, za to mogą nawet zawiesić, a wtedy nie tylko straci posadę w policji drogowej, ale i odbiorą mu zasilek.

- Co zrobiłeś? - zapytał de Gier.

- Powiedziałem, żeby poszedł do zbrojowni i zagwoździł lufę, to będzie mógł to zatrzymać. Ale powiedziałem też, że się zapytam was. Możecie jeszcze swobodnie decydować po swojemu.

- Aha - powiedział de Gier - to bardzo dobrze. Ale powiedz mu, że ma to załatwić do końca tygodnia. Jeżeli tego nie zrobi, zatrzymamy go.

- Tak jest, szefie - powiedział wywiadowca.

- I zrób raport z kopią dla zbrojowni.

- Tak jest, szefie - powiedział wywiadowca.

- I nie mów do mnie szefie.

- Dobrze, szefie - powiedział wywiadowca.

Wszedł Grijpstra w towarzystwie młodej kobiety i dziecka w wieku przedszkolnym.

- Pozwolisz, że cię przedstawię?

- Jestem de Gier - powiedział de Gier. - A pani jest na pewno panią Verboom?

- Tak - powiedziała kobieta - a to jest moja córka Yvette.

- Cześć, Yvette - powiedział de Gier.

- Pani już o wszystkim wie - oznajmił Grijpstra.

- Niech pani siada - powiedział de Gier podsuwając krzesło - czy ma pani się gdzie zatrzymać na noc?

- U rodziców - powiedziała kobieta - mój ojciec czeka na dole i zabierze dziecko. Panowie zechcą pewnie ze mną porozmawiać?

- Jeżeli to możliwe - powiedział de Gier.

Idący na dół wywiadowca zabrał dziewczynkę, która rozglądała się jak po nieznanym domu.

Grijpstra i de Gier studiowali wygląd młodej kobiety. Piet miał bez wątpienia smak, Therese była piękną dziewczyną, a ta kobieta, jakkolwiek jakieś dziesięć lat starsza od metresy Pieta i zmęczona nagłą podróżą, też była do rzeczy.

De Gier podziwiał długie gęste włosy blond i zmysłowe usta. Kobieta uśmiechnęła się do niego.

- Czy nie będą panowie mieć mi za złe, że nie jestem smutna? Nie kochałam Pieta już od dawna, i mało mnie obchodzi, że nie żyje. Nie życzyłam mu tego, ale cóż, stało się.

Rozumiem panią - powiedział de Gier.

- I nie zamordowałam go - powiedziała beznamiętnie - byłam w Paryżu, mogę to z łatwością udowodnić. Podam panom mój adres, proszę zlecić sprawdzenie tego, co mówię.

Napisała adres i de Gier schował karteczkę, na wszelki wypadek każe to sprawdzić.

Jest pani teraz jedyną dyrektorką Fundacji Hindystycznej - powiedział Grijpstra.

- Co pan powie - zareagowała z przekąsem kobieta. - Też mi coś. Dom pusty i wszyscy odeszli oprócz Van Meterena, jak słyszę, a on też odejdzie, zresztą nigdy nie był członkiem fundacji, tylko tu mieszkał. A ten bzdurny hindyzm już mi dawno przeszedł. Piet kiedyś mnie nawrócił, kiedy zwariowałam na jego punkcie.

Popatrzyła kolejno na obu policjantów.

Ale jestem jak najbardziej zainteresowana w otrzymaniu pieniędzy, muszę dbać o dziecko.

- Przykro mi, proszę pani - powiedział Grijpstra - ale obawiam się, że nie ma żadnych pieniędzy. Pani mąż wziął kredyt na hipotekę tego domu, a gdzie są pieniądze, nie wiemy. Może uda się pani sprzedać dom i coś pani zostanie, ale niech pani się przedtem zwróci do pana Joachima de Katera, rewidenta pani męża.

Pani Verboom spojrzała w okno i dmuchnęła dymem.

- To łotr - powiedziała. - Latami pracowałam przy tym domu, ciosałam, tynkowałam ściany, zawsze dawał mi najcięższą

robotę. Nie tylko mnie, wszyscy byliśmy strasznymi idealistami, mieliśmy poprawić środowisko i zrobić ludzi spokojniejszymi i szczęśliwszymi poprzez połączenie ich z głębią ich własnej duszy. Bujaliśmy w obłokach i tyle!

Grijpstra popatrzył na nią przyjaźnie.

- A on tymczasem wszystko zainkasował. Co on zrobił z tymi pieniędzmi?

- Sam bym to chciał wiedzieć - powiedział de Gier. - Bo wtedy może byśmy się dowiedzieli, czy pani mąż został zamordowany, a jeżeli tak, to dlaczego. Ale nic nie możemy znaleźć. Wie pani może, czy pani mąż handlował kiedykolwiek środkami odurzającymi?

- Haszyszem? - spytała pani Verboom.

- Haszyszem, heroiną, kokainą, środkami podniecającymi, pigułkami, czymkolwiek - powiedział Grijpstra.

Pani Verboom potrząsnęła przecząco swoją piękną głową, mówiąc zsunęła z ramion pelerynę, pod nią nosiła ciemną bluzkę bawełnianą, której trzy górne guziki były otwarte. W tej chwili pochyliła się nieco ku przodowi. De Gier zobaczył jej piersi, najpierw jedną, a po niej, po wdzięcznym skręcie, drugą.

- Hmmf, hmmf - powiedział de Gier cichutko.

- Pardon? - spytała pani Verboom.

- Nie, nie - odparł de Gier - powiedziałem: Hmmf, hmmf. Ostatnio mi się to często zdarza. Chyba jestem trochę przemęczony.

- To pewnie przez te gorąca - powiedziała pani Verboom i roześmiała się.

- Środki odurzające, mówi pan - podjęła. - Może i tak. Skrupułów moralnych u niego raczej nie zauważyłam, ale z drugiej strony nie był też najodważniejszy, a narkotyki... Nie wiem. Haszysz mieliśmy. Urządzaliśmy całe seanse. Często tutaj paliłam i muszę powiedzieć, że mi to dobrze robiło. Kiedy palę haszysz, mogę się doskonale skoncentrować i wszystkie barwy i formy stają się takie doskonałe.

Tam na stole stała kiedyś salaterka z pomidorami, przez cały wieczór siedziałam i patrzyłam, nigdy nie zauważyłam, że

pomidory są tak ślicznie czerwone.

- Ciągle pani pali? - spytał Grijpstra.

- Nie - odpowiedziała pani Verboom - już nie. Przestałam, jak stąd odeszłam. W Paryżu nikt mnie nie częstował, a w końcu nie doszło do tego, żebym łątała po mieście za jednym skrzytem. Zresztą muszę pracować, mam posadę sekretarki, moja matka jest Francuzką, jestem dwujęzyczna.

- Więc pani mąż dawał sposobność do palenia haszyszu

- podsumował de Gier - ale czy go sprzedawał?

- Nie jestem pewna - powiedziała pani Verboom - w barze nie można było kupić skrzyta, ale może robił to na większą skalę. Przychodzili tu czasem jacyś dziwni goście, którzy szli prosto do jego biura, a on wtedy zamykał drzwi na klucz. Może byli handlarzami haszyszu. I on sam miał zawsze tego pełną puszkę.

- Nie znaleźliśmy tej puszkę - powiedział de Gier.

- To ktoś musiał ją zabrać - powiedziała pani Verboom

- słyszałam od Van Meterena na dole, że było tu potem włamanie.

Rozmowa trwała jeszcze jakiś czas, ale pani Verboom już tylko się powtarzała. Kiedy po raz szósty usłyszeli, jaki nieprzyjemny był Piet, Grijpstra zakończył rozmowę. To, że Piet był nieciekawym, wiedzieli już prawie na pewno.

## 7

Była sobota rano i de Gier spał.

Budzik koło jego łóżka wskazywał dziewiątą. Budzik zadzwonił o pół do siódmej, jak zawsze, również w niedziele i święta. De Gier wstał też na chwilę, żeby zrobić kawy. Wypił kawę na balkonie patrząc na trawnik położony za blokiem, prostokątną krótko przystrzyżoną łączkę z małą grządką róż dokładnie pośrodku. Umył zęby, ogolił się bez pośpiechu, wypalił na balkonie jeszcze jednego papierosa, znowu patrząc na monotony trawnik, przez który przebiegł jakiś jamnik. Wyraźnie chciał się gdzieś wysiusiać, ale nie wiedział gdzie, bo trawnik był taki duży.

A potem de Gier znów się położył, pomrukując z zadowoleniem.

Śnił.

Był to sen, który już nieraz mu się śnił. Sen z początkiem i końcem.

Łukiem Herengracht płynie okręt wojenny. Przypomina trochę statki patrolowe Państwowej Policji Wodnej, jakie czasem widuje się na Iju albo przy doku zachodnim, ale dużo większy.

Załogę statku stanowi mnóstwo niskich kanciąstych mężczyzn, uzbrojonych w starodawne pistolety maszynowe z czasów Al Capone, krótką broń z płaskim okrągłym bębniem zamontowanym na lufie tuż za kolbą.

De Gier stoi na moście i patrzy w dół. Obserwuje moment przejścia władzy w Amsterdamie przez przestępcze podziemie. Jeszcze chwila, a statek będzie przycumowany do nabrzeża i roześle po mieście patrole. Pierwszy pójdzie do ratusza i aresztuje burmistrza i rajców, drugi zajmie Biuro Główne Policji.

De Gier jest sam, bez broni.

Ale nie jest zdenerwowany, zna swoją moc, władzę funkcjonariusza śledczego w demokratycznie rządzonym kraju.

Przygląda się przeciwnikowi i stwierdza, że wszyscy mali kanciąści mężczyźni mają identyczne twarze i że każda twarz groźnie spogląda w górę spod identycznego melonika. Widzi, że każdy z jego wrogów ma na sobie prążkowany garnitur modelu Grijpstry i szary krawat jak nadinspektor.

Nie dziwi go to, przebiegłość każe rebeliantom wyglądać jak prawowita władza. Jest bardzo wcześnie rano, miasto całkiem puste. Siedemnastowieczne szczyty tworzą ramę próżni.

Statek przepływa pod mostem i de Gier wychyla się nad balustradą. Pluje.

Mały kleksik śliny, niepokaźny, postrzępiony płyn, poruszany słabym wiatrem pozostaje jakiś czas na powietrzu, zanim dosięgnie jednego z mężczyzn w meloniku.

Wtedy następuje wybuch. Statek odpływa i tonie, mężczyźni

wyskakują na wszystkie strony za burtę i topią się.

Pływa tylko jeszcze jeden melonik.

De Gier obudził się. Westchnął. Sen nie zawsze tak dobrze się kończył jak tym razem.

- Cześć, Olivier - powiedział do syjamskiego kocura, który ulokował się do snu w jego nogach, z wymalowanym na pyszczku szerokim i zadowolonym grymasem. Olivier wydał z siebie senny pisk w odpowiedzi.

- Nie piszcz - powiedział de Gier - jesteś kotem, a nie myszą.

Olivier pisnął jeszcze raz.

- Dobrze, jesteś myszą - powiedział de Gier i jednym szarpnięciem odrzucił koce, aż Olivier, wyrzucony nagle z niezręcznej pozycji, uderzył w ścianę i zaplątał się w koce.

De Gier zaczął się śmiać.

- Jaka niezręczna z ciebie mysz.

Olivier wyswobodził się i już ocierał się o nogi de Giera, sama serdeczność.

De Gier miał zamiar iść do kuchni, żeby rozpocząć duże śniadanie dnia wolnego od pracy, a Olivierowi dać placuszek rybny, kiedy zadzwonił telefon.

- Dom Starców „Miłość” - zgłosił się de Gier.

- Dzień dobry - powiedział Grijpstra - obudziłem cię?

- Bynajmniej, wertuję teczkę z materiałami śledztwa.

- Już cię widzę - powiedział Grijpstra. - Usiądź gdzieś na moment.

De Gier usiadł na łóżku i zapalił papierosa.

- Już siedzę.

- Dobrze - powiedział Grijpstra. - Słuchaj. Mam dla ciebie ekstra robótkę.

- Nie - powiedział de Gier - mam dzisiaj wolne.

- Nie marudź - powiedział Grijpstra - wcale nie masz wolnego. Jesteś funkcjonariuszem śledczym, uwikłanym w wyjaśnienie morderstwa, a ktoś taki nigdy nie ma wolnego. A to, co ci mam do powiedzenia, jest całkiem przyjemne. Przypominasz sobie panią Verboom z wczorajszego wieczoru?

- Tak - powiedział de Gier i pomyślał o piersiach, które mu wówczas podano jedną po drugiej jak na tacy.

- To już brzmi lepiej - powiedział Grijpstra. - Ciągle jeszcze szukam motywu zabicia Pieta Verbooma.

De Gier położył się na łóżku. Zanosilo się na dłuższą rozmowę.

- To już przecież masz - powiedział - siedemdziesiąt pięć tysięcy guldenów to jest dobry motyw.

- Zgoda. Ale co powiesz o tym? Van Meterena łączy coś z panią Verboom. Wiemy, że Piet podrywał dziewczyny. Czyli małżeństwo nie było dobre. Pani Verboom była samotna. Samotne kobiety wymagają pocieszenia. Próżnia zawsze pozostaje zapełniona. Czarni faceci mają dzisiaj wzięcie. Ona łapie się za Van Meterena.

- Murzyni mają wzięcie - powiedział de Gier - nie Papuasi.

- Eee - powiedział Grijpstra - myślisz, że ona się zna. Czarny to czarny. A oprócz tego w domu nie ma Murzynów, a jest Papuas.

- Siedem ósmym Papuasa - sprostował de Gier.

- Te siedem ósmym Papuasa to cały mężczyzna - powiedział Grijpstra. -1 przestań mi przerywać. Spiesz się.

- Śpieszysz się? - zapytał de Gier - przecież jest wolny dzień. Zjedz śniadanie. Zrób coś miłego. Masz cały dzień.

- Ech - powiedział Grijpstra - muszę jechać z dziećmi na plażę, a już jest późno. Słuchaj no. Ta pani Verboom idzie z Van Meter enem do łóżka. Znamy go już trochę i wiemy, że to jest miły człowiek. Wyjątkowo miły człowiek.

- Wyjątkowy człowiek - zgodził się de Gier - opowiadałem ci, jak on jeździ na starym harleyu? I co zrobił z moim kotem?

- Tak - powiedział Grijpstra - mówiłeś. Wyjątkowy człowiek, a pani Verboom jest piękną inteligentną kobietą. Podobają się sobie. Ale nie mają pieniędzy. Van Meteren jest funkcjonariuszem niższej rangi w policji drogowej, a pani Verboom jest kelnerką i pomocą kuchni w restauracji swojego męża i zarabia centa na tydzień, a i to nie zawsze może go wyděbić. Chcą gdzieś zamieszkać razem i zaczynają się zastanawiać. Wiedzą, że Piet handluje narkotykami i że zarabia na tym duże pieniądze. Van Meteren też może w tym bierze udział jako pomocnik Pieta. Może wie o tych

siedemdziesięciu pięciu tysiącach, jakie Piet przygotował na zakup większej partii towaru. Mówi pani Verboom, że zdobędzie te pieniądze. Ona chce mu na początku pomóc, ale on jest na to za chytry. Gdybyśmy zastali w tym domu panią Verboom, stosunek mógłby wyjść na jaw. Musiała wyjechać.

- Dobrze - powiedział de Gier - to możliwe. Ona kłóci się z mężem i opuszcza go i żeby nie było cienia wątpliwości, wyjeżdża za granicę. To wyklucza współnictwo w morderstwie rabunkowym. Nie było jej. I co potem?

- Cieszę się, że za mną nadążasz tak wcześnie rano - powiedział Grijpstra. - Ale teraz będzie lepsze.

De Gier wyjrzał przez okno i zobaczył, że Olivier wlaźł do skrzynki z bodziszkami i szczyrzy zęby na przelatujące mewy.

- Oj - powiedział de Gier - poczekaj sekundę. Olivier siedzi w skrzynce na kwiaty, a w zeszłym tygodniu zleciał na ziemię. Jak go zabrałem prawie nieżywego z dołu, to jeszcze potem przez parę dni leciała mu z pyska krew. Muszę go złapać.

- Zawsze coś znajdziesz - powiedział Grijpstra, ale de Gier rzucił już słuchawkę i zakradał się do Oliviera. Po chwili kot był w środku, a drzwi na balkon zamknięte.

- Ale teraz będzie lepsze - powiedział Grijpstra. - Bo Piet popada w melancholię. Brakuje mu naprawdę żony i dziecka. Mówi nawet o samobójstwie. Van Meteren podsyca jeszcze bardziej te ponure nastroje. Ten Piet to dziwny, nieźrównoważony człowiek i prawdopodobnie jest w stanie popełnić samobójstwo. Van Meteren dopomaga, a w domu rozpowiada, że Piet jest bardzo przygnębiony. Każdy wierzy, że Piętowi jest bardzo ciężko.

- Ha - powiedział de Gier, już naprawdę zainteresowany - ale Piętowi wcale nie jest ciężko. Zabiera się do stoczenia bitwy swojego życia, zamierza kupić partię heroiny albo kokainy, którą może natychmiast odsprzedać handlarzom, co przebrani za hindystów kręcą się bez przerwy po fundacji. Ale nie udaje mu się i umiera. Jak?

- No - powiedział Grijpstra - całkiem zwyczajnie. Van Meteren czeka, aż Piet będzie miał pieniądze w domu i będzie spodziewał się tego, kto ma mu przynieść towar. Zanim



tamten gość się zjawi, Van Meteren wchodzi do pokoju Pieta, daje mu po głowie i wiesz go. Pieniądze wsadza do kieszeni i chowa gdzieś poza domem. Świat jest duży.

De Gier wyciągnął się na łóżku i patrzył w sufit.

- Tak, tak - powiedział - i Van Meteren mógł jeszcze wykorzystać tę kłótnię między Pietem a Therese. Wszedł potem, jak Therese wściekła wybiegła z pokoju, znalazł Pieta zamroczonego na krześle, dokończył dzieła. A kiedy my przyszliśmy, to on pierwszy zauważył guz, żeby odsunąć od siebie podejrzenie. W końcu to był guz od uderzenia słownikiem.

- Albo nie - powiedział Grijpstra - ten guz mógł być spowodowany uderzeniem Van Meterena. Kobiety nie rzucają celnie. Ale to nieważne.

De Gier zaczął się śmiać.

- Nieważne. Mówisz jak hindysta. Nawróciłeś się?

Grijpstra zachichotał.

- Już od lat jestem nawrócony. W policji człowiek się prędko uczy, że nic nie jest naprawdę ważne, jeżeli tylko ma się oczy i uszy otwarte. Ale to wszystko nie przeszkadza, że ktokolwiek jest mordercą, i tak go złapiemy.

De Gier skinął głową do telefonu.

- Znaczący ot tak, dla zabawy.

- Dla zabawy - potwierdził Grijpstra - a jak się nie uda, to nie przestaniemy dalej próbować. A jak się nigdy nie uda, to będzie nam szkoda, ale nie strasznie szkoda.

- O.K. - powiedział de Gier. - I co dalej?

- Van Meteren dzwoni do pani Verboom w Paryżu i opowiada, że wszystko załatwione. Może przyjeżdżać. Musi przyjechać, bo powinna zainteresować się spadkiem po mężu.

- Tego nie jestem pewien - powiedział de Gier - równie dobrze mogła nie przyjeżdżać. Ale czego właściwie ode mnie chcesz?

- Aha - powiedział Grijpstra - robótka. W piękny wolny poranek sobotni mam dla ciebie stosowne zajęcie. Chciałbym, żebyś umówił się z panią Verboom. Trochę się w niej zakochałeś, proszę bardzo, jesteś bądź co bądź kawalerem.

Zadzwoń do niej i wybierz się z nią gdzieś.

- Hmm - powiedział de Gier - a jak odmówi?

- Nie odmówi - powiedział Gripstra. - Jesteś funkcjonariuszem, który prowadzi tę sprawę, a oprócz tego przystojny z ciebie chłopak. Dwa powody, żeby posłuchać, co masz do powiedzenia. Może się pomyli, ty potrafisz dobrze słuchać, a ona jest napięta. Pozwól jej mówić.

De Gier wstał i wyjrzał przez okno.

- Ty to zrób - powiedział - ty możesz zagrać rolę ojca. Jeżeli twoja teoria się zgadza, nic jej po mnie, już ma kogoś, naszego przyjaciela Van Meterena.

- Ja muszę jechać do Zandvoortu - powiedział Grijpstra. - No to powodzenia! Zadzwon do mnie wieczorem, jak ci poszło.

- Hej! - krzyknął de Gier.

- Tak - spytał Grijpstra.

- Samochód. Muszę mieć samochód, przecież jej nie zabiorę na bagażnik roweru!

- Dobrze - powiedział Grijpstra - dziś o drugiej będzie czekał na ciebie wolny mercedes na placu przed Biurem Głównym.. Klucz u portiera i pięćdziesiąt guldenów w przegródce na rękawiczki, rachunek zwróć portierowi i rozlicz się w poniedziałek.

Odłożył słuchawkę.

De Gier zrobił to samo, wziął na ręce Oliviera i poszedł z nim patrzeć z balkonu na mewy. Starsza pani, która mieszkała nad nim, rzucała okruchy i mewy krążyły nad trawnikiem. Olivier zaczął szczekać zębami z podniecenia.

- Olivier - powiedział de Gier - czeka nas praca. Nie spadnij na ziemię, bo nie będę miał czasu po ciebie chodzić.

Postawił kota, wyszukał numer pani Verboom w notesie i zaczął go wykręcać. Odebrała jej matka.

- Jestem Rinus de Gier, proszę pani, czy zastałem pani córkę?

- Chwileczkę - odpowiedziała matka i usłyszał, jak woła: „Constanze”.

- Cześć, Constanze - powiedział zmysłowo, kiedy się zgłosiła.

- Tu Rinus de Gier. Wczoraj się spotkaliśmy.

- Skąd wiesz, jak mam na imię? - zapytała zdziwiona.

- Policja wie wszystko - powiedział de Gier.

Constanze zaśmiała się bardzo naturalnie. Nie jakimś sztucznym śmiechem.

Grijpstra nie ma racji, pomyślał de Gier, to biedne dziecko nie ma z tym nic wspólnego, ale polecenie to polecenie.

- Czy dzwonicz do mnie jako policjant, czy jako mężczyzna?

De Gier nabrał odwagi, to było wyraźne podanie ręki.

- Cóż - powiedział z wahaniem - właściwie jako mężczyzna. Pomyślałem sobie, że może nic nie masz do roboty w ten weekend, a ja też mam wolne. Mógłbym po ciebie przyjechać dziś po południu. Może byśmy się kawałek przejechali, a potem zjedli coś na mieście lub coś takiego?

- Lub co takiego? - spytała Constanze.

- Piwko na placu Lejdejskim, po obiedzie?

- Zgoda - powiedziała Constanze - rzeczywiście siedzę tu beczynnienie, a dzieckiem zajmują się rodzice. I marudzą o śmierci Pieta. Chętnie się dokądś wybiorę. Przyjedź po mnie. O której możesz?

- Po południu? - spytał de Gier.

- Nie - powiedziała Constanze - po południu idę na zakupy z matką. Mógłbyś koło siódmej?

- O siódmej - powiedział de Gier.

- Znakomicie, Rinus, czekam w takim razie na ciebie.

De Gier skoczył i wylądował na środku pokoju, i zaśpiewał:

Konstanty do zabawy ma konia  
na biegunach, a bez łba i ogona.

Kostek krąży w kółko i tupie

A jeździ na...

Przestał śpiewać. To głupio żartować sobie z czyjegoś imienia. Rinus to też nic szczególnego, a de Gier to już w ogóle do niczego: sęp. Ptak, który je gnijące mięso. Lee. To już lepsza goła dupa.

Ta goła dupa rozweseliła go trochę i poszedł do kuchni. Kucnął i zajrzał do wnętrza lodówki.

Olivier stał obok niego i jęczał z głodu.

- Zamknij tę swoją syjamską mordę, Olivier - powiedział de Gier. - Składamy się z popędów, ty i ja. Ty nie zaspokoileś jednego, a odzywa się następny. Ale teraz będziemy jeść. Jajka na słoninie i kawa dla mnie, a te dziwne ciastka rybne dla ciebie.

O wpół do siódmej dotarł do samochodu. Był to dość nowy mercedes z otwartym dachem, bak był już napełniony.

Samochód z biura dochodzeń, pomyślał de Gier. Ci to mają życie. Śledzenie to jest wszystko, co robią. A to jest piękny samochód do takiej roboty. Ale kiedy trzeba aresztować, to wtedy musimy wkraczać my. Wywiadowcy z biura dochodzeń zawsze pozostają w tle. Jak to miło z ich strony, że pożyczyci samochód.

Constanze mieszkała przy ulicy Jacoba van Lennepa, długiej, wąskiej i przygnębiającej ulicy bez zieleni. Z trudem lawirował mercedesem między zaparkowanymi samochodami i bawiącymi się dziećmi. Nic dziwnego, że chciała z nim dokądś wyjść, wszystko musi być lepsze od duszenia się w pokoikach o złej wentylacji i zawałonych meblami.

Matka Napytała, czy nie zechciałby wejść na chwilę do środka. Uśmiechnęła się do niego nieomal poddańczo, gruba kobieta o matowych włosach i plamach wilgoci pod pachami. Yvette, córeczka Contanze, wyszła do niego na spotkanie na schody i zdawała się przypominać sobie jeszcze, kim on jest. Dostał całuska. W pokoju wziął dziecko na kolana. Matka Contanze uśmiechnęła się jeszcze raz do niego, mówiła z francuskim akcentem. Wszedł ojciec i został przedstawiony. Ojciec też był gruby, a jego ręka, którą uściśnił, była pulchna i lepka.

- Idę na rentę - powiedział ojciec - jestem przepracowany. Pan też w służbie państwowej, słyszałem.

- Zgadza się, proszę pana - powiedział de Gier - pracuję w policji.

- To musi być miła praca - powiedział ojciec. - Ja pracuję w Katastrze Państwowym. Chowam teczki, a po schowaniu z powrotem wyciągam. I za każdym razem, kiedy wysuwam

taką teczkę przez okienko, ponieważ ktoś chce do niej zajrzeć, państwo zarabia sześć i pół guldena. Z tego ja dostaję jednego centa. A teraz okazało się, że jestem przeciążony pracą. Doktor mi tak powiedział. Z czego to się wzięło?

De Gier milczał uprzejmie.

- Moja córka zaraz przyjdzie powiedział ojciec. - Pacykuje się. Wcale jej to niepotrzebne, apetyczna z niej babka, nie powinna się była wydawać za tego kurdupła, ale teraz on nie żyje, to już nie ma co biadać.

- Pan nie lubił Pieta Verbooma? - spytał de Gier.

- Pewnie, że nie - powiedział ojciec - nikt go nie lubił. Palant pierwszej klasy. Ze mną nigdy nie rozmawiał, bo byłem dla niego za głupi. A on dla mnie był znowuż za nudny, truł tylko bez przerwy o sobie. Ja przeważnie robię to samo, toteż trudno było na dłuższą metę o jakąś konwersację.

De Gier wybuchnął śmiechem. Ojciec też się roześmiał.

- Jak widzisz - powiedział-można sobie jeszcze pożartować, nawet kiedy człowiek jest przepracowany. Napijesz się piwa?

De Gier dostał piwo od Constanze, która przyniosła dwie puszki i dwie szklanki. Ojciec spoglądał dobrotliwie znad szklanki na de Giera.

- Lubisz piłkę nożną? - spytał ojciec.

- Nie, proszę pana - powiedział de Gier.

Ojciec usiadł prosto.

- Żartujesz.

- Nie - powiedział de Gier - to zabawne, ale nigdy nie mogłem się tym podniecić. Kiedy patrzę na mecz, widzę tylko ludzików latających tam i z powrotem za małą piłeczką, nic a nic mnie to nie bierze. Chyba za dużo w tym ruchu.

- Słyszałaś, matka? - zawołał ojciec.

De Gier musiał wszystko opowiedzieć jeszcze raz.

- Jakie to szczęście dla niego, że pan mu o tym powiedział - ucieszyła się matka. - Jemu się zdaje, że tylko on jeden w całym mieście nie lubi piłki nożnej, i strasznie się tego wstydzi.

- Cholera, żebyś wiedział - powiedział ojciec, który wciąż jeszcze siedział wyprostowany - że się tego wstydzę. Całkiem

jakbym był inny, niż wszyscy moi sąsiedzi i koledzy z pracy. A teraz jestem taki jak ty. Ha.

- A co pan lubi? - spytał de Gier, który chciał zmienić temat.

Ojciec wskazał za siebie. De Gier zobaczył rząd płyt gramofonowych. Wstał i obejrzał płyty. Jazz nowoczesny od początku do końca, fortepian i trąbka.

Ojciec popatrzył na niego zakłopotany.

- Podobają ci się? - zapytał go.

De Gier poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach. Ten gruby lepki człowiek musiał mieć taką samą duszę jak on. Próbował się opanować, ale entuzjazm wziął górę.

- Proszę pana - powiedział de Gier - proszę pana, to jest coś wspaniałego. Ja też mam te płyty, nie wszystkie, ale większość. Słucham ich, kiedy jestem sam, z kotem na kolanach i cygarem ze specjalnego pudełka. To jest najpiękniejsza muzyka, jaką znam.

Chciał mówić jeszcze, ale ojciec przerwał mu.

- Bóg mnie będzie miał w swojej opiece - powiedział miękko.

Matka spojrzała czule na de Giera.

- Bardzo pan pomógł mojemu mężowi, proszę pana. Już nie jest samotny.

- Nawet jeżeli cię już nigdy nie zobaczę - powiedział ojciec - to nic, ale to jest piękna chwila, bywają takie w życiu. Mamusi, jeszcze piwa!

De Gier był zafascynowany.

- Miał pan już więcej takich chwil?

- Tak - powiedział ojciec. - Jako dziecko. Nigdy ich dobrze nie rozumiałem: coś się przytrafia albo coś słyszysz i naraz jest. Ale nie potrafisz tego wytłumaczyć, nawet samemu sobie. Na przykład w ogrodzie zoologicznym po raz pierwszy widziałem dzioborożca. To było takie idiotyczne zwierzę, że od tej pory wszystko stało się dla mnie inne. Później oczywiście znowu miało stać się zwyczajne i nudne, ale w tamtej chwili było inne. Nigdy tego nie zapomniałem. Jeszcze teraz czasem chodzę specjalnie do Artis, żeby znowu zobaczyć dzioborożca. Wiesz, kiedy mam już dość tych teczek w Katastrze albo tej ohydnej ulicy. Zawsze można wsiąść w tramwaj w kierunku

ZOO, a tam jest dzioborożec.

- Chyba nie jesteś pijany, tato - zapytała Constanze i powiedziała do de Giera: - Przeważnie o dzioborożcu zaczyna mówić, kiedy zaleje się w pestkę.

- Wcale nie - powiedział ojciec. - Idź śmiało z panem na miasto. Nie jestem pijany i nie upiję się. W każdym razie nie dzisiaj.

De Gier pożegnał się i przepuścił w drzwiach Constanze. Obejrzał się jeszcze, ale ojciec wyglądał przez okno z pogodnym wyrazem twarzy.

- Dobra robota - powiedziała na schodach Constanze, wspierając się na nim - musisz przyjść jeszcze kiedyś. Od dawna nie możemy niczym ojca rozweselić. Dzisiaj było jeszcze jako tako, ale czasami jest taki zgorzkniały, że nie chce się odzywać. Tylko Yvette może go jeszcze wtedy rozruszać, siada mu na kolanach, ciągnie za nos, i wraca mu powoli życie. Dziś rano byli razem w ZOO.

U dzioborożca, pomyślał de Gier. Czego to się człowiek nie nasłucha. Trzeba będzie powiedzieć Grijpstrze. Kiedy będziesz w złym humorze, Grijpstra, idź popatrzeć na dzioborożca.

- To twój samochód? - spytała Constanze.

- Tak - powiedział de Gier - kupiony za oszczędności.

- To w policji masz taką dużą pensję?'

- Nie - wycofał się de Gier - to pożyczony. Ale żebyś wiedziała, jaki mam ładny rower. A kiedy mam służbę, jeżdżę volkswagenem.

- O - powiedziała Constanze - jeżeli o mnie chodzi, to nie musisz mieć samochodu. Nie jestem przyzwyczajona. Piet miał samochód, ale jeździł nim tylko sam albo ze swoimi przyjaciółkami. Dla mnie była kuchnia i pilnowanie dziecka.

- To w Paryżu nie masz przyjaciela z samochodem? - spytał de Gier. - Przecież jesteś piękną kobietą. Nie powiesz mi chyba, że tam w Paryżu się na tym nie znają.

Constanze przez chwilę nic nie mówiła.

- Od Pieta odeszłam nie tak dawno - powiedziała w końcu. - A w Paryżu pracuję w biurze, gdzie mój wuj ma wysokie stanowisko. Dopiero od tygodnia mam własne mieszkanie i

zaraz po pracy muszę odbierać dziecko ze żłobka. Mężczyzny jeszcze się nie dorobiłam.

- Hmmf, hmmf - powiedział de Gier.

- Wczoraj wieczorem już to od ciebie usłyszałam - powiedziała Constanze - czy to jest twój okrzyk bojowy?

De Gier zaczerwienił się. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że mu się wyrwało hmmf.

- Tak, mój okrzyk bojowy - powiedział, żeby się ratować.

- Czy chcesz coś na mnie zdobyć? - zapytała Constanze.

Położył swoją dłoń na jej dłoni. Kto tu kogo podrywa? - pomyślał.

- Zabrałaś chleb? - zapytał pokazując na foliową torebkę z chlebem, którą ona położyła między nimi.

Teraz zaczerwieniła się Constanze.

- Tak - powiedziała - ale nie dlatego, żebym bała się, że mi nic nie dasz do jedzenia. To są kanapki, które ojciec zabrał do Artis i przyniósł z powrotem. Chciałam cię zaraz poprosić, żebyśmy wpadli potem na chwilę do Lasku Amsterdamskiego, zawsze tam chodziłam będąc dzieckiem i chciałabym jeszcze raz pójść, zanim wrócę do Paryża.

- Nakarmić kacuszki? - zapytał de Gier.

- Nie - odparła - to jeszcze jedna tajemnica, zobaczysz. Coś uroczego.

Zabrał ją do Chińczyka na Nieuwendijk. Właściciel pozdrowił go, a kelner uśmiechnął się, poprzedniego wieczoru dostał od niego dziesięć guldenów napiwku za zmarnowane jedzenie. Kelner na początku nie chciał tego przyjąć. De Gier wiedział dobrze, że grzeszność i przychylność właścicieli barów i restauracji w dziewięćdziesięciu procentach wynikała z tego, że jest policjantem, ale fakt był faktem i przyjemnie człowiekowi, kiedy inni są dla niego mili. Więc odwzajemnił uśmiech kelnera i pomachał właścicielowi, który z za baru też mu pomachał i lekko się uklonił.

Stary Chińczyk przyszedł obsłużyć ich osobiście.

- Polecam dzisiaj - powiedział stary mężczyzna - świeże krewetki, z nassi. Krewetki wczoraj łowione.

- Jakie to miłe - powiedziała Constanze - znają cię tutaj?



De Gier przytaknął. - Równie dobrze mógłbym chodzić w mundurze. Zna mnie całe śródmieście.

- Masz mundur? - zapytała Constanze.

- No pewnie. Wisi w szafie. Dopiero co był w pralni.

- Nosisz go kiedy?

- Od czasu do czasu - powiedział de Gier - nieraz muszę siedzieć w okienku biura przepustek, kiedy choruje dużo wachmistrzów.

W trakcie jedzenia skierował rozmowę na Van Meterena. Mówiła bez zahamowań.

- Miły człowiek, na dobrą sprawę jedyny w tamtym domu, z którym można było porozmawiać. Zawsze uprzejmy i zawsze coś robił. Stał z dala od wszystkiego, to też było takie nadzwyczajne, do niczego się nie wtrącał, ale jeżeli mógł coś zrobić, to zawsze robił.

- Coś robił? - zapytał de Gier. - A co robił?

- Studiował - powiedziała Constanze.

- Studiował? Na uniwersytecie?

- Nie - odparła. - Nie miał do tego przygotowania, ale miał inteligencję. Czytał wszystko, co tylko znalazł, na temat historii Niderlandów. Czy wiesz, że on zna każdą miejscowość w Holandii? I w każdej był? W każdy weekend wyjeżdżał gdzieś na swoim motocyklu.

- Jeździłaś z nim czasami? zapytał de Gier.

- Nie - powiedziała Constanze - boję się motorów. Jako dziewczyna jechałam z chłopakiem i mieliśmy wypadek. Bez mała nie kosztowało mnie to stopy, miesiącami chodziłam o kulach. Nie mam odwagi usiąść nawet na siodełku. Nawiasem mówiąc, widziałeś, jak Van Meteren jeździ? Przecina wszystko na wskroś, pociałam się widząc tylko, jak rusza.

- Lubiałaś go? - zapytał de Gier.

Constanze natychmiast stała się czujna.

- Dlaczego? - zapytała nieufnie. — Chyba nie jesteś zazdrosny? Czy może mnie przesłuchujesz? Jak wczoraj? '

- Nie, nie - zaprzeczył de Gier - tak. tylko pytałem. Zwyczajnie. Z ciekawości.

- Podejrzywałaś, że coś było między tym Papuasem a mną?

De Gier nic nie powiedział.

Constanze odłożyła widelec i z wahaniem popatrzyła na de Giera.

- Może to było nieładnie z mojej strony. Nie mam nic przeciwko kolorowym i Van Meteren był zawsze wobec mnie miły, ale jako mężczyzna... Nigdy mi to nawet nie przyszło na myśl.

De Gier poczuł jej stopę obok swojej i musiał się opanować, żeby znowu nie powiedzieć hmmf. Później znowu sprowadził rozmowę na Van Meterena.

- Tak - powiedziała - ciekawy człowiek. Musi mu być bardzo trudno żyć tutaj. Nowej Gwinei nie może zapomnieć, a do Holandii nigdy się nie przyzwyczai, nawet w Amsterdamie. Może byłoby mu z tym łatwiej, gdyby go przyjęli do policji. Właściwie jest przecież emigrantem. Czy wiesz, jak on potrafi świetnie opowiadać? Jak ja się uśmiełam, kiedy opowiadał o jednym urzędniku państwowym, który zaraz po przyjeździe na Nową Gwineę znalazł się między wojującymi kanibalami. Taki wysoki chudy chłopak z prowincji, który nigdy nie widział czegoś dzikszego niż przebiegający zając, a tu wjeżdża do swojej pierwszej wsi na Nowej Gwinei i nagle wokół niego zaczynają wrzeszczeć, zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, już na ziemię lecą głowy, świszczą strzały, a tamci tańczą i skaczą dookoła. Jemu nic nie zrobili, może dlatego, że jako biały stał poza tym wszystkim. Oprócz niego same dzikusy, z kostkami przewleczonymi przez nos i cali pomalowani oczywiście, drą się wniebogłose i zabijają jeden drugiego. Kiedy się to skończyło, on już był kompletnym wariatem, od razu się nadawał do zakładu. Siedział w nim na pewno latami.

- Nie wiem, co ty w tym widziałaś zabawnego - powiedział de Gier, który jako urzędnik państwowy poczuł się osobiście dotknięty. - Tamten człowiek przyjechał w końcu tylko po to, żeby przywrócić porządek.

- Może to źle opowiadam - powiedziała Constanze - ale gdyby ci to opowiadał Van Meteren, leżałbyś tak samo pod stołem ze śmiechu. Chyba z dziesięć razy prosiłam go, żeby

opowiedział jeszcze raz tę historię, tak niesamowicie umiał naśladować tych kanibali. Wszystko stawało przed oczami jak żywe. I ta wyciągnięta biała gęba urzędnika.

- To też umiał naśladować? - spytał de Gier.

- Tak - powiedziała Constanze - poproś go kiedyś, żeby ci opowiedział tę historię, a zobaczysz.

- Daj spokój - powiedział de Gier i zapłacił rachunek.

W samochodzie przytuliła się do niego.

- Jedź teraz do Lasku.

Koło stawu kazała mu przystanąć i dała mu kanapkę.

- Pokrusz to na małe kawałki i rzuć kilka do wody.

- Ale przecież tu wcale nie ma kaczek - powiedział de Gier.

- Zrób, co ci mówię.

Zrobił to. Gdy tylko chleb dotknął powierzchni wody, w stawie powstał ruch. Ze wszystkich stron wychyły monstrualne łby karpie, okazów chyba metrowej długości. Odpychały jeden drugiego od chleba i mlaskanie ich bezzębnych pyszczków wypełniało cichy wieczór. Zafascynowany karmił karpie, aż opróżnił torebkę.

- Prawda, że to było urocze? - spytała Constanze.

Już chyba pora, pomyślał de Gier i wziął kobietę w ramiona.

Oddała mu pocałunek, ale oswobodziła się z jego objęć.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała.

- Tu niedaleko.

- To chodźmy tam.

W mieszkaniu wyprzedził ją, żeby złapać Oliviera i zamknąć go w kuchni. Kiedy wrócił, była prawie naga.

Pomógł jej przy majteczkach i w duchu dziękował Grijps-trze.

Dobry sierzant jest zawsze na miejscu.

## 8

Grijpstra siedział na łóżku ze słuchawką przy uchu, mełł cygaro i patrzył na swoją żonę, która leżała obok niego niekształtnym kłębem pod pościelą. Zastanawiał się zrezygnowany, dlaczego plastikowe rolki do kręcenia włosów

muszą być zawsze takie przygnębiająco różowe albo błękitne. Dlaczego nie brązowe? - myślał Grijpstra. Przecież ona ma brązowe włosy. Gdyby rolki były brązowe, mniej by mnie złościły i nie miałbym teraz tego kwaśnego smaku w ustach. A tabletki solne już się skończyły. Ona wie, że się skończyły, ale mi nie kupiła.

Była dziesiąta rano w niedzielę. Nadinspektor mówił już jakiś czas.

- Nie posuwamy się do przodu - powtórzył nadinspektor - w dodatku niczego nie wyjaśniamy. Teraz kiedy odkryłeś, że na piętro, gdzie wisiał Piet, prowadzą jeszcze jedne schody, wszyscy stają się podejrzani. Powiadasz, że tych schodów normalnie nie używano?

- Nie, panie inspektorze - powiedział Grijpstra. - Ale można było z nich korzystać. Drzwi na parterze, które prowadziły na te schody, były zamknięte, ale każdy zamek ma swój klucz albo kilka kluczy. Otworzyliśmy drzwi i zamek był w dobrym stanie, a schody były czyste. Korzystał z nich Piet i pani Verboom też, tak powiedziały dziewczyny, które tam pracowały. Zaglądałem na statek mieszkalny, gdzie się zatrzymała jedna z nich. Van Meteren nie miał klucza, tak twierdzi, ale może jednak miał.

- Tak - powiedział nadinspektor. - To i pani Verboom też mogła to zrobić, mogła się zwolnić z pracy na jeden dzień i przylecieć rano do Amsterdamu, a wieczorem wrócić, zbadaj to w poniedziałek. Zadzwoń do jej pracodawcy w Paryżu.

- Tak jest - powiedział Grijpstra i wydmuchnął chmurę cygarowego dymu. Jego żona zaczęła kaszleć, wstała i wychłapała z sypialni, trzaskając za sobą drzwiami.

- Co to było? - zapytał nadinspektor.

- Moja żona zamknęła drzwi - powiedział Grijpstra.

- Myślałem, że ktoś strzelił - powiedział nadinspektor. - No cóż - podjął po chwili. - Sam nie wiem. Szukaj dalej. Stara pani Verboom też to mogła zrobić, wiesz, w którym ona jest zakładzie?

- W Bussum, w Chrześcijańsko-Liberalnym Sanatorium Chorób Nerwowych - poinformował Grijpstra.

- O, do licha - powiedział nadinspektor - to aż tak daleko zajechała?

Grijpstra nie podjął żartu.

- Może dostaniemy jakąś anonimową wiadomość - powiedział z nadzieją w głosie nadinspektor - to wtedy przynajmniej komisarz da mi spokój, bo on też już zaczyna narzekać. Komisarz nie lubi morderstw. Ciągłe myślisz, że to jest morderstwo?

- Zginęło siedemdziesiąt pięć tysięcy, panie inspektorze - powiedział Grijpstra.

- Tak - przyznał nadinspektor - to prawda. Ale może komuś zapłacił. Może powinieneś przesłuchać jeszcze tę jego matkę. Zrób to może od razu. Jeżeli załatwisz to dziś, jutro będziesz miał wolne ręce, wtedy będziemy musieli zabrać się do tych dwóch handlarzy narkotykami.

Grijpstra nic nie powiedział.

- Słyszysz mnie? - zapytał nadinspektor.

- Tak jest, panie inspektorze - powiedział Grijpstra - jeszcze dziś pojadę do sanatorium. Do widzenia panu.

Odłożył słuchawkę.

Nadinspektor powiedział jeszcze „powodzenia”, ale to już Grijpstrę ominęło.

Do sypialni weszła z powrotem jego żona.

- Nie pal w sypialni cygar - powiedziała.

- To jest paskudny zwyczaj - dodał Grijpstra i wstał. Ubrał się i przypiął do paska pistolet. W łazience golił się niepotrzebnie długo. To moja jedyna przyjemność dzisiaj, pomyślał ponuro. Ogolić się, nie żałować mydła, wziąć sobie nowy nożyk, a poza tym przez cały dzień sama nędzka.

W pokoju dziennym wyjrzał przez okno. Żona przyniosła mu filiżankę kawy.

- Ta kawa jest letnia - powiedział Grijpstra.

- To prędzej pij - odparła żona i znowu trzasnęła drzwiami.

Grijpstra patrzył na wodę Lijnbaansgracht; jakaś kaczką próbowała utorować sobie drogę wśród pływających śmieci. Doliczył się dwóch materaców, resztek krzesła, trzech wielkich i dwóch małych pudełek z tektury i czterech plastikowych

worków na śmieci ciemnoszarego koloni. Było też dużo drobniejszych odpadków. Obiecał sobie, że jeszcze raz napisze do Miejskiej Służby Oczyszczania. Poprzednim razem przysłali czółno z dwójką mężczyzn, którzy całymi dniami wylawiali wszelkie świństwo z kanału.

Grijpstra przypomniał sobie artykuł 41 Policyjnego kodeksu porządkowego.

„Zabrania się zanieczyszczania dróg publicznych lub terenów do nich przylegających jak również wód publicznych przedmiotami lub substancjami”.

Bezużyteczny artykuł, bo naruszenie go jest karane mandatem w wysokości dziesięciu guldenów.

Dziesiątka to dzisiaj są drobne, pomyślał Grijpstra i wrócił do sypialni, żeby zatelefonować.

- Słucham - powiedział de Gier.

- Spotykamy się w Biurze Głównym za pół godziny - powiedział Grijpstra.

- Nie mogę - powiedział de Gier - umówiłem się.

- Tak - powiedział Grijpstra - ze mną.

Odłożył słuchawkę i poszedł włożyć marynarkę.

- Wychodzisz? - zapytała żona u drzwi wyjściowych.

- Tak - odpowiedział Grijpstra.

- Wracasz późno?

- Tak - odpowiedział. Zamknął za sobą ostrożnie drzwi.

De Gier siedział w szarym volkswagenie na podwórku biura, kiedy ożywionym krokiem nadszedł Grijpstra. Spacer dobrze mu zrobił, a przykrość z kimś podzielona jest tylko połowiczna.

De Gier włączył silnik w milczeniu i wyjechał przez bramę.

- Nie mogłeś podziękować portierowi, że tak akuratnie otworzył ci płotek? - zapytał Grijpstra.

- Nie - odparł de Gier.

- W złym humorze? - spytał Grijpstra.

- Skądże znowu - powiedział de Gier. - Czyż jest coś miłszego ponad obowiązek i ciężką pracę? Byłem umówiony z Constanze Verboom i jej córeczką. Mieliśmy jechać na plażę. Do Zandvoortu. Wczoraj podobno tam byłeś, co?

- Tak - powiedział Grijpstra - pełno ludzi. A morze jest brudne. A jak się chcesz załatwić, to płacisz dwadzieścia centów. A dzieci chciały zbudować zamek i włożył im na to jakiś gruby Niemiec. Nie jego wina, którądyś musiał przecie przejść. A wtedy mój mały uderzył go łopatką. Chłop krwawił jak ranny jelen.

- Cha cha - powiedział de Gier.

- Uważasz, że to zabawne? - zapytał Grijpstra

- Pyszne - powiedział de Gier - miałeś duże kłopoty z tego powodu?

- Wystarczająco - powiedział Grijpstra.

- Dokąd jedziemy? - zapytał de Gier.

- Do domu wariatów - powiedział Grijpstra - odwiedzić starszą panią Verboom.

De Gier zahamował i zatrzymał samochód pod znakiem zakazu zatrzymywania się.

- Nie mówisz tego poważnie - powiedział - to po co ja ci jestem potrzebny? Przecież możesz tam jechać sam?

- Nie lubię starych kobiet - powiedział Grijpstra - i nie lubię domu wariatów.

- To dlaczego nie wysłałeś mnie samego? - zapytał de Gier. - Przecież zawsze tak robisz. Wczoraj też musiałem działać sam, prawda?

- Pomysł nie jest mój - powiedział Grijpstra cierpliwym tonem - nadinspektor to wymyślił. I powiedział, że powinienem tam jechać. Ale ja nie chcę sam. A dwóch usłyszcy więcej niż jeden, a ty musisz robić, co ci każe, i jedź już wreszcie.

Nadjechał policjant na motocyklu, który obejrzał się na chwilę i zakręcił na chodnik, ale Grijpstra machnął mu, żeby odjechał.

Ruszyli. De Gier patrzył rozmarzony przed siebie. Na nowo przeżywał nocne przygody.

- Jak poszło wczoraj wieczorem? - spytał Grijpstra.

- Wyśmienicie - powiedział de Gier - ale nie sądzę, żeby ona miała z tym cokolwiek wspólnego.

- Opowiedz - powiedział Grijpstra.

De Gier opowiedział.

- Czy to wszystko? - spytał Grijpstra.

De Gier uśmiechnął się szeroko.

- Od razu wiedziałem - powiedział Grijpstra.

De Gier uśmiechnął się znowu.

- Dobrze - powiedział Grijpstra - łączę się z tobą w radości, ale ona jednak mogła była to zrobić. Jedne z drzwi w dolnym korytarzu zamykają dostęp do schodów, które prowadzą na najwyższe piętro. Dziewczyny mówią, że pani Verboom miała klucz do tych drzwi. Mogła wpaść na chwilę z Paryża.

- To musimy w poniedziałek zadzwonić do Paryża - powiedział de Gier - ale ja nie sądzę, że to mogła zrobić ona. Mordercy są zdenerwowani, ona nie była wcale zdenerwowana.

- Dokąd jedziesz? - spytał Grijpstra.

- Do Bussum - powiedział de Gier - przecież sam kazałeś.

- To co robimy na szosie do Utrechtu?

- Ach, rzeczywiście - powiedział de Gier. - To w takim razie skęcimy przy Hilversum.

- Dopiero co przejechałeś to skrzyżowanie.

- To ty też w takim razie nie uważasz - powiedział de Gier.

- Nie - potwierdził Grijpstra tym samym głosem, jakim posługiwał się w konwersacjach z żoną - ale koniecznie wróć.

- To o czym ty myślisz? - spytał de Gier.

Grijpstra zsunął się trochę z siedzenia, splótł palce, skierował wzrok przed siebie na nieskończoną autostradę i dafa ze starszą panią przy kierownicy, która od jakiegoś czasu jechała tuż przed nimi, po czym westchnął.

- O lokówkach mojej żony - powiedział Grijpstra - i o tych siedemdziesięciu pięciu tysiącach guldenów. Jeżeli ktoś to naprawdę sprzątnął, to musi mieć teraz dużo pieniędzy, a ludzie, co naraz dostają do rąk dużo pieniędzy, coś z nimi robią. Masz kontakt z biurem dochodzeń. Robią tam coś?

- Robią - powiedział de Gier - robią. Ale to jest za bardzo płynne. Stale są w obrocie ogromne sumy pieniędzy, z trudem zarobionych na lewo. Bary i sekskluby i drogie restauracje są pełne, ale gdzie szukać tych naszych siedemdziesięciu pięciu



tysięcy? Kto wydaje te pieniądze?

- Co robi Van Meteren?

- Nic specjalnego - powiedział de Gier. - Wywiadowca, który go śledzi, dzwonił do mnie dziś rano. Van Meteren zjadł za parę guldenów obiad w taniej jadłodajni na Spuistraat, przeznaczył kilkadziesiąt guldenów na odzież na targu przy Dapperstraat. Koszulkę i dżinsy, a przy tym przekopał się handlarzowi przez cały kram. Pali skręty, a wieczorem wypił dwa piwa w knajpce na Singlu, ale jedno z nich zafundował mu jakiś pijaczyna, który koło niego siedział.

- Co robi dzisiaj? - zapytał Grijpstra.

De Gier wyprzedził nareszcie dafa ze starszą panią i Grijpstra poczuł się nieco pogodniej.

- Dziś jeździ na swoim harleyu po polderze Flevo. przynajmniej tak powiedział barmanowi w tamtej knajpie na Singlu. Wywiadowca ma tam się za nim kręcić, ale na polderze nie będzie mu łatwo. Van Meteren pewnie już wczoraj zauważył, że jest śledzony. Nie posuwamy się do przodu.

- To samo powiedział nadinspektor - zakomunikował z rezygnacją Grijpstra.

De Gier zauważył nareszcie drogowskaz „Bussum” i przerzucił bieg, żeby wziąć zakręt.

- Marnujemy swój czas i nie tylko swój.

- Dla policji to nic wyjątkowego - powiedział Grijpstra

- a teraz uważaj.

Ale sanatorium nie dało się zauważyć z krętej drogi przez Bussum i po bezowocnym wypytywaniu zmieszanych przechodniów postanowili udać się do biura policji, żeby dowiedzieć się o drogę.

Sanatorium, składało się z kilku gmachów, otoczonych wielkim parkiem i Grijpstra odczytywał informacje, umieszczone na tabliczkach na każdym skrzyżowaniu.

- Stary gmach - czytał, a potem - nowy gmach.

- A co to jest?

- Nowy - powiedział de Gier. Ale tu nikogo nie było.

Drzwi starego gmachu były zamknięte na klucz. W końcu

znaleźli kuchnię, a w niej kucharza. Kucharz o niczym nie wiedział. Potrwało kwadrans, nim znaleźli kogoś, kto coś wiedział. Ale dziewczyna powiedziała, żeby przyszedli po południu, w godzinach odwiedzin. De Gier pokazał legitymację. Nie pomogło. Teraz nie ma wizyt. De Gier spróbował kawalerskich sposobów, Grijpstra ojcowskich. W końcu przyszła starsza kobieta, która zaprowadziła ich do dyrektorki, lekarza psychiatry.

Siedzieli w gabinecie, który mógłby służyć za biuro notariusza, z drewnianym sekretarzykiem rzeźbionym na rogach w lwie głowy, regałami pełnymi podstawowych dzieł, kryształową wazą, do której ktoś wcisnął zbyt gruby bukiet kwiatów, i dusznym powietrzem, które od razu zaciążyło w płucach policjantów. Lekarka była kobietą po pięćdziesiątce, w sukience, która wyglądała, jakby była z juty i w okularach, wiszących na srebrnym łańcuszku u szyi.

Lekarka też o niczym nie wiedziała.

- Pani Verboom jest tutaj nowa. Spała dopiero jedną noc.
- Proszę zawołać siostrę salową - powiedział Grijpstra.
- Może pani Verboom coś powiedziała. Ktoś został zamordowany, wie pani, i możliwe, że ona coś wie.
- Aha - powiedziała lekarka i wnet przyszła salowa.

Czy pani coś powiedziała.

Pani dużo mówiła. Piszcziała i darła się, tupiała i płakała.

- Dlaczego? - zapytał de Gier.
- Bo wszystko jej odebraliśmy i zamknęliśmy ją w sypialni, w której nie można otworzyć okna ani drzwi.
- Czy jest taka niebezpieczna? - zapytał Grijpstra.
- Pani jest na obserwacji - powiedziała siostra. Lekarka skinęła. - Tak się zawsze robi.
- Ach, tak - powiedział Grijpstra i spojrzał na de Giera. Wyglądało to na pozbawienie wolności, ale teraz byli w innym świecie. W świecie wariatów przestępstwa nie są przestępstwami. Co za wspaniały świat, pomyślał przez chwilę, ale wnet się opamiętał.

- Czy wspomniała imię „Piet”, pani doktor?

Lekarka spojrzała na siostrę.

- Piet - powtórzyła siostra. - Tak. To jej syn. Krzyczała, że to na pewno nowy numer Pieta. I dużo przeklinała.

I potem śmiała się, ale niedługo, bo daliśmy jej zastrzyk, i potem usnęła.

- Czy już nie śpi? - spytał Grijpstra.

Salowa poszła sprawdzić i wróciła z wiadomością, że pani obudziła się i rzuciła o ścianę jajkiem.

- Czy mógłbym się z nią przejść po parku? - spytał de Gier.

Lekarka patrzyła na niego niezdecydowanie.

- Da pan radę się z nią dogadać?

- Mój kolega potrafi rozmawiać z kobietami - powiedział Grijpstra i zarechotał. Jego śmiech przeszedł prędko w stłumione przekleństwo, bo de Gier poczęstował go błyskawicznie kopniakiem w goleń.

Lekarka zaczęła się śmiać.

- W razie czego zaraz j\$ przyprowadzę z powrotem - powiedział de Gier - ale chciałbym z nią spokojnie i w cztery oczy porozmawiać.

- Czy sądzi pani, że ona mogła zamroczyć i powiesić syna? - spytał Grijpstra lekarkę.

Ta znowu spojrzała na siostrę.

- To możliwe - powiedziała salowa - jest agresywna i silna. Musiałam do pomocy wołać pielęgniarkę, żeby ją położyć do łóżka, a i to dostał od niej krzesłem.

- To możliwe - powiedziała lekarka.

De Gier podniósł brwi.

- Ale to przecież nie konieczne - powiedział — jest agresywna i silna, ale to nie powód, żeby miała mordować syna. Siedzi tu w domu wariatów, o, przepraszam...

Lekarka spojrzała na niego przyjaźnie.

- Niech pan kontynuuje, panie de Gier - powiedziała.

- A w domu wariatów myśli sobie, że jej wszystko wolno, ale w domu na Haarlemmer Houttuinen mieszkała między zwyczajnymi ludźmi.

- Szaleńcy mają słabe hamulce - powiedziała lekarka. - Pan by się parę razy zastanowił, zanimby pan kogoś zamordował. Szalony nie zastanawia się w ogóle: jeżeli mu się nadarza

okazja, robi to. Nie oglądałam jeszcze tej pani' ale jeżeli atakuje pielęgniarza krzesłem i ciska jajkami o ścianę, to może również popełnić morderstwo. Co ma do stracenia?

- Wolność - powiedział Grijpstra.

De Gier wstał. - Wolność? Jakąż ona miała wolność w domu? Van Meteren opowiadał, że Piet trzymał swoją matkę w miarę możliwości w pokoju, nie wolno było jej chodzić do restauracji ani do baru, nie mogła wychodzić na ulicę, z nikim nie mogła rozmawiać. Piet albo Van Meteren zanosili jej jedzenie na górę. Mogła tylko siedzieć w swoim pokoju i wyglądać przez okno.

Spojrzał na lekarkę.

- Czy pozwoli pani, że pójde z nią teraz do parku?

- Proszę, ale nie na długo - powiedziała lekarka - i jeżeli zaczną się jakieś kłopoty, proszę ją natychmiast odprowadzić.

- Cześć, Miesje - powiedział de Gier.

Stara dama spojrzała na niego bystro.

- Kim ty jesteś? - zapytała napastliwie.

- Przyjacielem Jana Van Meterena - powiedział de Gier.

Twarz pani Verboom złagodniała.

- Ach, tak - powiedziała - teraz sobie przypominam. Też jesteś w policji drogowej i hałasowaliście wtedy wieczorem. Po co przyszedłeś?

- Przyszedłem z tobą pospacerować po parku, Miesje - powiedział de Gier i uśmiechnął się przyjaźnie. - Jest taka ładna pogoda. Pójdziemy?

- W nocy była burza - powiedziała pani Verboom - okno kołatało, na pewno jest paskudnie na dworze.

- Skądże znowu - powiedział de Gier - chodź, zobaczysz. No chodź. - Podał jej zapraszająco ramię.

- A widzisz - powiedziały pani Verboom chwilę później

- jest paskudnie. Wszędzie leżą gałęzie. Co za spustoszenie.

- Spodobało jej się to słowo i powtórzyła je jeszcze raz.

- Co za spustoszenie!

- No, nie narzekaj - powiedział de Gier - mnie się tu strasznie podoba. Zobacz, tam siedzi drozd. Słyszysz, jak śpiewa?

Pani Verboom spojrzała wrogo we wskazanym kierunku.

- Hałasnik - powiedziała zła. - Piet trzymał gołębie. Cały boży dzień gruchu, gruchu. aż uszy bolały, a ja nie mogłam niczym w nie rzucać.

- Ale Piet przecież dobrze się tobą opiekował - powiedział de Gier.

- Łajdak - powiedziała pani Verboom - od maleńkości. W szkole niegrzeczny, w domu łobuz. Cały ojciec, tylko że ojciec uciekł i zostawił mnie samą z dzieckiem. Chciałam zostać aktorką, ale dziecko zawsze warowało przy mnie, tyle razy mu mówiłam, żeby gdzieś poszedł, ale nigdy mnie na krok nie odstąpił.

De Gier szedł w milczeniu obok niej i trzymał ją pod rękę.

- Przyjechałeś mnie zabrać? - spytała pani Verboom. - Tu jest nieciekawie. Przy stole siedzę z jakąś starą babą, która robi w majtki, a czasem wymiotuje. Ja nie mogę wtedy jeść.

Tfu, pomyślał de Gier.

- Przyjechałeś mnie zabrać?

- Nie - powiedział de Gier - twój syn nie żyje i nie możesz tam wrócić, dom jest pusty.

- Właśnie - powiedziała pani Verboom z zadowoleniem - nie żyje i koniec.

- Dlaczego go właściwie zabiłaś? - spytał de Gier.

Pani Verboom puściła go i przystanęła. De Gier odwrócił się. Patrzyła na niego z napastliwym błyskiem w oczach. Przeniknął go dreszcz. Tak musiały wyglądać średniowieczne czarownice, stare baby o cienkich kosmykach siwych włosów, nagle pojawiające się na polanie w lesie. Wrona, która przelatowała z jednego drzewa na drugie, zakrakała przeraźliwie, uzupełniając stosownie ten obrazek.

- Zatrząsałeś się - powiedziała pani Verboom - coś cię podrażniło? Pewnie też nie masz piątej klepki, co? Tutaj wszyscy są wariatami.

Minęła właściwa chwila. Próbował jeszcze parę razy, ale pani Verboom nie chciała nic powiedzieć o synu. Skarżyła się na ptaki, bałagan w parku i zimny wiatr.

- Chcę wracać - powiedziała naraz. - Zabłądzimy tutaj. I pewnie już podają kawę.

- Już wracamy — powiedział de Gier.

- Powiedziała coś? - zapytała dyrektorka.

De Gier spojrział na nią bez wyrazu. Lekarka miała na sobie zakiet. Pewnie lesbijka - pomyślał de Gier, kobiety w takich zakiecikach zawsze są lesbijkami. Dlatego ma też taki niski głos. Nie te hormony. Siedzi tu, żeby się wyżywać swoją władzą, każdy musi robić, co ona każe. Jak ona powie, że jesteś wariat, to resztę życia przesiedzisz tutaj i będzie mogła robić z tobą, co jej się spodoba.

- Nie, proszę pani - powiedział uprzejmie - nie cierpi swojego syna i cieszy się, że umarł, ale nie chce powiedzieć, że to zrobiła.

- Pewnie, że nie - powiedziała lekarka - dzieci, które wykradają pierniki z puszki, też się nigdy nie chcą przyznać. Całe napięcie przez to przepada.

- Gdyby pani coś zauważyła, proszę do mnie zadzwonić

- powiedział Grijpstra wstając. - Zostawiam pani wizytówkę.

Lekarka odsunęła szufladę biurka, wrzuciła tam wizytówkę nie przeczytawszy jej i zdecydowanym ruchem zatrzaskała szufladę z powrotem.

- Nigdy nie wariuj - powiedział Grijpstra, kiedy z trudem szukali wyjścia.

- Postaram się - powiedział de Gier.

Po dwóch godzinach byli z powrotem na placyku Biura Głównego. De Gier popedałował do domu i natychmiast zatelefonował do Constanze.

- Poszła na spacer z Yvette - powiedział jej ojciec.

- Zadzwoń później - powiedział de Gier.

- O nic się nie martw, chłopcze - powiedział ojciec - ona do ciebie zadzwoni, jak tylko wróci. Zarezerwuj sobie wieczór.

- Niebiosa są dobre - powiedział de Gier do Oliviera, odłożywszy słuchawkę. - A ty nie ssij ogona, bo pójdziesz do Bussum.

Olivier puścił ogon. Wycmokał ładny wilgotny czubeczek.

## 9

- Czasami - powiedział de Gier, stojąc obok Grijpstry w wiecznie ruchomej, pudełkowej windzie Biura Głównego - odnoszę wrażenie, że nadinspektor nie lubi przestępstw.

Grijpstra nie odpowiedział. Czekał na odpowiedni moment, żeby wyskoczyć z paternostra i zastanawiał się, dlaczego magistrat kazał zainstalować w ich biurze taki śmieszny środek transportu. Przecież istnieją prawdziwe windy, myślał zdesperowany Grijpstra, przecież nie jesteśmy wiewiórkami. Prawdziwa winda z rozsuwanymi drzwiami, czy to jest wygórowane żądanie?

- Dlaczego nie mamy prawdziwej windy? - spytał de Giera.

- Ponieważ jesteśmy urzędnikami państwowymi - odpowiedział de Gier. - Zwyczajni ludzie używają wind, które idą w górę albo w dół. Ale urzędnicy nie jeżdżą albo w górę, albo w dół, tylko kręcą się w kółko, wiecznym falistym ruchem, aż nadejdzie emerytura. Urzędnicy nigdy nie posuwają się rzeczywiście do przodu, i nigdy też naprawdę nie cofają.

- Co za niesamowite przerośnię - powiedział Grijpstra.

- To nie zadawaj głupich pytań tak wcześnie rano - odparł de Gier - ale czy słyszałeś, co przed chwilą powiedziałem?

- No pewnie - powiedział Grijpstra, który właśnie zaryzykował skok i szedł teraz obok de Giera długim korytarzem - nadinspektor nie lubi przestępstw. Na początku to miało być koniecznie samobójstwo, a teraz jest gotów zaakceptować morderstwo, jeżeli sprawca będzie niepoczytalny. Nadinspektor to człowieczek, który lubi iść na łatwiznę; jeżeli zrobiła to pani Verboom, sprawa jest załatwiona, bo ona i tak już siedzi w zakładzie, a wtedy nie ma aresztowania, nie ma oddania do dyspozycji prokuratora, nie ma procesu, nie ma szarpaniny.

- Ale ona tego nie zrobiła - stwierdził de Gier.

- Nie usłyszałem, żebyś to powiedział nadinspektorowi

- odparł Grijpstra.

- Nie - powiedział zgorszony de Gier. - Ty też zawsze mówisz

tylko: „tak jest, panie inspektorze”, „oczywiście, panie inspektorze”. Biorę z ciebie przykład.

- Bardzo słusznie - pochwalił go Grijpstra i skręcił do kantyny, gdzie zapraszająco przystanął koło automatu z kawą i czekał, aż de Gier wrzuci ćwierć guldenówkę.

- Wiesz co? - powiedział Grijpstra - czasem się zastanawiam, co ten stary dziwak by zrobił, gdybyśmy pewnego razu przyznali mu rację i napisali jakąś taką historyjkę, a potem zamknęli sprawę bez żadnego śledztwa.

- Nie przyjąłby tego - powiedział de Gier.

Grijpstra roześmiał się.

- Jak tak dalej pójdzie, to bez kończenia akademii awansujesz na oficera.

De Gier patrzył przed siebie zadowolony;

Grijpstra spojrział na niego ironicznie. - Nie masz się co szczerzyć, kolego, oficer z awansu musi się w każdej chwili sprawdzać. Ambicją daleko nie zajedziesz.

- To okropne - powiedział de Gier. - Może jeszcze buteleczkę coli?

Grijpstra pokręcił wielką głową i razem ruszyli swoją drogą przez długi szary korytarz.

- W wesołe życie - powiedział de Gier na placyku i włączył radiotelefon w jedynym wolnym volkswagenie, zwykłym białym radiowozie, wyposażonym w światło błyskowe i syrenę; ich samochód cywilny był w przeglądzie.

- Chcesz się zgłosić? - zapytał Grijpstra.

- Czemu nie? To, co robimy, nie jest ani pilne, ani ciekawe. Może gdzieś nas poślą, cała ta sprawa zaczyna mnie zresztą potężnie nudzić. Lepiej poczekajmy, aż wstąpi w nią nowe życie.

- Nie narzekaj na brak życia - upomniał go Grijpstra - twoją przyjaciółkę Constanze też trzeba liczyć. Słyszałeś, co powiedział jej szef w Paryżu. W dniu śmierci Pieta nie było jej w pracy. Była chora i siedziała w domu.

- Wieczorem przesłucham ją szczegółowo - obiecał de Gier.

Grijpstra spoglądał zatroskany.

- Tamto spotkanie z Constanze to nie był mój pomysł -



powiedział de Gier.

- Wiem - przyznał Grijpstra - ale pozwolisz, że ja ją przesłucham. Ty się za bardzo rozpraszasz.

De Gier wziął do ręki mikrofon i zgłosił się. Głęboki, nieco ochryply głos kobiety powtórzył numer ich samochodu.

- To Sientje - powiedział Grijpstra - ładny głos, co? Mam nadzieję, że jej nigdy nie spotkam.

- Taka nieciekawa? - spytał zdziwiony de Gier.

- Znam ją tylko z głosu - powiedział Grijpstra - a ludzie mówią, że ma na imię Sientje. Jeżeli ją spotkam, mogę tylko narazić na szwank swoje złudzenia.

- No tak - zgodził się de Gier - nie robisz się ładniejszy.

Grijpstra nic nie powiedział i pomachał portierowi, który zamknął za nim bramę i trochę kulejąc wrócił do swojej budki.

- Wiesz, dlaczego on kuleje? - zapytał de Giera.

- Każdy to wie. Był w konnej policji i służył równo jeden dzień. Postrzelili go w nogę.

- Tak - potwierdził Grijpstra - a ten facet, co to zrobił, już dziesięć lat jest z powrotem na wolności. A jak się spotka z tym policjantem, to idą razem na piwo.

- To już zmyślasz.

- Wcale nie - zaprzeczył Grijpstra - ile razy spotykałem ich razem w Pieperze, kiedyś, jak to była jeszcze cicha kafejka, gdzie można spokojnie było pograć w bilard.

- I pewnie oni też razem grali? Jak starzy kumple?

- A co? - powiedział Grijpstra - dlaczego nie? Jesteś jeszcze za młody. Za bardzo się przejmujesz, już ci to nieraz mówiłem.

- Może mi to przejdzie - wyraził nadzieję de Gier.

Z radia rozległ się głos Sientje, która wywołała ich numer.

Odpowiedział Grijpstra.

- Gdzie jesteście? - spytała Sientje.

- Na Singlu, przy Jeroenensteeg.

- Pięknie - powiedziała Sientje - właśnie tam mi jesteście potrzebni. Jedźcie na róg Brouwergracht-Singel, w jednym ze statków mieszkalnych po północnej stronie leży ciało dziewczyny. Nie wiem, jaki numer, ale powinniście znaleźć.

- Jedziemy - powiedział Grijpstra.

- Z syreną? - zapytał de Gier.

- Pewnie, kawał czasu nie słyszałem syreny. Może morderca czeka koło trupa, jak ostatnio przy tej kurwie.

De Gier promieniał. Przez te wszystkie lata, kiedy był kierowcą policyjnego samochodu, syrena nie przestała być dla niego wielkim przeżyciem. Grijpstra patrzył na kolegę. De Gier siedział wyprężony, z szeroko rozwartymi oczami, wysuniętą bojowo szczęką; nad nimi błyskało światło obrotowe, a wokół nich wylał wniebogłosy syrena.

Dowódca czołgu - pomyślał Grijpstra rozbawiony, kapitan na mostku okrętu wojennego, pilot myśliwca rwący do ataku. A chłopczyna siedzi w starym pudle, uzbrojony w pukawkę, która z ledwością doniesie na dwadzieścia pięć metrów.

Volkswagen przejechał przez dwa czerwone światła, samochody zjeżdżały posłusznie na bok i zatrzymywały się. Na Brouwersgracht już było zbiegowisko, jakieś trzydzieści osób stłoczonych obok siebie, pokazujących na coś i mamroczących. Policjanci utorowali sobie drogę do statku, odrapanego grata, niedbałej drewnianej nadbudówki na dolnej części wycofanego z obiegu frachtowca śródlądowego, wraku, który już dawno powinien się znaleźć na cmentarzysku statków na Iju.

Młody człowiek z długimi tłustymi włosami, ubrany w dżinsy z dziurą na kolanie i w brudną koszulę, stał zdezorientowany na trapie.

- Czy to jest pańska łódź? - zapytał de Gier.

Młody człowiek przytaknął. Pokazał bez słowa wejście do środka, de Gier schylił się i zajrzał do wąskiego, podłużnego wnętrza nadbudówki. Zanieczyszczona wykładzina na podłodze, parafinowa kuchenka z garnkiem jedzenia i czajnikiem, sterta łachmanów na podłodze. Małe okna przepuszczały niewiele powietrza i de Gier zapalił swoją latarkę.

Dziewczyna nie miała więcej niż dziewiętnaście lat, może nawet była młodsza, leżała na plecach na barłogu z otwartymi ustami i oczami wbitymi w spróchniałe deski sufitu.

- Możemy na chwilę? - zapytał jakiś głos.

Pielęgniarze z Miejskiej Służby Zdrowia weszli do środka.

Pierwszy pielęgniarz obejrzał dziewczynę.

- Nie żyje - powiedział. - Zadławiła się swoimi wymiocinami. Dopiero co. Gdyby ten palant obrócił ją na brzuch, może by żyła, ale nie zrobił tego, bo był za bardzo zajęty. Niech pan zobaczy, spodnie musiał jej wciągnąć w ostatniej chwili, nie zdążył nawet zapiąć guzika.

Do swojego kolegi powiedział: - Nosze.

De Gier był z powrotem na dworze. Zrobiło mu się niedobrze i oparł się o drzewo. Grijpstra stał koło niego.

- Taki z ciebie policjant, że się łamiesz po czymś takim?

- A ty nie? - spytał de Gier, który z trudem wydobywał słowa z wyschniętego gardła.

- Ja też - powiedział Grijpstra - ja też się łamię. To potworne. Widziałeś jej ręce?

De Gier uniósł wzrok. Widział jej ręce, dwie chude rączyny pełne śladów ukłuć. Widział też strzykawkę.

Pielęgniarze przeszli obok nich, manewrując noszami.

- No, do pracy - powiedział Grijpstra i wszedł do środka, kiwając na chłopaka, żeby wszedł za nim.

Okazało się, że spotkał dziewczynę tego dnia na De Dam i powiedział jej, żeby poszła z nim. Dziewczyna była otepiała i nie odpowiadała, a wtedy wziął ją za rękę. Po drodze powiedziała mu, że ma na imię Maria. Na łodzi dał jej zastrzyk i poszedł z nią do łóżka.

Rozmowa nie przyniosła więcej faktów. Chłopak udzielał tylko niezbędnych odpowiedzi. Podczas przesłuchania stale sikał nosem i kichał.

De Gier zanotował personalia. Najstarszy syn lekarza z prowincji. Beznadziejnie uzależniony od heroiny. Student socjologii.

Grijpstra przeszukał łódź, nigdzie śladu książki, kawałka papieru, czy nawet ołówka.

- Czy ty w ogóle zacząłeś studiować? - zapytał.

- Tak - powiedział chłopak - zdałem egzamin kandydacki, ale

potem już nic nie mogłem zrobić.

Wskazał na strzykawkę, leżącą na podłodze.

- Ta strzykawka człowieka pochłania.

- Idziemy - powiedział de Gier.

Sprawa zabrała im resztę dnia. Sekcja trupa dziewczyny wykazała, że była ona niedożywiona i całkowicie wycieńczona. Resztę już wiedzieli, dostała zastrzyk heroiny i miała stosunek. Na zawartość torebki składała się paczuszka tytoniu, paczuszka bibulek i brudna chusteczka. Żadnego nazwiska.

- Dowiemy się - powiedział Grijpstra - damy zdjęcie do gazety i potem zaraz zadzwoni jakaś zapłakana matka.

Młody człowiek został wypuszczony i wyszedł sennie na ulicę, mrużąc oczy od ostrego światła. De Gier i Grijpstra stali przy oknie i widzieli, jak przekraczał jezdnię. Dwa samochody musiały przed nim nagle zahamować.

- Żadne przestępstwo - stwierdził de Gier.

- Nie - powiedział Grijpstra i kopnął stalowe biurko.

- Żalotne - wycedził nagle. - Niewiarygodne.

- Co? - zapytał zmęczony de Gier.

- Co? - krzyknął Grijpstra. - Jak to co, nasze prawodawstwo. Ty wiesz i ja wiem, kto handluje narkotykami.

Dlaczego nie powystrzelają tych łobuzów? Albo nie powieszają? Nie - jak któregoś złapiemy, to śmieje się nam w twarz i za parę tygodni macha ci rączką na ulicy.

- Ustawa opiumowa - powiedział de Gier.

- Kpina a nie ustawa - odparł Grijpstra - przez nią zrobiło się jeszcze gorzej.

De Gier zerwał się na równe nogi. - Daj spokój, Grijpstra. Nie jesteśmy prawodawcami. Jeśli chcemy narzekać, możemy narzekać. Wszystko jest do niczego. Wszystko to jeden wielki burdel. Wiem o tym. Ale my jesteśmy od utrzymania porządku, istniejącego porządku, nie porządku, który byśmy sobie sami wymyślili.

Grijpstra usiadł i przysunął krzesło do perkusji.

- To już lepsze - powiedział de Gier, wyciągając flet z wewnętrznej kieszeni.

Grijpstra wziął pałeczkę i trącił nią bęben, lekko uderzył w talerze, a de Gier zawtórował mu trylem.

- Któregoś pięknego dnia zabiorą tę perkusję - powiedział - ciesz się nią, póki możesz.

- To sobie kupię nową - powiedział Grijpstra, wstał i wyszedł.

De Gier patrzył na niego rozczulony. Dobry chłopak z tego Grijpstry. Pięćdziesiąt lat, niezbyt szczęśliwie żonaty. Trochę zgorzkniały, ale solidny, można na nim polegać, jeden pierścień w kręgosłupie Królestwa Niderlandów. Co nim powodowało? Poczucie obowiązku?

Może być - pomyślał de Gier. A co powodowało nim, de Gierem? Nie poczucie obowiązku. Królestwo Niderlandów nic dla niego nie znaczyło, zasypane bagno u zachodnich rubieży kontynentu europejskiego - więcej nic sobie nie mógł z tym skojarzyć. Portrety królowej ani rusz nie mogły go wzruszyć, flaga też nie, a gdy grany był „Wilhelmus”, robiło mu się tylko niezręcznie.

Służenie obywatelom? Czyżby to było to?

Też nie.

Przygoda?

Tak, pomyślał de Gier. Chyba przygoda. Myśl, że każdego dnia coś się może wydarzyć, ale na dłuższą metę nie zdoła go to utrzymać w napięciu, do wszystkiego można przywyknąć.

De Gier przypomniał sobie młodego policjanta, którego znaleziono martwego gdzieś na ugorze, z potylicą roztrzaskaną przez kulę, która weszła ustami. Ten kolega był cichym inteligentnym mężczyzną, nie był żonaty. Miał nawet tak samo jak de Gier kota, którego znaleźli otrutego w jego mieszkaniu.

Poza tym nie było w nim nic szczególnego, dobry policjant, ogólnie ceniony, wachmistrz, który na pewno zostałby niedługo sierżantem, a może nawet inspektorem, bo przygotowywał się do egzaminu państwowego. De Gier początkowo myślał, że tamten bał się, że nie zda egzaminu, ale okazało się to nieprawdą, miał na kursie dobre stopnie.

Niczego w rodzaju nieszczęśliwej miłości.

Ale przecież leżał tam, na mokrej ziemi. Paru małych

chłopców znalazło go, a dyżurny posłał de Giera i Grijpstrę na miejsce.

Miesiącami śnił mu się ten trup, ale i to przeszło.

Co powodowało de Gierem? Może cenił sobie osobliwość, sprzeczności, na jakie natykał się każdego dnia? Musiał przyznać, że uważał życie za piękne, nie dobre, raczej złe. Bezsensowne, ale piękne. I dopóki uważał je za piękne, nie skończy gdzieś w błocie pod płotem, między zapomnianymi starymi koparkami przedsiębiorstwa komunalnego.

Grijpstra był z powrotem.

- Idziesz ze mną? Pójdę jeszcze raz rozejrzeć się u Johana i Eduarda na tej ich łodzi.

- Stale szukasz tych siedemdziesięciu pięciu tysięcy - zapytał de Gier.

- Pomału zaczynam szukać wszystkiego - powiedział Grijpstra.

Dwadzieścia minut później lawirowali volkswagenem na wąziutkiej jezdni nad kanałem, gdzie stała łódź mieszkalna. De Gier zapukał do drzwi. Otworzył Eduard.

- Znowu panowie przyszli? - zapytał Eduard. - Czy śledztwo trochę się posunęło do przodu?

- Pracujemy - powiedział Grijpstra - czy możemy wejść?

- Ależ oczywiście - powiedział Eduard.

Wnętrze wyglądało zadbane. Rodzina była w komplecie. Gruba Annetje nakrywała do kolacji. Therese coś haftowała, a Johan, sama niewinność, czytał „De Telegraaf”.

- Myślałem, że pojechałaś do rodziców - powiedział de Gier do Therese.

- Już byłam - odparła - ale dużo czasu spędzam tutaj, tu jest przyjemniej.

- Wszyscy czworo dostaliśmy pracę - powiedziała zadowolona Annetje. - W biurze pośrednictwa, fajna praca. Nawijamy wełnę na kartony w fabryce kompletów do robótek. Nie trzeba przy tym myśleć, nie jest męcząca, a jeszcze puszczają nam płyty.

Eduard nalał kawy i policjanci usiedli na jedynych krzesłach w pomieszczeniu i grzecznie mieszały ją łyżeczkami. Młodzież

rozsiadła się malowniczo na poduszkach.

- Tobie też się ta praca podoba? - zapytał Grijpstra Eduarda.

- Nie - odparł Eduard - ale znajdę coś lepszego. Fakt faktem, zarabiamy prawdziwe pieniądze, a to jest coś nowego.

- Tak - powiedziała Therese - lepsze to, niż te idealistyczne dwadzieścia pięć guldenów tygodniowo u Pieta. I jem kanapki z kielbasą, proszę.

Podsunała Grijpstrze kanapkę.

- A dokładnie to gdzie pracujecie?

Therese spojrzała na niego przestraszona.

- Chyba nie będzie pan tam chodził o nas pytać? To jest praca dorywcza, w każdej chwili mogą nas odesłać.

- Nie, nie - zaprzeczył Grijpstra - ale możecie jakoś udowodnić, że tam pracujecie?

- Niech pan przyjdzie jutro rano - powiedział Johan - zaraz dam panu adres. Powie pan, że jest pan naszym wujkiem. Niech pan przyjdzie koło wpół do pierwszej, bo i tak mamy wtedy przerwę na lunch.

Grijpstra zanotował adres.

- Tak zrobię.

- I zabieg też mam załatwiony - powiedziała Therese. - Mam wizytę w przyszłym tygodniu.

- Gratuluję - powiedział de Gier.

- Naprawdę?

- Dlaczego miałbym inaczej uważać? - zapytał de Gier.

- Jeżeli nie chcesz tego dziecka, lepiej, żeby się nie urodziło.

- Nie chcę go mieć - powiedziała Therese i zaczęła płakać.

- No, cicho - powiedziała Annetje.

Grijpstra wstał i wyjrzał przez okno.

- Przepraszam was, nie chciałem jej doprowadzić do płaczu - powiedział de Gier.

- W porządku - powiedział Eduard - dzielny z pana policjant.

Therese z powrotem się uśmiechnęła.

- Czy wszystkim wam przeszła ta wiara? - zapytał Grijpstra Johana.

Johan przyjął papierosa, którego wraz z ogniem zaproponował mu de Gier.

- Niezupełnie - powiedział Johan — coś mi jednak zostało. W tej głupiej Pietowej kuchni harowałem w pocie czoła, nic co prawda nie zarabiałem, ale to mnie nauczyło trochę dyscypliny. Ten statek był kompletnym wrakiem, jak go dostaliśmy, a teraz da się tu mieszkać. Kiedyś by mnie nie było stać na coś takiego, leżałbym w kącie z puszką piwa, którą jeszcze po opróżnieniu wrzuciłbym do kanału. A Piet niewiele mógł poradzić na to, że był taką kreaturą, on też musiał jakoś sobie radzić w życiu.

Grijpstra z powrotem usiadł.

- Znaleźliśmy na podłodze w piwnicy fundacji haszysz. Wiecie coś o tym?

Eduard wstał i podrapał się po plecach.

- Dużo? - zapytał.

- Nie - odpowiedział de Gier - parę kawałeczków.

- To może moje - powiedział Eduard. - Czasem tam paliłem, mogłem trochę upuścić, ale to nie jest tani towar i raczej uważałem. Piet palił regularnie, ale tylko wieczorami i, o ile wiem, nie w piwnicy. Robił to, kiedy już wszystko było nieczynne, szedł do swojego pokoju i urządzał seans, czasem nas zapraszał. Słuchaliśmy muzyki i trochę leżeliśmy na podłodze.

- Podłóg jego żony miał pełne puszki haszyszu, ale ich nie znaleźliśmy.

- To dziwne - powiedział Eduard - bo on rzeczywiście je miał. Takie staroświeckie puszki po biskwitach. Wchodziło do -nich po parę kilo. Gdzie one są?

- Właśnie to chcielibyśmy wiedzieć - powiedział Grijpstra.

- A, teraz rozumiem - powiedział Johan. - Pan myśli, że my je zabraliśmy, sprzedaliśmy towar i teraz żyjemy za te pieniądze, dlatego to dowiadywanie się, czy mamy pracę.

Grijpstra nic nie powiedział.

- No więc nic nie mamy w domu - powiedział Johan - ani grama. Ja nigdy tego naprawdę nie potrzebowałem.

- Czy chcą panowie przeszukać statek? - zapytała Annetje.

- Jeśli można - powiedział de Gier.

- Proszę bardzo.



Policjanci skończyli przez dwie minuty.

- Czy może kiedyś zauważyliście, żeby Piet handlował narkotykami?

Zapadła cisza.

- Tak - powiedziała Therese - ale tylko przypuszczaliśmy. Parę miesięcy temu o tym zaczął. Zawsze miał nowe pomysły. Przeważnie kiedy przeczytał jakąś książkę, postanawiał wszystko inaczej zorganizować.

- Tak - potwierdził Johan - to była ta historia z Wodnikiem. Wkraczamy w epokę Wodnika a Wodnik to znak wielkiej miłości, braterstwa.

- My - to znaczy kto? - zapytał de Gier.

- Wszyscy - powiedział Johan. - Ziemia wkracza w ten nowy znak, to jest związane ze znakami zodiaku. Co dwa tysiące lat Ziemia dostaje się pod wpływ nowego znaku i teraz to jest Wodnik. Ale to jest dla nas niełatwe, bo wszyscy przywykliśmy żyć tylko dla siebie samych, jesteśmy egocentryczni, zamknięci w sobie, ale kiedy zażywa się narkotyki, burzy się ściany wokół siebie, człowiek uwalnia się, i wtedy widzi, że „ty” to ja i że należymy do siebie. To coś takiego.

- I dlatego trzeba zdrowo palić, wachać, wstrzykiwać - powiedział de Gier.

Johan przytaknął. - Tak myślał Piet. Ale my nie bardzo w to wierzyliśmy. Zapalić skręta z trawki, to nic straszego, ale twardy towar człowieka nie uwalnia. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak człowiek może stać się wolny popadając w jakiś nałóg. I nie ufałem Piętowi. Zarabiał na tym hindyźmie kupę forsy, ale podejrzewałem go, że chce zarobić jeszcze więcej, i nie dla dobra fundacji ani dla nas. Piet był kupcem, który nie chce się przyznać, że jest kupcem, i do tego potrzebne mu były pomysły.

- My i tak byśmy od niego odeszli - powiedziała Annetje - nawet gdyby żył. Każdy, kto miał z nim do czynienia, po jakimś czasie odchodził. Tylko Van Meteren wytrzymał z nim tak długo, ale on stał z boku.

- Ale nie wiecie na pewno, że handlował narkotykami?

- Nie - powiedział Eduard. - Piet był bardzo skryty. Często

przychodzili do jego pokoju obcy, których nam nie przedstawiał.

- Może ten koncentrat zupy mizo? - powiedziała Therese.

- Tak - powiedział Eduard - to możliwe. W tę zupę mizo nigdy nie wierzyłem. Czy pan wie, co to jest zupa mizo?

- Nie - powiedział de Gier.

- To się robi z koncentratu, takiej pasty, którą Piet importował w beczkach z Japonii. Ale zawsze przychodziło dwadzieścia beczek jednocześnie, czasem kilka razy pod rząd. A nam do restauracji była potrzebna jedna na miesiąc i może jedna na porcje do słoików, które sprzedawaliśmy w sklepie.

- A gdzie się podziewała reszta? - spytał de Gier.

- Sprzedawał.

- Komu?

Eduard pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Kto je taką zupę mizo, może parę tysięcy ludzi w całej Holandii, może dużo mniej.

- A kto zabierał te beczki z fundacji?

- Zawsze ci sami faceci - powiedział Eduard - dwóch takich z furgonetką, droga marka, mercedes. Kiedyś pomagałem ładować i wtedy zobaczyłem, że mieli tam wbudowaną instalację stereofoniczną, to mnie uderzyło.

- Czy oni bywali też w fundacji? - zapytał Grijpstra.

- Przeważnie przychodzili do baru - powiedział Eduard - na piwko. Raz byli w restauracji, ale zamawiali najzwyczajniejsze jedzenie, jakie mieliśmy, czyli to nie byli znawcy, myślę nawet, że im specjalnie nie smakowało.

- Czy byli też tamtego popołudnia? W dniu śmierci Pieta?

- Tak - powiedział raptem Johan. - byli. Siedzieli w barze.

- Niczego wtedy nie podejrzewałeś? - spytał Grijpstra.

- O rany - powiedział Johan wzruszając ramionami - może bym i coś panom powiedział, ale panowie nie pytali o nic, a po drugie, co będę owijał w bawełnę. Jeżeli to są handlarze, to mogą być niebezpieczni. A wtedy myślałem, że Piet się powiesił. Chciałem jak najprędzej się stamtąd wyrwać. Policja podejrzewa pewnie, że to morderstwo, inaczej nie zajmowalibyście się tym do tej pory.

- Nie wykluczamy tego - powiedział Grijpstra i zapalił papierosa od strony filtra. Zauważył pomyłkę i wyrzucił papierosa przez okno.

- Oj - powiedziała Annetje - tak nie można. Papierosy w kanale to trucizna, ryby od tego giną.

- Przepraszam - powiedział Grijpstra - masz rację. Już nigdy tego nie zrobię. Sam mieszkam przy Lijnbaansgracht i jeszcze dziś rano stałem przy oknie i złościłem się na śmietnik w kanale.

Annetje roześmiała się. - Jaki z pana miły człowiek.

- Takich też mamy w policji - powiedział de Gier. - Dziękujemy państwu za gościnę. Może kiedyś jeszcze zajrzemy, jeżeli pozwolicie.

Eduard odprowadził policjantów do drzwi.

Przy samochodzie obejrżeli się.

Eduard pomachał ręką, de Gier odpowiedział mu tym samym.

## 10

De Gier pojechał w niewłaściwym kierunku. Uliczka nad kanałem kończyła się przy mostku, a mostek był ozdobiony czerwoną tabliczką z białym pasem.

- Oho - powiedział Grijpstra - będziesz się musiał wrócić, a tanto towarzystwo jeszcze nie skończyło nam machać. Znów sobie pomachamy.

De Gier wjechał na mostek przejeżdżając przez czerwono-białą tablicę.

- Coś ty - zaniepokoił się Grijpstra.

- Policji wszystko wolno - powiedział de Gier. - Lepiej powiedz, co teraz robimy.

- Postaw gdzieś samochód. Tam widzę kawiarnię. Chcę się czegoś napić.

Kawiarnia była pusta i policjanci stanęli oparci o bar. W lokalu panowała nuda i stary, chudy mężczyzna z za kantoru zagadnął ich o pogodę. Przestał, kiedy nie zareagowali. Obaj funkcjonariusze patrzyli przez niego jak przez szybę.

Po długim milczeniu Grijpstra zamówił drugą szklanke lemoniady. Znowu zapłacił. De Gier chciał coś powiedzieć o tej niespodziewanej hojności Grijpstry, ale nie dokończył zdania. Było gorąco i ubranie kleiło mu się do ciała.

- Nalot - powiedział Grijpstra.

- Co proszę? - zapytał de Gier.

- Zrobić kocioł - uśmiechnął się Grijpstra. - Kawał czasu czegoś takiego nie robiliśmy. Nadinspektor chce, żebyśmy przesłuchali tych dwóch handlarzy, trzeba to było zrobić już dawno temu.

- Ale przecież nie ma potrzeby robić nalotu, żeby ich przesłuchać.

- Może uda się ich od razu aresztować - powiedział Grijpstra.

De Gier wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. Jak do tej pory to są jedyni podejrzani, z którymi rzeczywiście coś jest nie w porządku.

- Musimy mieć inny samochód - powiedział Grijpstra - ten się rzuca w oczy. Masz ich adres?

De Gier zajął do swojego notesu i skinął głową.

- Nawet dwa, Vossiusstraat i Leliegracht.

Grijpstra zrobił niezadowoloną minę. - To komplikuje sprawę. I jeszcze jest jedna możliwość: nie ma ich pod żadnym z tych adresów, a oni sobie leżą na plaży w Hiszpanii. Ale spróbujmy.

Na podwórzu Biura Głównego de Gier odszukał samochód, którego zwykle używali. Kiedy Grijpstra poszedł po posiłki, de Gier sprawdził wyposażenie volkswagena. Samochód był tymczasem używany przez innych, ale wszystko znajdowało się na właściwym miejscu.

Gdy Grijpstra wrócił z dwoma wywiadowcami, zastał de Giera z karabinem w rękach.

- Co ci jest - zapytał Grijpstra - przecież nie ma wojny.

- Nie - powiedział de Gier - naoglądałem się za dużo filmów. Ale karabin to piękna broń, trzeba go co jakiś czas potrzymać w rękach. A tak to tylko leży i leży pod tym siedzeniem.

- Maszynowy zero pięćdziesiąt też jest piękny - powiedział jeden z wywiadowców. — W Indiach dużo miałem z nim do

czynienia. Rębało się wtedy, pamiętacie. A potem prawdziwe nassi goreng. Nie to, co teraz: cały dzień na deszczu łazisz po targowiskach i zaglądasz, czy ktoś nie sprzedaje kradzionego towaru.

- Wojak - powiedział de Gier.

- Ano tak - powiedział wywiadowca - moich kolegów wystrzelali, ja też leżałem kawał czasu w szpitalu z odłamkiem granatu. Holenderskiego granatu, rzecz jasna. Ale to jednak było całkiem inne życie. Nie takie monotonne.

Nasze też bywa pasjonujące - powiedział Grijpstra. - Zaraz może będziesz musiał wspinać się po ścianie tej kamienicy na Vossiusstraat.

- Doskonale - powiedział wywiadowca - hippisi w parku Vondela będą mieli na co popatrzeć. Przez chwilę nie będą musieli dłubać w nosach.

Ale na Vossiusstraat nikt nie było w mieszkaniu i sąsiedzi z góry powiedzieli, że poszukiwany, którego rozpoznali na fotografii, dawno już nie mieszka pod tym adresem.

- To jest zdecydowane wykroczenie - powiedział de Gier. - Nie zgłosił zmiany adresu.

- Ile wynosi grzywna? - spytał Grijpstra - Dziesięć czy piętnaście guldenów?

Nie otrzymał odpowiedzi. Było właściwie za gorąco na żarty.

Na Leliegracht de Gier zaparkował samochód i poszedł sam obejrzeć dom. Wspaniała kamienica, dopiero co odrestaurowana przez Służbę Konserwacji Miasta i doprowadzona do siedemnastowiecznej wspaniałości.

Wróciwszy do samochodu powiedział o swej obserwacji.

- Te kamienice mają na zapleczu ogródki - powiedział Grijpstra. - Może by tak dwóch z nas miało na oku te ogródki?

- Spojrzał pytająco na obu wywiadowców na tylnym siedzeniu.

- W porządku - powiedział mniejszy. - Zaraz zadzwonimy do sąsiadów, żeby nas przepuścili. Ale jak skończycie, to nie zapomnijcie nam powiedzieć, bo będziemy siedzieli do jutra rana, już mi się to kiedyś przytrafiło.

De Gier zadzwonił i zamek natychmiast odskoczył. U szczytu wewnętrznych schodów stał barczysty młody człowiek o

gęstych włosach blond, opadających na ramiona.

- Tak?

- Policja - powiedział de Gier - możemy wejść na chwilę?

- Ma pan nakaz? - zapytał młody człowiek.

- Nie - odparł de Gier - ale mogę go zaraz przynieść, a tymczasem mój kolega będzie stał przy drzwiach.

Młody człowiek zastanowił się przez chwilę.

- Nie - powiedział - nie zrobię tego pańskiemu koledze. Proszę na górę.

W pokoju dziennym Grijpstra rozejrzał się z podziwem. Konserwatorzy znowu się wspaniale postarali. Grube belki z drzewa dębowego, mistrzowska stolarka okien i futryn, cała wytworna atmosfera dawności znowu była tu obecna.

Przedstawił się młodemu człowiekowi i jego przyjacielowi, który do tej pory oglądał telewizję, najnowszy model odbiornika kolorowego, ale w tej chwili wyłączył telewizor i wstał.

- Beuzekom - powiedział młody człowiek o jasnych włosach.

- Ale moje nazwisko panowie chyba znają. A to jest mój przyjaciel Ringma.

- Proszę usiąść - powiedział Ringma i wskazał zapraszająco na kanapę. Ringma był niedużym człowieczkiem o szurzej twarzy, wcześniej łysiejącym, ale z ambitnie długimi włosami, które cienkimi, brzydkimi pasemkami wisiały mu nad uszami.

Grijpstra już siedział i patrzył tęsknie na barek, który zajmował kąt pokoju. Beuzekom stanął za ladą.

- Co ma być?

- Coś chłodzącego - powiedział Grijpstra.

- Lemoniada? Tonik?

- Lemoniada - powiedział Grijpstra.

Beuzekom przekroił na pół dwie cytryny i wyćwiczonym ruchem wycisnął nad siteczkiem. Zadzwończyły kostki lodu, do szklanki włożono srebrne mieszadło. Szklanka powędrowała na tacę.

- Był pan kelnerem? - spytał de Gier.

Beuzekom roześmiał się.

- Widać? Tak, kiedyś sporo pracowałem jako kelner, na

studiach, kiedy musiałem zarabiać na swoje kieszonkowe. Dla pana to samo?

- Proszę - powiedział de Gier.

- Panowie pozwolą, że my napijemy się czegoś mocniejszego?

Beuzekom nalał do dwóch szklanek do połowy drogiej whisky.

- Czystą? - zapytał Ringmę.

- Z lodem - powiedział Ringma.

- A w czym możemy panom pomóc? - spytał Beuzekom. Siedział w obitym welurem krześle z wysokim oparciem i patrzył życzliwie na gości.

- Był pan skazany za handel narkotykami - powiedział Grijpstra - przynajmniej tak słyszałem.

Beuzekom patrzył na niego przyjaźnie.

- Policja jest dobrze poinformowana. Trzy miesiące, z czego jeden w zawieszeniu. Ringma został uniewinniony z powodu braku dowodów. Pilnował przez ten czas domu. Ale to stare dzieje. Już prawie o tym zapomnieliśmy.

- A teraz istnieją poszlaki, że pan znów zajął się haszyszem - powiedział de Gier - haszyszem zapakowanym w beczki, przeznaczone na zupę mizo, a pochodzące z domu przy Haarlemmer Houttuinen numer 5, niegdyś własności świętej pamięci Pieta Verbooma.

Beuzekom skinął głową, łyknął whisky i wzdrygnął się.

- To mój pierwszy łyk dzisiaj - powiedział przepraszająco - zawsze dostaję od tego dreszczy.

W pokoju było cicho. Funkcjonariusze patrzyli na Beuzekoma, a on patrzył na nich. Beuzekom pociągnął jeszcze łyk.

- Pańskie wiadomości są częściowo słuszne. Rzeczywiście nabywałem koncentrat zupy od Pieta Verbooma, bo miał tego za dużo, i myślałem, że uda mi się go zbyć w podobnych restauracjach. Ale mi się nie udało, albo lepiej: jeszcze mi się nie udało. Wszystkie pięć beczek mam dotąd w domu. Chcą panowie je zobaczyć?

Wypchaj się - pomyślał de Gier, który obserwował twarz młodego Ringmy. Była spokojna, ale oczy mu latały.

- Chcę je zobaczyć - powiedział Grijpstra zdecydowanie.  
- Pomóż, Ringma - powiedział Beuzekom i razem wytoczyli pięć beczulek z przedpokoju. Beczulki były zamknięte i okręcone grubym sznurem.

- Mamy je otworzyć?

Grijpstra skinął głową.

- Nie rób tego - zaprotestował Ringma - przecież ich potem nie sprzedamy. Są tak akuratnie zamknięte i ładnie związane tym sznurem. Przecież nie nałożę go tak samo. Nie jestem Japończykiem.

- Nie marudź - powiedział Beuzekom - sam je otwórz, to będziesz pewien, że nic się nie zniszczy. Jeżeli policja podejrzewa, że jest w nich haszysz, to będzie podejrzewać, dopóki sama nie zobaczy, że go tam nie ma. Ty wiesz, że w nich nie ma haszyszu, ja też wiem. ale panowie jeszcze nie wiedzą.

- Dobrze - i Ringma zaczął ostrożnie manipulować przy sznurze.

Po kilku minutach jedna z beczek była otwarta.

De Gier spróbował gęstej brązowej pasty. To nie był haszysz. Łyżką, którą wręczył mu usłużnie Beuzekom, pogrzebał w masie. Konsystencja była wszędzie jednakowa, aż do dna.

Ringma tymczasem otworzył pozostałe beczki.

- Przekonani? spytał Beuzekom.

- Czy możemy przeszukać dom? - spytał Grijpstra.

- Proszę bardzo - powiedział Ringma - nie mamy nic do ukrycia. Ale proszę nie zrobić bałaganu, bo potem będę musiał wszystko sprzątać.

- To pan jest tu panią domu? - spytał Grijpstra.

Ringma zachichotał. - Można to tak nazwać.

Nic nie znaleźli, oprócz mnóstwa drogich rzeczy, szaf pełnych ubrań, antyków, najdroższych dywanów i zasłon oraz kilku obrazów mniej znanych dawnych mistrzów.

- Dajmy spokój - powiedział Grijpstra do de Giera. - Rozumiesz coś z tego?

- Nie - powiedział de Gier.

- Przecież to się musi nie zgadzać - powiedział Grijpstra. - Po



jakie lichy im ta zupa? Gdzie mają resztę? Podług Eduarda i Johana wzięli kilka razy po dwadzieścia beczek, ale tego oczywiście nie da się udowodnić, chyba że dałoby się znaleźć fakturę kupna, którą musiał wystawić Piet. Moglibyśmy zażądać zeznań od tych młodych na statku. Gdyby oświadczyli, że Piet nie zużywał w swojej restauracji więcej niż jedną beczkę, najwyżej dwie, a że importował znacznie większe ilości i że te nadwyżki zabierali od niego nasi dwaj przyjaciele...

Na wachmistrzu nie zrobiło to większego wrażenia.

- To żadne obciążenie. Beuzekom i Ringma przyznają się, że kupowali zupę, i my znaleźliśmy u nich zupę. Więcej nigdy nie mieli, powiadają. Gdybyśmy znaleźli haszysz, to coś by się dało z tego zrobić, ale tak to tylko sędzia nas wyśmiej, nie uważasz?

- Tak - powiedział Grijpstra - masz rację. I nawet gdybyśmy znaleźli haszysz, to też nie byłoby żadnej sensacji. Na kim robi dziś wrażenie haszysz? Musielibyśmy znaleźć heroinę. Zaginione siedemdziesiąt pięć tysięcy guldenów wskazuje zresztą na heroinę.

- Niekoniecznie - powiedział de Gier, który usiadł na jakimś łóżku i oparł głowę o ścianę, tuż pod piękną ramą obrazu, przedstawiającego zakochaną parę z siedemnastego wieku. - Czterdzieści czy pięćdziesiąt beczek haszyszu też kosztowałyby masę pieniędzy. Tylko gdzie te beczki?

- No i co? - spytał Beuzekom, kiedy policjanci wrócili do gospodarzy - czy panowie coś znaleźli?

- Nie - powiedział Grijpstra.

- O, bardzo panom współczuję. Jeszcze szklaneczkę lemoniady?

- Ja dziękuję - odmówił Grijpstra.

- A ja poproszę - powiedział de Gier. - Ty już wracaj. Ja tu jeszcze trochę z panami pogawędzę, jeżeli pozwolą.

Za plecami Beuzekoma mrugnął do Grijpstry.

- Dobrze - zgodził się Grijpstra - do jutra. Spróbuj się nie spóźnić. Uwierz mi, to jest możliwe.

Beuzekom siedział z wyciągniętymi nogami w swoim

welurowym krześle, a Ringma leżał na sofie. Grijpstry już nie było od kilku godzin. Na barku stała jedna pusta butelka po whisky i jedna do połowy opróżniona.

- Tobie właściwie wolno pić, kiedy masz służbę? - zapytał Beuzekom. Język mu już trochę zeszywniał, ale słowa wymawiał jeszcze nienagannie.

- Nie jestem na służbie - powiedział de Gier, który leżał wyciągnięty na kanapie - pracuję tylko osiem godzin dziennie, jak każdy urzędnik państwowy. Po prostu jestem w gościnie u przyjaciół.

- Patrzcie go - powiedział Ringma - wstrętny glina!

- No, no - powiedział Beuzekom - bądź miły dla gościa, Ringetje! Pan może być sobie wstrętnym gliną, ale teraz jest naszym gościem. Na ulicy możesz mu wymyślać. Na ulicy krzyczy się: - Esesman! Gestapo! - i w nogi.

Ringma zaczął się gdakliwie śmiać.

- Zupa mizo, cha, cha, cha! - wołał. - A oni szukają haszyszu. Ale ofiary, co, Beus?

- Zamknij twarz - powiedział Beuzekom - nie wiemy nawet, czego panowie szukają. I powinniśmy mieć respekt dla czyjejś pracy. Gdybyś lepiej uważał w szkole, też byś może trafił do policji.

- Nie mogę - gdał Ringma i ze śmiechu stoczył się na podłogę.

De Gier odczekał, aż Ringmie przejdzie atak śmiechu.

- To ciekawa historia - powiedział de Gier - co mi opowiadałeś o swoim życiu. Czyli jesteś dyplomowanym psychologiem, tak? Magistrem?

De Gier też już mówił trochę skołowanym językiem, trzy szklanki whisky to było więcej, niż mógł wytrzymać na pusty żołądek.

- Tak - powiedział Beuzekom. - Magistrem psychologii. Ze studiami skończonymi w rekordowo krótkim czasie, nie zapominaj. I żadnej pracy. Tak, tak, w ogóle pracę dostałem, za dziewięćset guldenów miesięcznie w jakimś zakichanym kantorku. Asystent asystenta. Ale długo tam nie zabawiłem. Nie po to studiowałem.

- Czyli nie pracujesz - podsumował de Gier.
- Nie - powiedział Beuzekom. - Nie pracuję. Mam zasiłek, już od roku. Czy zapomogę, czy jak to się tam nazywa. W każdym razie jakieś pieniądze, co miesiąc kapka.
- Baj, baj - powiedział de Gier - to jest bardzo drogie mieszkanie.
- Górka - powiedział Ringma.
- Droga górka - powtórzył de Gier. - Przykro mi, ale to jest naprawdę drogie. I macie w środku rzeczy za co najmniej pięćdziesiąt tysięcy.
- Gdzie - spytał Ringma, zrywając się i tańcząc po pokoju. - Gdzie jest te pięćdziesiąt tysięcy? Widzisz tu pięćdziesiąt tysięcy, Beus?
- Oj, cicho bądź - powiedział Beuzekom - nie mamy w domu rzeczy za pięćdziesiąt tysięcy. To tylko taka gadka.
- Gadka? - spytał de Gier. - Telewizor trzy tysiące. Antyki dwadzieścia tysięcy, obraz piętnaście, no i już. Mam jeszcze wyliczać?
- Wyliczaj sobie - powiedział Beuzekom - ale chrzanisz. Tak samo by wystarczyło dziesięć tysięcy. Tylko telewizor kupiłem nowy, ale i tak dostałem wielki rabat, a reszta to starzyzna. Z drugiej ręki i z bazaru, to i owo odziedziczyłem po ojcu.
- Ringma też nie pracuje? - spytał de Gier.
- Beuzekom poszedł do baru uzupełnić szklaneczkę, odwrócił się w pół drogi.
- Jestem alfonsem, panie wachmistrzu, ale niech pan tego nikomu nie mówi. Mój Ringetje zarabia dużo pieniędzy. Ale wszystko grzecznie zgłasza do opodatkowania. Przyjmuje tu czasem jakiegoś słodkiego wujaszka. Ile zgłosiłeś w zeszłym roku do podatku, Ringetje?
- Dwadzieścia - powiedział Ringma.
- Widzisz? - powiedział Beuzekom. - Mój mały samodzielny przedsiębiorca. Zarobi! dwadzieścia patoli, wszystko swoją małą dupką. Co do gronia zgłoszone. No i kupiliśmy też za to parę drobiazgów. Nie handlujemy haszyszem, haszysz jest be, i w zeszłym roku za niego siedziałem.
- A ta droga furgonetka, którą wszędzie jeździcie? - spytał de

Gier - ten mercedes?

- Och, nie męcz mnie, człowieku - powiedział Beuzekom - coś się mnie uczeplił. A to? A sio? Ten mikrobus figuruje na nazwisko mojego brata. Mój brat jest chirurgiem i zarabia dwieście tysięcy rocznie. Używa tego mikrobusu tylko wtedy, kiedy jedzie na wakacje, a kiedy nie wyjeżdża, ja go używam, bo robię to oszczędnie i na własny koszt trzymam go w garażu. On w swoim garażu nie ma miejsca. Chcesz zobaczyć dowód rejestracyjny?

- Chętnie - powiedział de Gier.

Beuzekom rozżołościł się.

- Pokażę ci, ale spieprzaj stąd potem. Nic nie zrobiłem, nic nie robię, nic nie będę robił. Już siedziałem w pace. Mam głowę nie od parady. Szukam dobrej posady, może coś w handlu. Już trochę kombinuję, antyki, sprzedaż okazyjna, i coś z tego wyjdzie, ze wszystkiego może coś wyjść, jeżeli jest się pilnym i wytrzymałym. Wydawało mi się, że jesteś w porządku facet, jak tu wszedłeś, robisz swoją robotę, ale nie bądź taką pijawką.

- Dolej i mnie — powiedział de Gier i nadstawił szklanę.

- Mam ochotę trochę poskakać - powiedział Ringma - lubisz muzykę, gliniarzu?

- Tak - powiedział de Gier.

- To znajdź sobie coś - powiedział Ringma i pokazał na najniższą półkę regału, gdzie w metrowym rzędzie stały obok siebie płyty.

De Gier przejrzał zbiór i wybrał płytę z japońską muzyką na flet i Beuzekom nastawił gramofon. Był to flet bambusowy i każdy dźwięk miał relief z ubocznych brzmień, kiedy wydmuchiwane powietrze ocierało się o włoski i drobne drzazgi wewnętrznej bambusowej rurki. De Gier opadł znowu na kanapę i zamknął oczy. Poczul się unoszony przez tę osobliwą muzykę, a wypity alkohol sprzyjał fantazji. Dziwne swobodne, wysokie tony podrażniły jego kręgosłup i zaczął drżeć. Przed oczami stanęła mu świątynia ze szczupłą dziewczyną o wschodniej urodzie, która stała na balkonie. Tańczyła w plamie białego księżycowego światła. Wizja była

tak rzeczywista, że poczuł się porwany w świat piękniejszy niż ten, na którym wiódł dotąd swój żywot. Myśli w jego głowie cykały w błyskawicznym tempie. Świątynia, tańcząca dziewczyna na balkonie, światło księżyca i on jako widz. Musiał natężyć całą siłę woli, żeby wrócić na kanapę i z powrotem być podoficerem policji, który przesłuchuje dwóch podejrzanych i zainteresowany jest tylko informacjami, i nawet jest gotów wziąć udział w przedstawieniu.

Otworzył oczy i zobaczył tańczącego Ringmę. Beuzekom wyłączył światło w pokoju i kruche ciało Ringmy podświetlane było tylko rozproszonym blaskiem lamp ulicznych, przesączonym przez zasłony. Wielkich uszu i łysiejącej czaszki Ringmy nie było teraz widać. Ringma sunął drobnymi kroczkami, nie unosząc stóp; przykucnął, wyskoczył nieprawdopodobnie wysoko i opadł sprężysto. Teraz stał bez ruchu i zaczął grać ramionami i dłońmi, które rysowały się czarno na tle nierzeczywiście białych zasłon. Ringma był lalką, opętaną lalką, poruszaną mechanizmem, ale jednak żywą, z życiem tchniętym skądinąd, nie przychodzącym z jej istoty. Za sobą de Gier czuł siłę wpatrzonych oczu Beuzekoma.

Muzyka urwała się wpół nuty i w nagłej ciszy Ringma opadł i skulony legł na podłodze.

Beuzekom podszedł do niego i delikatnie postukał go w głowę.

- Ringma tańczył w balecie w swoich młodych latach - powiedział Beuzekom.

- Jedną szklaneczkę - powiedział ochryple Ringma. - Jedną malutką szklaneczkę, Beus. - Dostał pół szklanki whisky i znowu położył się na sofie.

- To było piękne - powiedział de Gier.

Po kilku minutach rozmowa odżyła.

Beuzekom zapalił grubą gromnicę i uważnie przyglądał się gościowi.

- Ile ty zarabiasz? - zapytał de Giera.

- Niedużo - odpowiedział de Gier.

- Jaki masz stopień?

- Wachmistrz - powiedział de Gier.

- To wysoko - powiedział Beuzekom. - W policji nie możesz zająć wyżej niż do sierżanta, prawda?

De Gier skinął.

- I ile wtedy będziesz zarabiał? Tysiąc sześćset guldenów lub coś koło tego.

- Mniej więcej - potwierdził de Gier.

- Tyle co kot napłakał - powiedział Beuzekom - w Zakładzie Oczyszczania możesz tyle samo zarobić jako śmieciarz.

- A ile ty zarabiasz? - spytał de Gier.

- Kilka razy więcej niż będziesz kiedykolwiek zarabiał ty, jeżeli zostaniesz u swojego pracodawcy - powiedział Beuzekom. - Chodź pracować u mnie. Mam masę możliwości, a nie starcza mi czasu. Mówisz po angielsku?

- Nie płynnie - powiedział de Gier - ale dużo czytam angielskich rzeczy.

- Jak długo jesteś w policji kryminalnej?

- Sześć lat.

- A przedtem?

- Pięć lat byłem mundurowym.

- To musisz mieć ogromne doświadczenie. Słuchaj, mówię poważnie. Bardzo byś mi się przydał i mówię ci, że nie jestem skąpy, kiedy się dzielę zyskiem.

- A cóż to jest za handel, do którego jestem ci taki potrzebny?

- Nie narkotyki - powiedział Beuzekom. - Antyki. I trochę nielegalnego handlu nadwyżkami fabrycznymi. Import i eksport. Wkrótce zakładam przedsiębiorstwo, z biurem i apetyczną sekretarką.

. - A tfu - skomentował Ringma, który słuchał ze swojej sofy.

- Myśl trochę o innych, Ringetje - powiedział Beuzekom.

De Gier wstał i wyglądał przez okno na cichy kanał w dole.

- Ale tak naprawdę przyszłość należy do handlu, wiesz, jakim towarem - powiedział de Gier. - Jeżeli szukasz poważnych zysków, musisz tam trafić.

- To się zgadza - powiedział Beuzekom.

- A wtedy wszystko diabli wezmą - powiedział de Gier

- tak jak kiedyś. W Chinach. Wielkie susze, burze piaskowe,

głodowa śmierć, handel niewolnikami, wojny bandytów.

- Tak - powiedział Beuzekom - taka jest przyszłość.

- I ty chcesz współdziałać przy jej nadejściu? - spytał de Gier.

- Nie bądź śmieszny - powiedział Beuzekom. - Wiesz dobrze, tak samo jak ja, że taka jest przyszłość. To jest proces, którego nikomu nie uda się odwrócić. Trzeba korzystać z okoliczności; jeżeli chce się je zmieniać, to równie dobrze można włożyć broń, wsiąść na chudą szkapę i walczyć z wiatrakami.

- Widziałem dzisiaj trupa dziewczyny - powiedział de Gier. - Dziewiętnaście lat. Zamiast rąk miała patyczki.

- Heroina? - spytał Beuzekom.

De Gier nic nie powiedział.

- Dobrze - powiedział Beuzekom. - Heroina. Heroina jest szkodliwa dla zdrowia, zatrucie rtęcią też. Bomby atomowe są bardzo szkodliwe. A karabiny maszynowe, czołgi, gazy paralizujące też. Wszystko diabelnie niezdrowe. I może mam z tego powodu płakać? Świat jest, jaki jest.

- Życzę powodzenia w interesach - powiedział de Gier i zamknął za sobą drzwi.

## 11

Grijpstra odwołał dwóch wywiadowców z ogródka i wrócił do biura. W jego pokoju leżały na biurku nowe raporty, które przeczytał. Policjant w mundurze przyniósł mu odpis wszystkich teleksów dnia: spis wszystkich przestępstw popełnionych w Holandii. Przejrzał wiadomości. Odnotowana była w nich dziewczyna z łodzi mieszkalnej, oprócz niej jakiś młody chłopak w Rotterdamie, osiemnastolatek, który wskoczył z dwunastego piętra bloku mieszkalnego. Zażył wiadome pastylki i myślał, że jest ptakiem.

Grijpstra usłyszał, że nadjeżdża wózek z kawą i stanął w otwartych drzwiach. Przy kawie myślał o de Gierze, który pewnie pił kolejnego drinka. De Gier był w pracy.

Do dzieła, pomyślał Grijpstra, i wykręcił numer Constanze Verboom. Telefon odebrała matka.

- Policja kryminalna, sierżant Grijpstra. Wybacz pani, że

dzwonię tak późno. Bardzo chciałbym porozmawiać z pani córką. Właściwie chciałbym do niej zajrzeć, czy to byłoby możliwe?

- Nie ma jeszcze dziesiątej - powiedziała matka Constanze. - Moja córka jeszcze nie śpi. Powiem jej, że pan przyjedzie.

Grijpstra poszedł piechotą. Długie, wąskie ulice nie poprawiały mu nastroju. Na dworze młodzież próbowała się jeszcze zabawiać. Co chwila musiał odskakiwać na bok przed lśnącymi motorami. Wszędzie były pootwierane okna, mógł śledzić wieczorny program telewizyjny zaglądając tu i ówdzie do środka. Wyświetlano film kryminalny i widział pędzące samochody, pięknych mężczyzn, strzelających z pistoletów, i dziewczynę z głębokim dekoltem.

Zasuwka została odciągnięta i drzwi się otworzyły. Na schodach czekał ojciec Constanze.

- Czy pański kolega nie przyszedł z panem? - zapytał ojciec z pewnym rozczarowaniem w głosie.

- Jest bardzo zajęty - powiedział Grijpstra - i dlatego ja przyszedłem. Pańska córka jest w domu?

- Tak - powiedział ojciec - drugie drzwi na prawo. Coś tam majstruje w swojej sypialni. Cały wieczór nie widziałem jej na oczy.

Grijpstra zapukał i otworzył drzwi.

- Nie! - zawołała Constanze. - Oj, nie, niech pan zamknie drzwi.

Jedyne, co zobaczył Grijpstra, to była chmura pierza. Zamknął za sobą drzwi, ale to spowodowało nowy podmuch przeciągu i chmura pierza zgęstniała jeszcze bardziej.

- Co pani robi? - spytał zdumiony Grijpstra, a jego zdumienie zamieniło się w strach. Nie mógł nic dojrzeć przez wirujące piórka i poczuł się zagrożony. Wyciągnął pistolet, odsunął bezpiecznik i cofnął zamek, wszystko jednym ruchem, automatycznie, po nieskończonej liczbie ćwiczeń w szkole policyjnej, a potem w piwnicznej strzelnicy.

- Nie - krzyknęła jeszcze raz Constanze.

Pióra wirowały powoli ku podłodze i Constanze zaczęła się śmiać. Grijpstra stał patrząc na nią ogłupiały, jeszcze z



pistoletem w wyciągniętej ręce. Na włosach, na wąsach, na niebieskim garniturze w prążki miał pióra. Schował pistolet.

Jeszcze przez chwilę Constanze nie mogła opanować śmiechu.

- Reperowałam kołdrę rodziców i wydobyłam z niej wszystko. Materiał jest taki wytarty, że będę musiała zrobić nową powłokę. Właśnie chciałam zebrać pierze do worka, kiedy pan wszedł. Teraz mogę sobie to darować.

Grijpstra próbował otrzepać się z piór.

- Niech pan pozwoli - powiedziała Constanze i oskubała go sama. - Potem spróbuję zebrać to z pokoju odkurzaczem. Chodźmy stąd, bo znowu obleziemy.

W pokoju dziennym cała historia musiała zostać opowiedziana rodzicom i znowu się śmiano. Grijpstra śmiał się ze wszystkimi.

- Tylko proszę nie opowiadać tego mojemu koledze.

- W żadnym wypadku - obiecała Constanze. - Czy on nie mógł przyjść dziś wieczorem?

- Ma inną pracę - powiedział Grijpstra.

Constanze patrzyła na niego ze zrozumieniem.

- Chciał pan mnie jeszcze o coś zapytać?

- Tak - powiedział Grijpstra. - W dniu śmierci pani męża nie była pani w pracy.

Rodzice podnieśli wzrok, matka znad robótki, ojciec znad gazety.

Constanze nie przestraszyła się.

- Zgadza się. Byłam niezdrowa tego dnia. I zostałam w domu. Yvette oddałam jeszcze do żłobka i wróciłam do domu. Nie byłam naprawdę chora, tylko bardzo zmęczona. Właściwie to wagarowałam. Nie mam alibi.

- Ale byłaś w Paryżu? - spytał ojciec.

- Istnieją samoloty - powiedział Grijpstra.

- Tak, ale ja żadnym nie leciałam - powiedziała Constanze.

- Dlaczego pani nam od razu nie powiedziała, że była pani tamtego dnia chora? - zapytał Grijpstra.

- Panowie mnie o to nie pytali i myślałam, że się o tym nie dowiecie. Czy pan mnie teraz aresztuje?

- Czy zamordowała pani Pieta Verbooma? - zapytał Grijpstra.

- Nie - odpowiedziała Constanze.

Grijpstra nic nie powiedział, pomieszał herbatę, odstawił filiżankę i zeskubał jeszcze parę piórek ze spodni.

Constanze zaśmiała się znowu.

- Ależ pan zabawnie wyglądał.

Grijpstra uśmiechnął się uprzejmie.

- Naprawdę go nie zamordowałam - powiedziała Constanze. - Przychodziło mi to czasem do głowy, ale myślę, że życie byłoby dla niego większą karą niż śmierć. Był okropnym człowiekiem i nie było mu lekko. Przyszło mi do głowy, że jak już mam się na nim mścić, to lepiej zostawię go przy życiu. Oprócz tego nie należę do ludzi, którzy potrafiliby zabić. Zmuszam się, kiedy mam zabić muchę.

- To prawda - powiedział ojciec. - Woli ją wypędzić gazetą przez okno, niż ją trzepnąć. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby mogła komuś nałożyć stryczek, ale pan jest policjantem, pan już wie lepiej, jak to jest.

- Niczego nie wiem lepiej - powiedział Grijpstra.

I cały czas chodzę po omacku. Dziękuję za herbatę.

- A ja? - spytała Constanze - Idę z panem?

- Nie. Proszę tu spokojnie mieszkać. Ale raczej niech pani nie wraca do Paryża, zanim pani nie powiemy, że już po wszystkim. Może jeszcze będziemy pani potrzebowali.

Grijpstra wrócił piechotą do domu. De Gier również szedł przez miasto. Alkohol odurzył go bardziej, niż się spodziewał, i chciał się w ten sposób ukarać, że całą drogę do domu przebędzie piechotą. Kiedy wreszcie po godzinie dotarł do wysokich bloków przy Nijenrodeweg, piekły go stopy.

W domu nie wziął nawet prysznic a gdyby Olivier nie rozdarł mordy, nie dostałby pewnie jeść.

Tej nocy de Gier znów miał swój sen. Mężczyźni w melonikach tańczyli dookoła niego i używali swoich pistoletów maszynowych jako fletów poprzecznych. Zawalone kamieniczki śródmieścia opierały się o siebie. Nagie dziewczyny,

brzydkie straszydła, tańczyły z melonikowymi gangsterami i co jakiś czas odłączały się od korowodu, żeby sobie zrobić zastrzyk. Kanał był napełniony zupą mizo. Stara pani Verboom też z nimi hulala, tak samo naga, z pokurczonymi woreczkami skóry zamiast piersi i z kwiatem rododendronu zatkniętym za ucho. Kiedy przywalcował Grijpstra w objęciach lekarki z Bussum, de Gier nie strzymał. Przekreślił się spocony w łóżku i z piskliwym rżeniem obudził się. Olivier, który spał u niego w nogach, zaatakował go gryząc i drapiąc. Stopa i kostka de Giera krwawiły i wstał, żeby sobie opatrzeć rany. Olivier patrzył na niego przerażony.

- Idź spać - powiedział de Gier - za nerwowo jesteś.

Następnego ranka obaj policjanci siedzieli bladzi i z podkrążonymi oczami przed biurkiem nadinspektora. Nadinspektor popatrzył na nich kolejno i poruszył cygarem wykrzywiając wargi. Obok niego siedział komisarz, mały, niepozorny człowieczek.

Cisza była przyniatająca.

- I co z tym teraz zrobimy? - spytał komisarz nieoczekiwanie głębokim głosem.

- Będziemy kontynuować śledztwo - powiedział Grijpstra - a co możemy robić innego?

- Jak? - spytał komisarz.

Grijpstra nie odpowiedział.

- Co pan o tym sądzi? - rzucił pytanie komisarz i spojrzał w bok.

- Sądzę, że Grijpstra ma rację - powiedział nadinspektor. - Będziemy obserwować Beuzekoma i jego roztańczonego przyjaciela, a od czasu do czasu ich przesłuchamy. Może coś się wydarzy, może ktoś zacznie się denerwować. Może dostaniemy jakiś anonim. Może nasz psychiatra coś nam zasugeruje.

- Może - powiedział komisarz. - Może będziemy potrzebowali więcej ludzi. Mogę pomóc. Wygląda to na morderstwo, a morderstwo musimy wyjaśnić.

Nadinspektor znowu zapalił swoje cygarko. - Mam plan

- powiedział i spojrział na Grijpstrę - chcesz posłuchać?
- Słucham, panie inspektorze - powiedział Grijpstra.
- Zaczniemy z drugiego końca.

Prowadzący śledztwo spojrzeli na niego pytająco.

- Zaraz wytłumaczę - powiedział nadinspektor. - Piet Verboom handlował haszyszem. Tego już możemy być pewni. Importował go w beczułkach, pochodzących rzekomo z Japonii. Odnaleźliśmy faktury, z których wynika, że zupa mizo pochodziła z Pakistanu. Ale z Pakistanu nikt nie importuje zupy mizo, jest to typowo japońskie danie.

De Gier wyprostował się.

- Ależ panie inspektorze, to, co widzieliśmy, to nie był haszysz, co to naprawdę jest, nie wiem, ale to nie był haszysz.

Nadinspektor skinął głową.

- To, co widzieliście, to była zupa mizo, zakupiona przez Pieta tu, w Amsterdamie, u hurtownika, który\*importuje ją z Japonii. A to, co znaleźliście w magazynie fundacji, to też była zupa mizo, z tej samej hurtowni. Ale Piet importował pełnowartościowy haszysz, który przychodził z Pakistanu. Nie mogę zrozumieć, że celnik przepuścił taką dostawę, bo wszystko, co przychodzi z Pakistanu, jest podejrzanе, ale może mieli tłok na granicy.

- I ten prawdziwy haszysz Piet sprzedawał dalej Beuzekomowi i Ringmie? - spytał de Gier.

- Otóż to.

- Ale dlaczego Beuzekom i Ringma nie importowali sami? Przecież są na to dość sprytni?

- Właśnie dlatego, że są sprytni - powiedział z uśmiechem nadinspektor. - Nie są firmą handlową i nie handlują żywnością. Piet spełniał obydwa warunki, ta jego fundacja cieszyła się pewną sławą. Importował wiele różnych towarów. I miał kontakty z Pakistanem poprzez Pakistańczyków, którzy odwiedzali jego klub, ponadto był kilka razy w Pakistanie. Sprawdzaliśmy w jego paszportach. W najnowszym nic nie było, ale przed nim miał jeszcze dwa, odnaleźliśmy je w Urzędzie Stanu Cywilnego. Widziałem je. W sumie był cztery razy w Pakistanie. Prawdopodobnie zabrał ze sobą pustą

beczułkę po zupie i kazał swoim Wspólnikom zrobić takie same.

- Ile partii przywiózł w ten sposób? - zapytał Grijpstra.

- O ile mogliśmy się zorientować, dwie - odpowiedział nadinspektor - dwa razy po dwadzieścia beczek.

- A te pięć beczek u Beuzekoma? - zapytał de Gier.

- Wybieg - powiedział komisarz, który najwyraźniej śledził przebieg rozmowy. - Musieli się spodziewać, że możemy trafić na trop i zaczniemy wypytywać o zupę mizo. I dlatego zaopatrzyli się w pewien zapas. Haszysz dawno został sprzedany i wypalony przez wesoły ludek.

- A te siedemdziesiąt pięć tysięcy? - zapytał de Gier.

Nadinspektor patrzył na niego z namysłem.

- Do tej pory zapoznawaliśmy was z faktami. Nie mogę co prawda dowieść, że w tych beczkach nie było zupy mizo, ale to jest niemal pewne. Mieliśmy już drewniane słoniki z Pakistanu pełne haszyszu, skrzynie owoców, które pełne były haszyszu, a teraz mamy beczki z zupą. Widziałem te faktury i wysłaliśmy teleks do Pakistanu, ale firma, która miała niby je eksportować, nie istnieje. Ich celnik został zapewne przekupiony. Nie, nie widzę w tym żadnych luk. To był haszysz i Piet sprzedawał go Beuzekomowi i jego koleżce. Ale cóż, Piet musiał sobie pewnie obliczyć, ile zarobił, i wyszło mu za mało. Każdy import tych beczek był ryzykowny. Chciał się dorobić prędkiej i na większą skalę.

- Heroina - powiedział Grijpstra.

- Tak. Heroinę można wygodnie pakować w małe porcje i jest nieporównanie droższa niż haszysz. Sztabka haszyszu daje w detalu dwadzieścia pięć do trzydziestu guldenów, jedna płaska łyżka heroiny sto dwadzieścia pięć do stu pięćdziesięciu guldenów. A jeżeli się kupuje haszysz, to można kupić i heroinę. Nie w Pakistanie, jak podejrzewam, gdzieś bliżej. W Marsylii rafinuje się dużo opium i może udał się tam, żeby powęszyć. Wyjeżdżał co jakiś czas na tydzień, a w ciągu tygodnia można z łatwością pojechać do Marsylii i wrócić. Może był w Afryce Północnej, ale nie znalazłem stempli w paszporcie.

- Dobrze - powiedział Grijpstra - znaleźli dostawcę i za jednym zamachem chciał kupić wielką partię. Dlatego zebrał do kupy całą gotówkę, jaką tylko mógł.

- Tak sądzę - powiedział nadinspektor - wkrótce potem został zamordowany. Może przez człowieka, który dostarczył mu heroinę albo miał ją dostarczyć. Albo przez kogoś, kto wiedział, że Piet ma w domu dużo pieniędzy. Mógł zostać zamordowany przed i po zawarciu transakcji. Ale w domu nie znaleźliśmy ani śladu heroiny.

- Heroina jest zazwyczaj pakowana w hermetyczne torebki - powiedział de Gier. - Towar jest za drogi, żeby nim prószyć. .

- Beuzekom mógł wiedzieć, że Piet zajął się heroiną, bo był jego klientem - powiedział Grijpstra.

- Beuzekom jest teoretycznie w stanie to zrobić - powiedział nadinspektor. - I Beuzekom ma dużo pieniędzy, ale to nic nowego. Już od ponad roku ma dużo pieniędzy. W niektórych knajpach wydaje po sto guldenów na godzinę. Jeżeli o mnie chodzi, możecie go zatrzymać i przesłuchać. Pytałem się sędziego śledczego i możemy go na parę tygodni zatrzymać. I jego koleżkę też.

- Osobno przesłuchać - powiedział de Gier.

- Uważasz, że to coś da? - spytał nadinspektor i zapalił nowe cygaro.

- Nie - powiedział de Gier.

- Dlaczego nie?

De Gier wzruszył ramionami. - Beuzekom studiował psychologię i sprawia wrażenie silnej osobowości. Jego nie uda nam się złamać, nawet jeżeli nie damy mu nic palić i zamkniemy w celi z przeciągami. Może ten mały ladacznik by się załamał, ale to by mnie jednak zdziwiło. Za dużo mają do stracenia. Żyją teraz w luksusie i wiedzą, że nie mamy żadnych dowodów, parę tygodni niewygód w celi i izbie przesłuchań to niewiele wobec złotej przyszłości.

- Co ty o tym sądzisz? - zwrócił się nadinspektor do Grijpstry.

- Też tak uważam, panie inspektorze. Handel dobrze im idzie i jeszcze by im się polepszyło, gdyby Piet mógł ich

zaopatrywać w heroinę. Dlaczego mieliby go powiesić zaraz przy pierwszej transakcji? To już lepiej poczekałoby i dowiedzieli się, skąd on to bierze, ale nawet wtedy nie miałyby wielkiego sensu mordowanie Pieta. Zabić go dla siedemdziesięciu pięciu tysięcy, to tak, jak sprzedać pierworództwo za miskę soczewicy.

- Też zupa - powiedział komisarz z grymasem obrzydzenia.

Nadinspektor patrzył niewzruszony.

- To musimy zacząć z innej strony. Musimy wejść do podziemia i wybadać, kto rządzi heroiną. Dostawca musi być znany. Radziłbym wam złapać jakiegoś nieznacznego detalistę i przesłuchać go, żeby się dowiedzieć, od kogo kupuje heroinę. I tak po nitce do kłębka.

- Dobrze - powiedział Grijpstra - ale to jest cała akcja.

- Dostaniecie pomoc - powiedział komisarz. - Trzeba wszystko przetrząsnąć. Cały wydział kryminalny wam pomoże.

- Tu macie listę - powiedział nadinspektor - to są adresy z Biura Dochodzeń, niedawno potwierdzone. To są bary, knajpki studenckie, ławki w różnych parkach, przystanki, statki mieszkalne. Czerwono zaznaczone są najprawdopodobniejsze. Ja będę koordynował akcję, powiem wam, kiedy zaczynamy, ale wy możecie już robić swoje.

dowiedzcie się, skąd brał heroinę ten brudas ze statku, chłopak od tej nieżywej dziewczyny, którą znaleźliście wczoraj. A teraz idźcie już na kawę.

Funkcjonariusze pożegnali się i ruszyli ku drzwiom.

- Do widzenia panom - powiedział komisarz.

## 12

- Uwaga - powiedział de Gier do Oliviera, który przechodził koło łóżka. Kot zatrzymał się i obejrzał. Wyglądał na spokojnego, ale koniuszek jego ogona dygotał malutkimi wahaniami.

- Olivier - powiedział de Gier - jutro rano o pierwszym brzasku prowadzimy cię do parku naprzeciwko, zawiążemy

przednie łapy na grzbiecie, przywiążemy do słupa i zostaniesz rozstrzelany.

Olivier ruszył dalej, mrużąc głęboko.

- Nie, nie - powiedziała Constanze i leciutko ugryzła de Giera w ucho. - Nie chcę, żebyś go zabijał. Możemy go oddać moim znajomym, oni mają gospodarstwo i wiem, że bardzo by chcieli mieć kota syjamskiego, a już na pewno takiego ładnego jak Olivier.

- Kochany jesteś - powiedziała Constanze i wtuliła się bardziej w otaczające ją ramiona de Giera.

De Gier mruknął coś niewyraźnie. Zapomniał już o uwadze Constanze, że boi się kotów, i czuł się na powrót nieskończenie odprężony; jeżeli o niego chodziło, to Ziemia przestała się obracać. Niczego nie chciał prócz przedłużenia stanu, w którym się znajdował. Sennie uświadomił sobie, że to samo musi czuć Olivier, kiedy siedzi godzinami na parapecie między doniczkami z bodziszkami i patrzy przed siebie, od czasu do czasu przymykając oczy albo strzygąc niespiesznie jednym uchem.

- Spisz? - zapytała Constanze i przysunęła się jeszcze bliżej.

- Hrrmm - powiedział de Gier.

- Niedługo muszę wracać do Paryża, jeżeli ten twój Grijpstra mi pozwoli. Czy będzie ci przykro?

- Tak - powiedział de Gier.

- Czy wolisz, żebym została?

- Masz zostać - wymamrotał de Gier.

- W twoim mieszkaniu?

De Gier znowu się obudził. Mózg zaczął pracować. Ukształtował się pewien problem i informacja, przechowywana w mikroskopijnych komórkach wewnątrz jego czaszki, zaczęła się porządkować. Mimowolnie uformował się wniosek.

Constanze nie mogła u niego zamieszkać, nie chciał tego. Próbował cofnąć tok rozumowania, znaleźć powody, jakie doprowadziły do wyciągnięcia takiego wniosku. Constanze przywiozłaby swoje dziecko. Za dużo ludzi w przestrzeni, podzielonej na dwa małe pokoiki, malusieńką kuchenkę i



prysznic z wc. Niemożliwe.

I Olivier musiałyby odejść, Olivier jest fałszywy, znerwicowany i zazdrosny. Olivier nie mógł odejść.

Czyli przeprowadzka. Nie chciał się przeprowadzać. Za dużo kłopotów, za drogo. Przypomniawszy sobie duszne sublokatorskie pokoiki śródmieścia, w których mieszkał latami, u nie dających mu chwili spokoju starszych kobiet, które na siłę częstowały go przypalonym hutspotem i wypominały każdego kobiecego gościa, jakiego z rzadka próbował przemycić do siebie.

To mieszkanie było jego ostatnią ucieczką. Był względnie szczęśliwy, a towarzystwo Oliviera całkiem mu wystarczało, choć zwierzę regularnie zanieczyszczało pokój wymiotując i robiąc gdzie popadnie, ale uparcie zrywając i żrąc powodujące to wszystko liście bodziszka.

Gdyby Constanze weszła na stałe do jego życia, zmiany byłyby zbyt daleko idące.

W wyobraźni zamajaczyła mu młoda nieśmiała kobieta, wchodząca do jego mieszkania, ale nie czekająca cierpliwie w drzwiach, aż on zamknie Oliviera w kuchni. Taka kobieta, która umiałaby uszanować Oliviera.

Nieśmiała kobieta przybrała wyraźniejsze kształty, miała długie włosy blond i piękne piersi i, a jakże, długie nogi i cienką kostkę. Czyżby miała okulary? De Gier skoncentrował się, ale obraz pozostał niewyraźny, nie mógł zobaczyć jej twarzy. Ale to nie była Constanze.

- Ja naprawdę wyjeżdżam - powiedziała Constanze i położyła na nim swoją nogę.

- Dlaczego tak prędko? - zapytał de Gier macając ręką po podłodze, żeby znaleźć papierosy i zapalniczkę, które tam musiały gdzieś leżeć.

- Bo już mam pieniądze.

- Co za pieniądze?

- Sprzedałam dom na Składowach Haarlemskich z całym inwentarzem, i domek letni w Brabancji, co go Piet kupił rok temu.

- Tak? - zapytał de Gier i usiadł na łóżku - i dużo wzięłaś?

- Dlaczego pytasz? - spytała Constanze.
- Jestem z policji - powiedział de Gier - zawsze • ciekawy.
- W sumie za wszystko dostałam sto tysięcy.

Sto tysięcy, pomyślał de Gier. Fura forsy. Do stu tysięcy fur forsy. Fur beczek. Beczek haszyszu. Beczek forsy. Forsy zarobionej za beczi, za bzdury, za religijne mrzonki, za taki a nie inny sposób jedzenia i za siedzenie bez ruchu, które ma zapewnić wieczne zbawienie. Ile to można na świecie zarobić pieniędzy.

- Ale przecież na dom była wzięta hipoteka? - zapytał swoim normalnym głosem, był już zupełnie trzeźwy.

- Tak - potwierdziła Constanze - pięćdziesiąt tysięcy, to trzeba oddać. Ale i tak pozostaje pięćdziesiąt tysięcy, a to jest dużo franków, za to mogę w Paryżu kupić ładne mieszkanko, może trochę mebli. Muszę myśleć o przyszłości. Jest przecież Yvette.

- A kto to od ciebie kupił? - spytał de Gier.

- Joachim de Kater.

De Gier zastanowił się nad tym. To był rewident, które go odwiedzał Grijpstra. Doradca Verbooma, człowiek z drogiej kancelarii przy Keizersgracht. Stary mądry kocur. Najpierw stał u boku Pieta, a teraz oczywiście wspomaga jego wdowę. A ponieważ każdy musi zawsze coś zarobić, on, uczynny kocur, za jednym zamachem dobrze się przysłużył interesowi klienta oraz swojemu. Joachim to rozumiał, a kocur wykonał skok.

- Byliście już u notariusza? - zapytał.

- Tak - powiedziała Constanze - akt jest podpisany a pieniądze już przelane na konto.

- Inwentarz domowy też będzie jego?

- Przecież ci już mówiłam - powiedziała Constanze. - Zresztą nie było to wiele warte. Wszystko, co jest w tych domach, zostało kupione na aukcjach, a figura Buddy w korytarzu to kopia, odlew Piet zamówił w Lejdzie. Chyba zapłacił za to pięć tysięcy.

- A ten podatek? - spytał de Gier.

- De Kater mówił o tym - powiedziała Constanze. - Ale ja tego nie będę płacić. To byłoby konieczne, gdyby fundacja

została obrócona w przedsiębiorstwo komercyjne, a to oczywiście już nie nastąpi. Chcę ze wszystkim skończyć. Nigdy nie wręczono mi nakazu podatkowego. Jestem dyrektorką fundacji i mam prawo wszystko zlikwidować. Możliwe, że urząd podatkowy jeszcze się zorientuje i przyśle nakaz, ale wtedy będę już w Paryżu, za dwiema granicami. Prócz tego do tej pory postaram się zostać Francuzką, już złożyłam wnioszek o obywatelstwo, teraz jako wdowa mam pełne prawo. Moja matka też jest Francuzką.

- Tak - powiedział de Gier - urząd podatkowy jest zapracowany.

De Gier opadł na poduszki, otoczył Constanze ramieniem i przyciągnął do siebie.

Olivier usiadł na jednej z półek, patrząc surowo na kochającą się parę.

- Psik! - syknął de Gier.

Olivier zeskoczył z półki i poszedł z godnością do kuchni, pogardliwie machnąwszy ogonem.

- Joachim de Kater - powiedział Grijpstra mieszając kawę. Nadinspektor patrzył na swoich asystentów zza bezpiecznej twierdzy swego stalowego biurka.

- Czy ja znam to nazwisko? - zapytał.

- Pisałem o nim mały raporcik - powiedział Grijpstra.

Nadinspektor przewertował teczkę.

- Aha, jest.

Przeczytał raport.

- Czy jest nam znany? - zapytał de Gier.

Nadinspektor pokręcił głową.

- Raczej nie. Rewidenci Rejestru nie mogą być znani policji. Jeżeli coś zmalują, natychmiast tracą licencję i resztę życia spędzają jako buchalterzy. Ale powinniśmy kogoś mieć, kto się zetknął z de Katerem. Zadzwońię do niego. Po południu będę już coś wiedział, zajrzyjcie do mnie albo zadzwońcie wieczorem do domu, tylko żebyście mnie nie trzymali za długo przy telefonie, bo chcę oglądać mecz.

- Do kogo on zadzwoni? - zapytał de Gier, kiedy byli już na

korytarzu.

- Do stowarzyszenia - powiedział Grijpstra - wszyscy rewidenci rejestru muszą być jego członkami. I może zadzwonić do paru państwowych rewidentów podatkowych, ktoś się znajdzie, kto studiował razem z Joachimem. Nasz szefunio coś wyszuka, on jak się do czegoś weźmie, to nie rezygnuje z byle powodu.

- Stary piernik - powiedział de Gier - siedzi tam jak to sówsko, kiedy my sobie mało nóg nie uchodzimy, a jak wyjdziemy z tej historii, to da nam nową robótkę, ale nigdy jeszcze od niego nie usłyszałem, że coś dobrze zrobiliśmy.

- No, no - powiedział Grijpstra - złościsz się, bo dzisiaj wieczorem on będzie leżał do góry brzuchem na sofie, a ty będziesz pracował.

- To mam dzisiaj wieczorem coś do roboty?

- Bardzo możliwe - powiedział Grijpstra - ja też chcę oglądać mecz, a ty przecież nie lubisz piłki.

De Gier przystanął i skrzywił się.

- Cisza - powiedział Grijpstra.

- Dokąd właściwie idziemy? - spytał de Gier.

- Masz krótką pamięć - powiedział Grijpstra - zaczynamy polowanie na heroinę, wiesz?

Młody człowiek nie otworzył; de Gier pchnął mocniej sfatygowane drzwi łodzi mieszkalnej i zasuwka puściła.

- Ejże - krzyknął chłopak - co to ma znaczyć?

- Policja - powiedział de Gier - nie pamiętasz mnie?

- Panu nie wolno wyważać drzwi - powiedział młody człowiek - to jest mój dom, a dom obywatela jest pod ochroną prawa.

- Przepraszam - powiedział de Gier - pośliznąłem się na trapie i przewróciłem się na twoje drzwi, dlatego zamek puścił. Możemy wejść?

- Nie - odparł młody człowiek.

De Gier popatrzył na niego.

- No dobrze - powiedział młody człowiek - i tak z wami nie wygram.

Była jedenasta rano, ale on leżał jeszcze w śpiworze. W

pomieszczeniu śmierdziało. Grijpstra otworzył dwa okna i do środka wpadło trochę świeżego powietrza, choć na dworze też było parno i gorąco, burza, która poprzedniego wieczora zapowiadała się słabym grzechotem, nie nadeszła i miasto męczyło się w dalszym ciągu pod falą upałów.

- Jak ty się właściwie nazywasz? - zapytał de Gier.

- Koopstra - powiedział chłopak. - Bart Koopstra.

Odgarnął z siebie śpiwór, włożył podarte dzinsy i poplamioną koszulę, którą miał na sobie wczoraj.

- Czy dowiedzieliście się, kim była ta dziewczyna? - zapytał Koopstra.

- Nie - powiedział Grijpstra - a ty?

Chłopak odgarnął na bok włosy i potrząsnął przecząco głową.

- Znalazłem ją na De Dam. Próbowałem z nią rozmawiać, ale nie powiedziała wiele. Właściwie przyciągnąłem ją tutaj. Głupio zrobiłem, powinienem był zauważyć, że już była daleko.

- Nie czujesz się teraz parszywie? - zapytał Grijpstra.

- Pewnie - powiedział Koopstra - nie jestem zwierzę. Pewnie, że się czuję parszywie.

- Ona nie żyje - powiedział Grijpstra. - Wierzysz w życie pozagrobowe?

- Wierzę w to życie teraz - powiedział Koopstca - człowiek przeżywa dziwne rzeczy, kiedy zaczyna sobie wstrzykiwać heroinę. Ale co wy o tym możecie wiedzieć. Dla was dostępne jest piwko albo ćwiartka jenevera, jak już chcecie cały wieczór bąblować, ale od tego człowiek robi się tylko gadatliwy i macha rękami.

- Nie żałujesz, że zacząłeś brać heroinę? - zapytał de Gier.

- Żałuję - powiedział Koopstra - ale teraz jest już za późno. Już się z tego nie wygrzebię. Powinienem być może pozostać przy haszyszu. Heroina daje dużo więcej, ale nic z człowieka nie pozostawia. Kiedyś miałem studencką kawalerkę na Kattenbrug, tam zrobiłem egzamin kandydacki.

- Czujesz się lepiej niż wczoraj po południu - powiedział Grijpstra - brałeś coś od tamtej pory?

- No jasne - powiedział Koopstra.

- A gdzie zaopatrujesz się w towar? - spytał de Gier.

Koopstra przeszedł koło niego i umył twarz nad pojemnikiem z wodą, po czym wytarł się brudnym ręcznikiem.

- Dostaję swój towar za darmo - powiedział - jestem leczony. Codziennie stała dawka, ale teraz mi ją trochę zmniejszyli, żebym się odzwyczajał i to jest potworne. Nie wystarcza mi i będę musiał znowu latać.

- I dokąd wtedy pójdziesz? - spytał Grijpstra.

Koopstra popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Nie pyta pan chyba serio - powiedział. - Jeżeli panu powiem, to tak jakbym od razu skoczył do kanału, jak tamten facet, którego tu wyłowili parę tygodni temu. On też powiedział, gdzie się zaopatruje.

- Chcielibyśmy jednak wiedzieć - powiedział Grijpstra.

Koopstra patrzył na policjantów w milczeniu.

- Jest jeszcze ta martwa dziewczyna - powiedział de Gier - możemy cię zabrać i jakiś czas potrzymać, popatrzeć, czy sobie wtedy czegoś nie przypomnisz. Jeden tydzień w celi chyba cię nie urządza, co?

- Nic wtedy nie będę dostawał - wyraził obawę Koopstra.

- Dostaniesz jeść i pić - zapewnił de Gier. - Niejednemu to wystarcza.

- Pan mi grozi - powiedział Koopstra.

- Oczywiście - potwierdził Grijpstra przyjaźnie.

- Czy mają panowie przy sobie nakaz aresztowania?

- Jest niepotrzebny - powiedział de Gier - okoliczności są dość obciążające. Możemy cię potrzymać przez czterdzieści osiem godzin, a prokurator na pewno zechce to przedłużyć.

- Kurwa mać - powiedział Koopstra - co za fart. Wczoraj ta panna, w nocy samorząd dzielnicowy zawiadomił mnie, żebym w ciągu trzech dni stąd się wynosił, bo mi zatopią statek, a teraz wy.

- Powiesz czy nie? - spytał Grijpstra.

- Dobrze - powiedział Koopstra i drżącą ręką zapalił papierosa, którego podał mu de Gier. - Chodzę tu niedaleko, do sklepiku z towarami hinduskiego pochodzenia. Na Merelsteeg. Numeru nie znam. Tam jest trochę taniej i mnie

znają.

- To idziemy - powiedział Grijpstra. - Ty wejdiesz do sklepu i będziesz kupował. W tym momencie my wejdziemy i złapiemy tamtego na gorącym uczynku.

- Ani myślę. Facet za trzy dni będzie na wolności i już się postara, żeby mnie znaleźć. Z nożem. A ja jeszcze wolałbym pozostać cały.

De Gier złapał Koopstrę za chude barki i przycisnął do ziemi.

- Posłuchaj no, chłopczyku - powiedział cicho, prawie sycząc.  
- Pójdiesz tam albo cię zabierzemy ze sobą. Zamkniemy w celi, w której nie ma nic oprócz łóżka, przyśrubowanego do ściany, i drewnianej ławki do siedzenia. Dwa razy na dzień przyjdzie policjant i przyniesie ci jedzenie, ale nie będzie z tobą rozmawiał. Nie będziemy cię przesłuchiwać, nic nie będziemy robić, będziesz tam gnął w samotności. Tydzień, dwa tygodnie, co to nam szkodzi. Jak będziesz chciał, możesz zdrapywać paznokciem mury.

Koopstra nerwowo ssał papierosa. Spojrzał na Grijpstrę, który obojętnie odwzajemnił spojrzenie.

- Gestapo - powiedział Koopstra - w czasie wojny to musiało tak samo wyglądać. Co z was za ludzie.

Policjanci patrzyli na niego. Koopstra był jak zahipnotyzowany dwiema parami oczu.

- Przypominacie mi sępy.

Policjanci milczeli.

- O.K. - powiedział Koopstra i wstał.

Merelsteeg jest wąską uliczką; światło do niej prawie nie przenika. Mieszkańcy powystawiali na chodnik kwiatki, niektóre kamieniczki są pomalowane, ale ogólny obraz ulicy jest przygnębiający, beznadziejny, biedny. Większość domków grozi zawaleniem. W jednym z tych domów był sklep, którego szukali policjanci. Miał on niedużą wystawę, a na niej pstre szmatki i tanie wyroby z miedzi.

Koopstra wszedł do sklepu, policjanci zaczęli parę chwil i wpadli do środka. Plastikowa torebka była jeszcze w rękach sprzedawcy, a Koopstra wyciągnął rękę, żeby ją wziąć.

- Policja - powiedział Grijpstra. Błdy mężczyzna za kontuarem patrzył na niego z rezygnacją. W sklepie stało jeszcze dziecko i z zaplecza nadeszła kobieta.

- Mówiłam ci - powiedziała - to się musiało kiedyś stać.

- Zamknij dziób - powiedział mężczyzna, ale bez wściekłości w głosie.

De Gier przeszukał mężczyznę, a Grijpstra przejrzał sklep. W szufladzie pod ladą znalazł paczuszkę, a w niej osiem torebek z białym proszkiem. Grijpstra wsunął paczuszkę do kieszeni.

- Przeszukamy resztę? - spytał de Gier.

- My nie-zadzwoń, poczekamy na nich. Powiedz, niech przyślą dwóch, będą mogli wszystko przewrócić do góry nogami. Tymczasem porozmawiamy z tym panem.

- Proszę panów na górę - powiedziała kobieta.

- Mogę iść do domu? - spytał Koopstra.

- Idź - powiedział de Gier - ale kiedy zmienisz adres, to zawiadom nas przez telefon, w przeciwnym razie będziemy cię szukać. - Dał chłopakowi służbową wizytówkę.

Górny pokój był przytulny i czyściutki. Kobieta poczęstowała ich kawą.

- Dlaczego to robicie? - zapytał Grijpstra.

- Sklep nic nie daje - powiedział mężczyzna.

- Może pan chyba dostać zasiłek?

- Już dostaje - powiedziała kobieta - ale mu za mało. Zawsze czymś handlował. Ostrzegałam go. Jeżeli o mnie chodzi, to wcale tego nie potrzebowałam. Nie mogłam przez to spać.

- Skąd bierze pan towar? - spytał de Gier.

Mężczyzna milczał.

- No, powiedz - namawiała kobieta - niech to się skończy od razu. Mówiłam ci, że nie mogę tego znieść. Muszę przez ciebie chodzić do neurologa. Już wolę iść do pracy.

- Szorować na kolanach podłogi - powiedział mąż.

- Lepsze, niż to - odparła kobieta.

Przesłuchanie szło niesporo. Grijpstra musiał grozić, a de Gier znowu zaczął posykiwać. Kobieta pomagała. Wywiadowcy, którzy na dole przewracali sklep do góry nogami, też pomagali. Hałasowali i spróchniały domek trząsał



się za każdym razem, kiedy przesuwali coś ciężkiego.

W końcu mężczyzna uległ. Zaopatrywał się w heroinę w pewnym barze położonym przy bocznej uliczce przy Rembrandtplein. Tego wieczora miał iść po nową partię, podał rysopis swojego współnika.

Ale ślad się tu urywał. Nalot na bar tego wieczoru nic nie dał: policjanci zobaczyli tylko trochę zdumionych twarzy.

Ktoś ostrzegł właściciela, ktoś, kto widział wywiadowców, pracujących na Merelsteeg.

Przez cały dzień rozpracowywano adresy zgromadzone przez biuro dochodzeń. Akcją kierował nadinspektor i komisarz też się włączył. Pomoc szła ze wszystkich stron. Wywiadowcy poprzebierani za włóczęgów i hippisów czekali na przystankach, kryli się w krzakach po wszystkich parkach i. przeczesywali dzielnicę czerwonych świateł. Robiono łapanki w kawiarniach i klubach młodzieżowych. W biurach policji pilnie przesłuchiwano. Do polowania z nagonką włączono również policję mundurową. W innych miastach przeprowadzano podobną akcję. Następowaly aresztowania, konfiskowano to i owo, ale nie znaleziono żadnego powiązania z fundacją na Składowach Haarlemskich i żadnego przekonującego dowodu, na podstawie którego można byłoby zatrzymać Beuzekoma i Ringmę.

- Ech - powiedział de Gier, wspinając się na barowy stołek pewnej małej kawiarenki na Zeedijk. - Mistrzu, piwko!

Grijpstra siedział obok niego.

- Znowu nic? - zapytał.

- No, nie, coś tam zawsze jest. Drobnica, już jest w biurze. Ale nie dla nas.

- Nie mamy się czego spodziewać - powiedział Grijpstra.

De Gier spojrział na niego zdumiony i wytarł pianę z wąsów. - No to po cośmy zaczynali?

- Żeby zrobić trochę zamieszania - powiedział Grijpstra - ale we wszystkim, nie tylko w naszej branży. Ten, kogo szukamy, stoi poza kręgiem handlarzy i kombinatorów, jakich teraz wylapujemy. To gruba ryba, gość, który zaferował wielką

partię albo ją już sprzedał. Nikt go nie zna, jedynie Piet Verboom wiedział przypuszczalnie, kto to jest.

- Czemuś tego nie powiedział nadinspektorowi? - zapytał de Gier.

- A po co? - spytał z kolei Grijpstra. - Już od dawna nie zgrywam się na pilnego ucznia. A nasza sprawa się toczy. Jeszcze go znajdziemy, co się martwisz?

De Gier pokręcił zniechęcony głową.

- Nic mi się nie klei. Kupa podejrzanych, mnóstwo motywów, ale ani jednego dowodu. Piet był zbyt skryty. Jego własna żona nic nie wie, ludzie, z którymi współpracował, nic nie wiedzą.

Kiedy kurz, wzbity podczas akcji, już opadł, Grijpstra i de Gier siedzieli w biurze nadinspektora i patrzyli na siebie. Wśliznął się również komisarz.

- Nic - powiedział Grijpstra.

- Co to znaczy nic? - zaprotestował komisarz. - Znaleźliśmy wiele różności, rozwiązały się stare sprawy. Wasza sprawa nie jest jedyna.

Nadinspektor rozdzielił cygara.

- Ciężko jest przy takich upałach - powiedział. - Wracajcie do swoich zwykłych zajęć. Ja będę dłużej w tym dalej i dam wam znać, kiedy się czegoś dowiem.

- A Joachim de Kater? - zapytał Grijpstra. - Kiedy dzwonił do pana, jak był mecz, nic pan jeszcze nie mógł powiedzieć.

- Tak - posiedział nadinspektor - ten de Kater nie jest w porządku. Raz nie ma pieniędzy, innym razem ma, a skąd, tego nie chce powiedzieć.

Zaciągnął się cygarem. Funkcjonariusze patrzyli na niego z napięciem. Komisarz miał znudzoną minę.

- Świetny student - powiedział nadinspektor - ukończył studia w rekordowym czasie, częściowo jeszcze za okupacji. Nigdy nie aresztowany przez Niemców, ale zawsze kręcił się w knajpach śródmieścia. Nieudowodniona kolaboracja, nie

licząc tego, że miał wytwórnę talku i dostarczał go armii okupacyjnej, ale w końcu musiał z czegoś żyć. Po wojnie pracował w różnych kancelariach rewidenckich i potem otworzył własną. Nigdy nie miał wielu klientów, ale pożyczał pieniądze od swojej matki. Bardzo bogatej. W czasie wojny był z nią skłócony, ale kiedy się pogodzili, prawie przestał działać. Miał kłopoty z gildią z powodu stałego zadłużenia, ale w końcu spłacił długi i skończyło się tylko na upomnieniu. Nigdy nie był skreślony. Obecnie ma kilku stałych klientów i jego docho

dy szacuje się na pięćdziesiąt tysięcy rocznie, to nie jest dużo jak na kogoś o jego pozycji.

Żyje na poziomie, droga kancelaria, drogi dom. Intensywnie się udziela towarzysko. Płaci wysokie alimenty byłej żonie i opłaca kosztą studiów swojej córki. Nie ma stałej przyjaciółki, ale co jakiś czas podrywa coś w klubie nocnym.

- To kosztuje - powiedział de Gier.

Nadinspektor pokiwał energicznie głową.

- To kosztuje kilkaset guldenów za noc, a na to go nie stać, jeśli się zna jego dochody.

- W zeszłym tygodniu zapłacił młodej pani Verboom sto tysięcy za dom - powiedział de Gier.

Komisarz uniósł swoją drobną głowę.

- Czy pan utrzymuje bliższe stosunki z młodą panią Verboom, panie de Gier? - zapytał komisarz.

De Gier milczał.

Milczenie przedłużało się i Grijpstra zaczął się robić niespokojny.

- To jest właściwie moja wina - powiedział Grijpstra. - To ja poprosiłem de Giera, żeby nieoficjalnie umówił się z panią Verboom. Myślałem, że lżej się jej będzie mówiło w swobodniejszej atmosferze.

- Aha - powiedział nadinspektor - to dlatego widzieliśmy de Giera w samochodzie obserwacyjnym.

- W towarzystwie pani Verboom - dodał komisarz. - Z raportu Grijpstry pamiętam, że poprosiliśmy panią Verboom o tymczasowe pozostanie w kraju. Ale teraz to już nie jest konieczne. Może wracać do Paryża.

- Tak - powiedział nadinspektor - możemy to już jej chyba

powiedzieć. A kiedy już będzie w Paryżu, de Gier znów będzie mógł się trochę lepiej koncentrować.

- Tak - powiedział de Gier.

- Mówi pan to z nieukrywaną ulgą - powiedział komisarz. - Nie będzie panu przykro, jeżeli ona odjedzie?

De Gier drapał się po kolanie.

- Ona chciała, żebym się pozbył kota - powiedział ze skargą w głosie.

Nadinspektor i komisarz zaczęli rechotać, a Grijpstra po próbie opanowania się, przyłączył się do nich.

De Gier patrzył zmieszany.

- Tak - powiedział komisarz, wycierając sobie łzy z oczu - to było dobre. Ale nie przesadzajmy. Trochę rozumiem uczucia wachmistrza, ja też mam kota.

- Ja mam psa - powiedział nadinspektor - jego też nie oddałbym z powodu kobiety. Ale do rzeczy. Sednem sprawy są te pieniądze, o których powiedział de Gier. Pan de Kater był u mnie i oświadczył, że nie są to jego pieniądze. Że działa w imieniu pewnego dawcy, który życzy sobie pozostać nieznany. Pan de Kater nie jest głupim człowiekiem.

- Pan ma go na oku - stwierdził zadowolony Grijpstra.

- Mam go wręcz pod lupą - powiedział nadinspektor. - I inspekcja podatkowa też przystąpiła do dzieła. Za kilka dni będziemy znać wszystkie liczby i będziemy prawdopodobnie mogli dowieść, że pan de Kater wydaje trzy razy więcej, niż zarabia. Paru waszych kolegów zbierze trochę innych danych. Ale to dotyczy jego dochodów. Nie widziałem żadnego związku z waszą sprawą, dlatego was wcześniej nie informowałem. Tamte sto tysięcy, jakie pani Verboom otrzymała od de Katera, a z których zostanie jej tylko połowa, mają pochodzić od pewnej spółki amerykańskiej, wykupującej domy na Składach Haarlemskich, żeby w swoim czasie urządzić tam hotel - tyleśmy w końcu wydusili od de Katera, ale nie mamy nazwy tej spółki. To mogą być równie dobrze jego pieniądze, a on nie może ich posiadać, zgodnie z tym, co nam wiadomo. Mimo wszystko nie jest to mocna sprawa, nie możemy go solidnie przesłuchać, nie mówiąc już o

zatrzymaniu.

Policjanci wstali. Komisarz uniósł rękę, jakby im chciał pomachać, ale rozmyślił się.

Pół godziny później policjanci znowu jechali przez miasto, w drodze do hurtowni aparatury elektrycznej. Jakiś dyrektor przyłapał na sprzeniewierzeniu swojego głównego dystrybutora.

### 13

Minęło trzy tygodnie, odkąd policjanci zobaczyli starannie ubranego trupa Pieta Verbooma, wiszącego u sufitu. Była sobota po południu, lato miało się ku końcowi, ale było ciepło. Funkcjonariusze śledczy, zajmujący się sprawą Verbooma, nie mieli służby, ale dwaj oficerowie i dwaj podoficerowie Amsterdamskiej Policji Miejskiej wciąż byli pochłonięci nie zamkniętym dossier.

Komisarz leżał w parzącej kąpieli; to było ostatnie lekarstwo, jakie znał, żeby pozbyć się rżnącego bólu w swoich starczych nogach. Pocił się i myślał. Zbyt długo służył miastu, żeby czuć się sfrustrowanym. Szeregował fakty i szperał w przypuszczeniach. Postanowił znowu trochę przycisnąć nadinspektora.

Nadinspektor w niebieskim dresie biegł przez Lasek Amsterdamski. Nadinspektor też się pocił. Ochota, żeby gdzieś usiąść i zapalić cygaro, zaczynała być nieodparta.

Wybrnął zawierając ze sobą umowę: jeszcze raz dookoła stawu a potem cygaro. I żeby dać radę jeszcze jednemu okrażeniu, myślał biegnąc o sprawie Verbooma. Ta sprawa zaczynała być jego obsesją, trup wisiał wciąż na stryczku. Miewał już nocne koszmary, po których budził się z krzykiem i zlany potem.

Grijpstra stał z wędką, oparty o balustradę mostu na początku Looiersgracht. Spławik się poruszył, a on tego nie

zauważył. Ta sprawa ciągnęła się za długo. Był przekonany, że zna wszystkie fakty i dysponuje wystarczającym materiałem, żeby zatrzymać właściwego podejrzanego. To, że nie mógł tego zrobić, musiało być spowodowane jego błędem. Grijpstra znał swoje możliwości. Wiedział, że nie jest szczególnie inteligentny. W szkole średniej miał duże kłopoty, a w szkole policyjnej musiał co wieczór wkuwać, żeby przebrnąć przez wszystkie zaliczenia i egzaminy. Ale wiedział i to, że dużo się nauczył, może nie tyle w tamtej szkole, co podczas przemierzania tysięcy kilometrów na piechotę przez miasto. Wiedział też, że ma dobrą pamięć i umiejętność prawie całkowitego skoncentrowania się.

I oto po raz któryś z kolei zmusił swoje myśli do powrotu do tamtej chwili, kiedy stał przed drzwiami domu przy Haarlemmer Houttuinen 5 i czekał, aż de Gier naciśnie dzwonek.

De Gier stał na balkonie z Olivierem na rękach i zaglądał do skrzynki z bodziszkiem. Zastanawiał się, czy powinien wyrwać czy oszczędzić chwaścik, który zaczął tam rosnać. Wychylił się, a Olivier zaprotestował wysuwając dwadzieścia pazurów.

De Gier postawił kota ostrożnie i obejrzał zielsko na nowo. Na łodydze delikatnej roślinki widać było jasnozielone prążki.

Ładne, pomyślał de Gier i zabrał rękę.

Po chwili zapomniał o otoczeniu. Jego oczy utkwione były w otwartej przestrzeni między blokami.

Chwaścik był nowym zjawiskiem w jego świecie, nowym faktem. Niósł ze sobą nowe myśli. A bardzo ich potrzebował. Szczególnie w sprawie Verbooma. Materiał faktograficzny był kompletny, rozwiązanie powinno dać się wydestylować z tego materiału. Wykryształować z gęstej zawiesiny raportów i protokołów.

Ech, pomyślał de Gier, bo wiedział, co go czeka. Znał swój niepokój. Mógł postawić krzyżyk na tej wolnej sobocie. Teraz będzie musiał coś zrobić. Podeszedł do telefonu.

- Łapie ryby, panie de Gier - powiedziała pani Grijpstra - ale on nie chodzi daleko, na pewno tu gdzieś jest, pójdź go poszukać?

- Nie, dziękuję pani, ja go znajdę.

De Gier ubrał marynarkę.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Grijpstra. Spokojna sylwetka de Giera stała już całą minutę koło niego.

- Nic, panie sierżancie - powiedział de Gier - patrzę sobie na wodę, czy to już też może jest zabronione?

- Potrzebny ci jestem?

De Gier nic nie powiedział.

- Potrzebny ci jestem, bobyś inaczej tu nie sterczał. Wysłali cię?

- Nie - powiedział de Gier.

Grijpstra znowu patrzył na spławik.

Cisza trwała następną minutę.

- No dobrze - powiedział Grijpstra i zwinął wędkę - i tak w tej zupie nie ma ślepej rybki. Mów.

- Nie daje mi to spokoju - powiedział de Gier.

Grijpstra zaczął się śmiać z głębi swojej szerokiej piersi.

- Jesteś przepracowany, drogi chłopcze. Znasz receptę: pigułki i do psychiatry. Miesiąc urlopu specjalnego. A my za ciebie zrobimy robotę.

Szli teraz obok siebie i de Gier niósł rozłożoną na części wędkę.

- Nie jestem przepracowany - powiedział de Gier - ale chętnie bym wziął miesiąc urlopu. Ale najpierw muszę się dowiedzieć, kto powiesił Verbooma na tej belce.

- Powinieneś już wiedzieć - powiedział Grijpstra.

- Ty też.

- Ja też. Ale nie wiem. A przecież już musieliśmy mieć w rękach wskazówkę. Ty ją miałeś i ja ją miałem, ale nie zauważyliśmy tego. I przeleciało, poleciało.

- Tak, tak, tak, tak... - powiedział de Gier i powtarzał to „tak” do chwili, aż Grijpstra wstawił wędkę za drzwi i znowu ruszyli.

- Dokąd idziemy? - spytał Grijpstra.

- Przejdźmy się kawałek - powiedział de Gier - zajrzyjmy jeszcze raz na Składy Haarlemskie, może dostaniemy natchnienia.

Szli wzdłuż Prinsengracht, w kierunku przeciwnym do ruchu,

nie ryzykując w ten sposób życiem. Przed nimi jechała na rowerze kobieta, też pod prąd, wyraźne wykroczenie. De Gier zdenerwował się, bo pamiętał czasy, kiedy policja dawała jeszcze mandaty za takie przewinienia. Przypomniał sobie, jakby to było wczoraj, jak piętnaście lat temu po raz pierwszy miał służbę na mieście. Był dumny ze swoich dwóch belek i odznaki, którą nadkomisarz przypiął mu osobiście do munduru na lewą pierś, odznakę z mieczem. Bez tej odznaki policjant nie jest funkcjonariuszem, tylko popychadłem, uczniakiem, rekrutem bez prawa udziału w dochodzeniach. Ale wtedy nie był już kimś takim, już mógł wszystko. I zobaczył kobietę, jadącą na rowerze w kierunku przeciwnym do ruchu. Natychmiast nastroszył się, wypiął pierś, ścisnął pośladki i podniósł prawą rękę. Gesty policjanta na służbie są zawsze nadmiernie dobitne, obywatele nie mogą mieć cienia wątpliwości, że funkcjonariusz broni ich przed nimi samymi.

- Stać.

I kobieta zatrzymała się.

Nie mógł w to po prostu uwierzyć. Ta kobieta zatrzymała się, ponieważ on, de Gier, tego chciał. W dodatku była ładna.

I wypisał jej mandat, i grzecznie poszła piechotą prowadząc rower.

Władza, władza wykonawcza, to jest jednak coś, a on nosił odznakę, która dowodziła, że tę władzę ma. Wówczas nosił też małą szabelkę.

Ale teraz czuł się podle. Szedł z trudem, z powodu upału od wielu dni dokuczały mu stopy i chodził w sandałach, skórzanych łapciach, bardzo luźnych, i musiał stale uważać, żeby mu nie spadły.

Grijpstra szedł spokojnie obok niego i rozglądał się po okolicy.

Grijpstra czuł się względnie zadowolony. Wszystko lepsze niż siedzenie w domu, ryby nie szły mu dziś rano. Wolał się ruszać i to raczej w kierunku, który' by go oddalał od jego piętra na Lijnbaansgracht. Miał dość kamieni nerkowych żony i widoku najstarszego syna, który nie chciał chodzić do szkoły, a swoje kieszonkowe najwyraźniej uzupełniał handlem częściami



rowerowymi, które nie mogły nie być kradzione.

Grijpstra patrzył na wąską kamieniczkę, gdzie odnalazł przed paroma tygodniami chłopaka, który kradł rowery.

Bał się wtedy, że ślad może poprowadzić do jego własnego syna.

- Oho - powiedział de Gier.

Grijpstra spojrział we wskazanym kierunku.

Kobieta, która powoli pedałowiała przed nimi, była dość skąpo odziana, tylko w szorty i coś w rodzaju szala, czym okręcone były jej huśtające się piersi. Dwaj mężczyźni, którzy pracowali po godzinach przy rozładunku ciężarówki, nie mogli sobie odmówić takiej okazji, i wyszli naprzeciw kobiecie, szeroko rozstawiając ręce do łapania.

Kobieta, która akurat przemierzała .wyboisty odcinek jezdni, przestraszyła się» zrobiła nieprawidłowy ruch i przewróciła się z rowerem. Szal spadł, biustonosz pod nim okazał się przezroczysty. Mężczyźni, rozochoceni rezultatem swojego przedsięwzięcia, podbiegli do niej i pod pozorem pomagania zaczęli ją obmacywać. Kobieta odpowiedziała wrzaskiem. Wiecznie obecni przechodnie otoczyli scenę i wypowiadali swoje uwagi. Kobieta płakała przeraźliwie i pokazywała na mężczyznę, który ją złapał.

Jaki wysportowany pan wymierzył cios wskazanemu. Koleżka nowej ofiary ruszył na pomoc.

- Oj, ludzie - powiedział Grijpstra i pomaszerował do budki telefonicznej. Minimalnie się spóźnił. Stara damulka ubiegła go o pierś. Grijpstra zatrzymał ją.

- Policja, przepraszam.

Damulka odepchnęła go parasolką.

- Czekać - powiedziała i wśliznęła się do kabiny.

Grijpstra pociągnął drzwi.

- Precz stąd! - zapisała damulka - Policja! Wszyscy ostatnio tak mówią. Poczekać się nie chce.

Grijpstra poczekał. Rozmowa trwała dwie minuty. Bójka była w pełnym toku, kiedy wreszcie miał słuchawkę w dłoni.

- Bójka - powiedział Grijpstra - róg Prinsengracht i Runstraat. Pierwsze oko już podbite.

- Dasz sobie radę? - zapytał głos.

Grijpstra zachichotał, chciał zadzwonić jako obywatel, ale rozpoznali go po głosie.

- Jestem z policji kryminalnej, kolego - powiedział Grijpstra - to jest sprawa dla mundurowych, niech też mają coś do roboty.

- Robi się - powiedział ochryply głos.

Grijpstra odwiesił słuchawkę.

Znowu zaczął się przyglądać. Potyczka zwiększyła nieco zasięg, ciosy wymieniało już czterech mężczyzn, obserwatorzy zrobili większe kółko. De Gier pozostał na placu boju i z zainteresowaniem śledził każdy ruch.

Policja nie nadjeżdżała. Jeden z ludzi był już pobity do krwi i padł na ziemię. Napastnik ani myślał na tym poprzestać.

- Dostyc - zawołał de Gier - policja! - i zrzucił sandały.

Nikt nie przestał. Rozjuszony zabijaka zamierzył się, żeby zdzielić de Giera kopniakiem, ale doskoczył Grijpstra, złapał go za nogę i pchnął ją jeszcze bardziej w górę. Napastnik fiknął kozła na plecy.

De Gier zwinął się w pól, bo czubeczkiem łokcia stuknął się o drzwi zaparkowanego samochodu i zdrętwiała mu z bólu cała ręka.

- Spokojnie - powiedział jakiś głos i otoczyło go czyjeś ramię. De Gier spojrzał zdziwiony, za nim stał nieznajomy człowiek w kasku.

- No, już, proszę ze mną - powiedział następny głos.

De Gier i mężczyzna w kasku podnieśli wzrok. Nowy głos należał do funkcjonariusza w mundurze.

- Nie, nie - powiedział de Gier - ten pan nic mi nie zrobił. Przeciwnie, pomógł mi.

- Przepraszam - powiedział policjant - myślałem, że chciał cię przewrócić do tyłu.

- Nie - powiedział de Gier - zabierzcie tego, tego, tego i tamtego, co siedzi pod ścianą. Dostał już za swoje, ale musicie go zabrać. A tamta goła babka była powodem wszystkiego, też ją możesz zabrać. Jak nie będzie sobie tak żałować na ubranie, to w przyszłości będzie miała mniej kłopotów.

- Daj spokój - powiedział funkcjonariusz - to już pięcioro.

Jeszcze ktoś?

- Pięcioro wystarczy - powiedział de Gier.

- To trzeba zadzwonić po mikrobus - powiedział policjant. - Przyjedziesz zaraz do biura, żeby podpisać protokół?

- Za pół godzinki - powiedział de Gier - najpierw muszę się napić piwa. I to miał być mój wolny dzień.

Przyjechał mikrobus i zaraz odjechał, a Grijpstra, de Gier i mężczyzna w kasku pozostali na cichej ulicy.

- Czy mogę zaprosić panów na piwo? - spytał nieznajomy.

Znaleźli cichą kawiarenkę i stanęli przy bufecie. Ich nowy przyjaciel zdjął kask.

- Trzy piwa. - A do policjantów: - Zaraz wracam. Muszę postawić swój motor jak należy, żeby mi go nie przewrócili.

- Już tu nie przyjdzie - powiedział Grijpstra.

- Przyjdzie - powiedział de Gier. - Ma chyba trzy guldeny i wygląda mi na miłego człowieka.

Przez okno kawiarni zobaczyli mężczyznę, pchającego z trudnością motocykl i ustawiającego go na nóżkach przed oknem.

- Znana marka - powiedział Grijpstra.

- Ten sam model - dodał de Gier.

Kiedy mężczyzna wrócił, policjanci natychmiast zaczęli wypytywać o motocykl.

- Piękny ma pan motor.

- Nie ma piękniejszego - powiedział mężczyzna i wypił duszkiem swoją szklankę - ale cięższych też. Jak się go przepchnie dziesięć metrów, to potem trzeba wypić litr piwa, żeby przyjść do siebie. Ale harleye takie już są, na to nie ma siły.

- Harley Davidson - powiedział zamyślony de Gier - chyba z 1945 roku.

- Starszy - powiedział mężczyzna - mój jest z czterdziestego trzeciego. Jeszcze ich kilka jeździ, ale starzeją się, to normalne. Coś tam szwankuje i odgłos nie najładniejszy, ale nie chcę się go pozbywać.

- Sam go pan podreperował? - zapytał Grijpstra.

- Sam.

- Jeszcze trzy piwa - powiedział Grijpstra i usiadł wygodnie na barowym stołku.

- Trzeba się narobić, co? - zapytał.

- Od groma - powiedział mężczyzna - i nigdy się nie przestaje dłużyć. Ale jak się chce go tak całkiem wyszykować, to człowiek musi wyłożyć furę pieniędzy.

- No a ile jest taki motor wart? - spytał de Gier.

- Dużo, proszę pana, dużo więcej, niż pan myśli. Jak się chce kupić grata, to trzeba mieć pięćset guldenów, a jak się chce przy nim trochę pomajstrować, to trzeba dać jeszcze tysiąc. I wtedy się ma to, co ja mam. Wygląda przyzwoicie, ale pierwszy lepszy motorzysta cię prześcignie. I potwornie chłają benzynę.

- No, a jeżeli się go chce mieć w idealnym stanie? - Spytał Grijpstra.

- Sześć tysięcy guldenów - powiedział mężczyzna. - Wtedy trzeba kupić nowe części, to jest możliwe, bo fabryka w Ameryce ma jeszcze wszystko na składzie. I trzeba to dać do złożenia. Jak się go samemu złoży, to wypadnie może z tysiąc mniej, ale to wszystko. Pięć - sześć tysięcy, taniej nie da rady.

De Gier poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

- A to składanie? Czy można samemu?

- Ja mogę - powiedział chłopak - ale to jest mój zawód. Jestem monterem, co prawda samochodowym, ale przy motorze też umiem popracować. Ale to jest szalenie precyzyjna robota, ustawianie zaworów itede. Ja do swojego brałem fachowca, on też wziął parę setek. Ale on wie, za co bierze pieniądze. Ten facet z tego się utrzymuje.

- To ciekawe - powiedział Grijpstra. - Mam kolegę, który ma starego harleya. Dam mu nazwisko tego specjalisty. Jak on się nazywa?

- O - powiedział mężczyzna - ten kolega na pewno będzie go znał. Seket, na Bloemgracht. Każdy, kto ma harleya, wcześniej czy później musi trafić do Seketa.

- Dzięki - powiedział Grijpstra.

- Seket - powtórzył mężczyzna jeszcze raz - Loe Seket. Starusieńki już. Przy końcu Bloemgracht na prawo. Ma wywieszkę, na której jest napisane „Harley” i bombowy afisz.

Dwie gołe babki na harleyu. Trudno przegapić.

Mężczyzna się rozgadał, ale de Gier spojrział na zegarek.

- Na nas już pora - czekają w biurze. Dzięki za piwo, to drugie na mój rachunek.

- Nie, nie - zaprotestował mężczyzna - jesteście gliny, nic nie możecie zarobić na boku. A ja dopiero co miałem dobrą fuchę. Ja zapłacę.

- Dziękujemy - powiedział Grijpstra i zsunął się ze stołka.

- Ten człowiek zataja część swoich dochodów - powiedział de Gier na ulicy.

- Tak - przyznał Grijpstra - to jest zabronione. Ale ładnie opowiadał, nie uważasz?

- Najpierw do biura - powiedział de Gier — a potem co koń wyskoczy na Bloemgracht. Miejmy nadzieję, że ten Seket pracuje w soboty.

- Jeżeli nie pracuje - powiedział Grijpstra z niezwykłym u niego podnieceniem - to znajdę go jeszcze dzisiaj, choćbym miał go wyłuskiwać z tłumu nad Stawem Loosdrechckim.

- Może pojechał na weekend na wyspy, na przykład na Schiermonnikoog?

- Jest prom.

- Ostatni odplynie ci przed nosem, następnym jutro.

- Helikopterem marynarki wojennej! - krzyknął Grijpstra i wyrównał krok.

Było późne popołudnie, kiedy doszli do końca Bloemgracht.

Grijpstra zadzwonił.

De Gier oglądał afisz na wystawie. Przedstawione były dwie nagie dziewczyny, zwrócone ku sobie. Jedna siedziała na siodełku polakierowanego na wojskowy kolor harleya, a druga na baku. Nagość dziewczyn podkreślona była faktem, że obie nosiły wysokie czarne buty. Patrzyły na siebie z lubieżnym uśmiechem, a dziewczyna na baku odchyłona była do tyłu i miała w półotwarte usta.

Lesbijki w transie - pomyślał de Gier.

Przyjrzał się im jeszcze raz.

Nie, pomyślał, zwyczajne dziewczyny. Lubią facetów, ale robią, co im każe obleśny fotograf. Wstręciuch. Ale widoczek

owszem.

- Napatrzyłeś się? - zapytał Grijpstra.

- Tak - powiedział de Gier - nie otwierają?

- Zamknięte na weekend - powiedział Grijpstra.

- Schiermonnikoog - zaproponował de Gier.

- Nie popadajmy od razu w rozpacz - powiedział Grijpstra i zadzwonił do sąsiednich drzwi.

- On mieszka nad swoją firmą, zobacz.

Teraz drzwi się otworzyły.

- O co chodzi? - spytał gruby człowieczek w zasmarowanym kombinezonie. - Właśnie skończyłem pracę. Idę na obiad. Jeżeli chodzi o naprawę motoru, to przyjdźcie w poniedziałek.

- Jesteśmy z policji, proszę pana.

- Nie mam żadnych wiadomości dla policji.

- Tylko jedna informacja - powiedział Grijpstra.

Seket wyszedł przede drzwi i spoglądał nieufnie na policjantów.

- Tajniaki? Nie lubię tajniaków.

Policjanci milczeli.

- No? To o co chodzi? Na pewno nie o kradzież motoru. Harleyów nigdy nie kradną, za trudno to uruchomić.

- Jak to? - spytał de Gier, którego poczucie logiki zostało urażone. - Jeżeli się już umie jeździć na harleyu, to chyba żaden problem uruchomić innego?

Seket zaśmiał się.

- To znaczy, że pan nie jeździł na harleyu. Gdyby pan jeździł, toby pan wiedział, że oni od siebie nie kradną. To jest osobna grupa, taki jakby klub, bractwo, wie pan. Oni od siebie nie kradną.

- Dobrze - zgodził się de Gier - idealista z pana. Bardzo ładnie z pana strony. Ale przychodzimy tylko zapytać, czy pan zmontował białego harleya niejakiemu Van Me terenowi.

- A jakże - powiedział Seket - ponad rok temu. Najpiękniejsza moja robota, żywa reklama. Sto razy piękniejszy niż te nowe modele, to są lodówki na kółkach. Liberator to jest najpiękniejszy harley, a ten od Jana Van Meterena, to najpiękniejszy Liberator, jakiego w życiu zobaczycie. Czy coś

się stało?

- Ile on za niego zapłacił? - zapytał Grijpstra.

- Dużo - powiedział Seket - bardzo dużo. Ale składałem go tygodniami, wszystkie części były nowe.

- Ile? - spytał de Gier.

- Sześć tysięcy dwieście guldenów.

- Gotówką?

- U mnie wszystko jest gotówką.

De Gier milczał.

- Czy nie powinienem był tego mówić? - spytał Seket. - Pewnie go pakuję w jakąś kabałę, co? Ja też nie wiedziałem, skąd on na to ma. Myślałem, że zaoszczędził.

Grijpstra spojrział na wystawę. To był naprawdę ładny afisz. Zastanawiał się, dlaczego nagie kobiety i motocykle tak do siebie pasują!

- No cóż - powiedział Seket drapiąc się po ramieniu - to nie moja sprawa.

- Otóż to - powiedział de Gier - i proszę go nie ostrzegać, bo będzie pan współwinnym. Przez kilka dni ani słowa nikomu, możliwe, że przyjedziemy po zeznania.

Seket nic nie powiedział.

- Czy mogę od pana zadzwonić? - spytał jeszcze Grijpstra.

- Mamy go, panie inspektorze - powiedział Grijpstra do nadinspektora, który z zapytym tchem słuchał relacji.

- Macie podejrzenie - powiedział na koniec nadinspektor.

- Bardzo mocne - powiedział Grijpstra.

- Ale jeszcze go musicie złapać - powiedział nadinspektor - a to nie jest amator. Dam wam posiłki.

- Lepiej nie, panie inspektorze - powiedział Grijpstra.

- Dowiemy się, gdzie mieszka, i przyprowadzimy go. Damy sobie radę we dwóch.

- W każdym razie zadzwoń do mnie wieczorem - powiedział nadinspektor.

Grijpstra odłożył słuchawkę i spojrział na de Giera.

- Do boju - powiedział de Gier.

- Jaki jest ten nowy adres Van Meterena? - spytał Grijpstra, gdy wsiedli do swojego samochodu na dziedzińcu Biura Głównego.

- Nie wiem - odparł de Gier.

- Jak mam to rozumieć? Musisz przecież wiedzieć. Masz go zapisany w notesie.

- Tak - powiedział de Gier - ale mój notes jest w innej marynarce. Dzisiaj jest sobota.

- Co ma z tym wspólnego sobota?

- W soboty - wytłumaczył de Gier - noszę przeważnie inną marynarkę. Tę, którą widzisz. Starą sztruksową marynareczkę. A ona ma za małą wewnętrzną kieszeń i nie mieści się w niej notes. Więc go zostawiam w domu.

- No nie - powiedział Grijpstra - to absurdalne. Zawsze jakieś głupstwo musi utrudniać człowiekowi życie. Jakby ono nie było już dosyć trudne. Co teraz zrobimy?

- Zajrzymy do twojego notesu - powiedział de Gier - bardzo proste.

Przez chwilę nic się nie działo. Siedzieli w samochodzie. De Gier uruchomił silnik. Silnik nie pracował regularnie. Zawory, pomyślał de Gier, a dopiero co był przegląd!

- No? - spytał de Gier.

- Mój notes - powiedział Grijpstra - znajduje się w domu. W drugiej marynarce, jak podejrzewam, albo w szufladzie mojej szafki nocnej. Kiedy idę na ryby, ubieram zawsze kurtkę, a w kurtce nie mam kieszeni.

De Gier wyłączył silnik.

- Zaraz wracam - powiedział.

Constanze odebrała sama.

- To ty! - zawołała - czekałam na ciebie. - Jej głos brzmiał zmysłowo.

- Tak - powiedział de Gier - to znaczy nie.



- Więc tak czy nie?

- Nie wiem - powiedział de Gier. - Masz może nowy adres Van Meterena? Dzwonił do mnie niedawno, że się przeprowadził, i zapisałem adres, ale zostawiłem notes w domu.

Nastąpiła cisza.

- Przypominam sobie, że mieszka przy Brouwersgracht, ale nie mogę sobie przypomnieć numeru - powiedział de Gier.

- Dlaczego miałabym znać jego adres? - spytała Constanze. Jej głos nie brzmiał już zmysłowo.

- Myślałem, że ci może powiedział, gdzie mieszka.

- Dlaczego miałby to zrobić? - spytała Constanze chłodno. - Czy znowu mnie przesłuchujesz? Przecież ci powiedziałam, że nic między nami nie było.

- Ach, nie - powiedział de Gier - wcale cię nie przesłuchuję. Chcę tylko mieć jego adres. Przepraszam, że ci zawracam głowę.

- Zaczekaj - powiedziała pośpiesznie Constanze - chyba nie chcesz mi powiedzieć, że się dzisiaj nie zobaczymy? Nie chcesz, żebym wieczorem do ciebie przysłała?

- Nie - powiedział de Gier - dzisiaj wieczorem nie. Nie mogę. Muszę coś załatwić. Pracuję.

- Oczywiście nie musisz - powiedziała Constanze lodowatym tonem.

- Nie, nie. To znaczy chodzi mi o to, że tak, oczywiście. Ale później. Po niedzieli. Może być po niedzieli?

- Zorientuj się najpierw, o co ci naprawdę chodzi - powiedziała Constanze i odłożyła słuchawkę.

- Hej! - krzyknął de Gier, ale w słuchawce rozległ się tylko sygnał o dwu tonach.

- Psiakrew - powiedział de Gier.

Popędził do samochodu.

- I dowiedziałeś się? - spytał Grijpstra.

- Nie. Jedziemy do ciebie, jest bliżej.

- No - powiedział Grijpstra - to mamy adres. Czy jesteśmy gotowi? Masz broń?

- Mam - powiedział de Gier i postukał w kaburę - ale nie

potrzebujemy broni.

Grijpstra był innego zdania, ale nic nie powiedział. Pomyślał o Papuasach, których znał w Indonezji w armii holenderskiej. Oni nigdy by się ot, tak nie poddali. Pokręcił głową. Pomyślał o wieczorze, kiedy muzykowali z Van Meterenem i usłyszał głębokie hipnotyczne, prawie warczące tony bębna. Może to przez ten osobliwy kontakt, jaki nawiązali z Van Meterenem... A może nie.

- Ty wiesz, jak myśli Papuas?

- Nie - powiedział de Gier - a ty wiesz, jak myślą Japończycy?

Volkswagen stanął. Byli na Keizersgracht i droga była zatarasowana olbrzymim luksusowym autokarem, zaparkowanym przed hotelem. Z autokaru wysypywali się Japończycy, mężczyźni w niebieskich blezerach i szarych wąskich spodniach, upodobnieni do siebie jeszcze przez skórzane paski aparatów fotograficznych i światłomierze, kobiety zaś i dziewczyny w kimonach z szerokimi barwnymi pasami w talii.

De Gier zrobił się czerwony na twarzy.

- Sto tysięcy Japończyków. Widziałeś kiedy tylu Japończyków w Amsterdamie? Przecież oni nie mogli się zmieścić wszyscy w tym autobusie, tam musi być gdzieś przy drzwiach maszyna. Maszyna do wyrobu Japończyków. No, zobacz. Jeszcze jeden i znów jeden, a teraz jeszcze dwóch.

Grijpstra patrzył.

- Zgaś motor - powiedział - zanieczyszczasz atmosferę spalinami. I tak chwilowo nie możemy jechać.

Z autokaru wyszła filigranowa dziewczyna. De Gier uśmiechnął się do niej. Właściwie to nie był uśmiech, tylko pokazanie zębów. Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem i skłoniła się leciutkim, wdzięcznym ukłonikiem.

- Co za śliczna biała szyjka - powiedział Grijpstra - i jaka grzeczna panienska. Jeżeli wszystkie są takie, to jeszcze trochę mogą poczekać.

- Tak - przyznał de Gier - miła dziewczyna.

- Na uprzejmość nie ma mocnych - powiedział Grijpstra.

Trwało jeszcze pięć minut, nim strumień Japończyków wysechł. Kierowca uruchomił ciężki dieslowski silnik i pojazd

ruszył. Kichnęły zwolnione hamulce pneumatyczne.

- Wio, koniku - powiedział Grijpstra.

Na następnym skrzyżowaniu zastali czerwone światło. Na jeszcze następnym też.

- One wszystkie są czerwone - stwierdził de Gier, ale zanim mogli sprawdzić jego prognozę, upłynęło trochę czasu. Zatrzymało ich zderzenie taksówki z wozem dostawczym. Taksówka miała wgnieciony nos, a obaj kierowcy już zwijali dłonie w pięści.

Grijpstra westchnął i wysiadł. Spróbował porozmawiać z kierowcami, ale za bardzo byli zajęci sobą. Grijpstra musiał westchnąć jeszcze raz.

- Policja - powiedział. - Proszę odstawić samochody na bok i przepuścić nas.

- Aha - powiedział kierowca taksówki - bardzo dobrze, przyjechał pan jak na zawołanie. Może pan zaraz spisać raport, dobrze?

Grijpstra zadał przepisowe pytania i zanotował odpowiedzi w notesie. Minęło sześć minut.

De Gier znowu włączył silnik, czuł się nadzwyczaj spokojny. Zapalił papierosa i przyglądał się mewom, pływającym w kanale.

- Kto miał rację? - spytał, gdy Grijpstra usiadł z powrotem koło niego.

- Bo ja wiem? - powiedział Grijpstra - dostawca mówi, że taksówkarz go najechał z tyłu, a taksówkarz mówi, że to on stał, a tamten się cofnął. Nikt nie chciał być świadkiem.

- No dobrze, ale co ty o tym myślisz?

Grijpstra spojrział w bok i poruszył brwiami w górę i w dół.

- Co się z tobą dzieje? Odkąd to policja myśli? Prokurator myśli, sędzia myśli, a my tylko zapisujemy, co zauważymy.

- Niech będzie - zgodził się de Gier - ale co zapiszemy, kiedy zatrzymamy Van Meterena?

- Wszystko zależy od tego, co on powie - powiedział Grijpstra i skierował głowę na wprost.

- Oczywiście nic nie powie - powiedział de Gier - sam był za długo w policji. A jak coś powie, to na pewno nie będzie to

przyznanie się do winy. Kiedy go zatrzymamy, pójdzie z nami spokojnie i będzie oczekiwał, że mu damy przyzwoitą celę. Na tyle ma do nas zaufania. A potem możemy go sobie przesłuchiwać. On jest spokojny człowiek, ma czas. Ma więcej czasu niż my.

- Hola, hola - powiedział Grijpstra - no a jak wyjaśni zakup drogiego motocykla? I fakt, że nas okłamał? Harley miał go rzekomo kosztować kilka setek, a my możemy udowodnić, że zapłacił około sześciu tysięcy i to gotówką. Skąd ją wziął?

- Znalazł.

- No pewnie. W swojej kieszeni, do której mu je włożył Verboom. Uczciwie zarobione na handlu narkotykami.

- To są nasze podejrzenia. Już nieraz to i owo podejrzewaliśmy, a podejrzany nie zobaczył na oczy sędziego. Przypominasz sobie?

- Owszem - powiedział Grijpstra - ja wszystko rozumiem. Ale tym razem to inna sprawa. Tym razem prokurator będzie po naszej stronie. Możemy trzymać Van Meterena miesiącami, jeżeli zechcemy. Gdzieś musi mieć furę pieniędzy.

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy? - spytał de Gier.

- Brouwersgracht - powiedział Grijpstra - numer 57. Parkuj. Zaparkowali volkswagena tuż za motocyklem Van Meterena, który lśnił sobie spokojnie w świetle latarni.

Grijpstra spojrział w górę.

- Wysoki dom - powiedział - bardzo wysoki. A on mieszka na najwyższym piętrze. Powiedział tak, kiedy do mnie dzwonił. Pali się u niego.

- Podejrzewałeś go? - spytał de Gier.

- No jasne - powiedział Grijpstra - od samego początku. Ale potem zacząłem wątpić, bo nie rozumiałem motywu. I polubiłem go, do tej pory go zresztą lubię. Musiał być dobrym policjantem. Pracowity człowiek, absolutnie godny zaufania. Wydaje mi się, że nadinspektor też go podejrzewa. A ty co myślałeś?

- Podejrzewałem go - powiedział de Gier. - W to samobójstwo właściwie nie wierzyłem. Verboom wyglądał zbyt porządnie. Uczesane włosy, zadbany wąsik. Nawet wypomadowany.

Czyściutki, elegancki pan w świeżej koszuli. Samobójcy wyglądają inaczej, niedbalej, wręcz brudno. Przestają się golić i zaniedbują wszystko. I dopiero jak przeżyją jakiś czas w tym paskudnym stanie, robią z tym koniec. Pokój był też wysprzątnany.

- A czy myślałeś, że to Van Meteren go zamordował?

- Przypominasz sobie ten stryczek? - odpowiedział pytaniem de Gier.

- Tak. Ten stryczek. - Grijpstra rytmicznie kiwał głową w zamyśleniu, tak że podbródek pokazywał się i znikał na zmianę. - Ten stryczek powinien być zrobić inaczej. To był profesjonalny węzeł, coś takiego potrafią robić marynarze albo żołnierze frontowi. A w dodatku opowiedział nam, że wiązał sznurem więźniów na Nowej Gwinei. Ty też to słyszałeś?

- Tak - powiedział de Gier - zapomniał, że kiedy tego słuchaliśmy, byliśmy jego przeciwnikami. Uważał nas za kolegów, z którymi można mówić wspólnym językiem. Między nami policjantami. I właściwie ja też uważam go za kolegę. Właściwie to wcale go nie chcę zatrzymywać.

- Ilu żołnierzy indonezyjskich mógł zabić na Nowej Gwinei? - spytał Grijpstra.

- To była jego praca. W praworządny sposób pełnił swoją służbę. Stał na straży prawa.

- Tak, tak - powiedział Grijpstra - mamy wspaniałe prawa. I piękną służbę.

- Chodźmy - powiedział de Gier.

Stali na wąskim bruku północnej strony Brouwersgracht i znowu patrzyli w górę.

- Dom marnie wygląda - powiedział de Gier - już go podpierali. Wchodźmy po schodach ostrożnie, żeby się nie zawalił.

W portyku de Gier odciągnął zamek w swoim pistolecie i zajrzał do komory nabojoyej. Miedziana łuska pocisku zaślniła w świetle latami, stojącej za nim. Grijpstra wahał się, ale też przeladował swoją broń.

Grijpstra zaczął mamrotać.

- Hm? - zapytał de Gier.
- Dzwon - powiedział Grijpstra.
- Dlaczego zawsze ja? Wtedy w fundacji też ja musiałem dzwonić.
- Jestem przesądny - powiedział Grijpstra - no, dzwon wreszcie.

De Gier przycisnął zwietrzały guzik, a jednocześnie czytał liczne tabliczki z nazwiskami, poprzykręcane do spróchniałej futryny.

Jedną przeczytał na głos: Nelly de Jong - Hans de Graaf.

- Żyj ą na kocią łapę - powiedział Grijpstra - taka teraz moda. Młodzi kochani ludzie, którzy silą się na nowoczesność. Ale i tak się ze sobą kłóca. Nie da się dzielić z kimś pokoju, w którym piszczy bieda.

De Gier przeczytał jeszcze jedną tabliczkę, emaliowaną płytkę, zardzewiałą na rogach.

- F. Bastiaanse. - Pismo było zamaszyste.

- To staruszek - powiedział Grijpstra - czeka na miejsce w domu starców. Jest inwalidą, a mieszka na czwartym piętrze. Czasem siusia do łóżka, ale nikomu to nie przeszkadza.

De Gier chciał coś powiedzieć, ale sznurek odciągnął zasuwkę i drzwi się otworzyły. Zaczęli wspinać się na schody.

Na piątym piętrze Grijpstra zatrzymał się, zaczęło go kłuć w boku i oparł się o wątlą drewnianą ściankę.

- Prawie już jesteśmy - pocieszył go de Gier.

- To dobrze —powiedział Grijpstra. - Robię się za stary do tej pracy.

- Nonsens - sprzeciwił się de Gier i zaczął ostatni etap.

Van Meteren wyszedł im naprzeciw.

- Jak to miło - powiedział - przychodźcie mnie odwiedzić? Trafiliście w dziesiątkę, mam w domu piwo. Zimne piwo, czy może jesteście na służbie? To nie jest dobry wieczór na służbę, za gorąco, za parno.

- Nie jesteśmy-na służbie - powiedział de Gier - przechodziliśmy akurat i zobaczyliśmy, że się u ciebie świeci.

- Pięknie, to napijecie się piwa.

Van Meteren wskazał fotel i Grijpstra wdzięczny osunął się nań całym ciężarem.

- Ostrożnie - ostrzegwał Van Meteren - on nie jest w najlepszym stanie. Main go ze śmietnika, ładnie wygląda, ale nie jest zbyt mocny.

- Niegłupio mieszkaś - powiedział de Gier.

- Prawda? To jest właściwie lepsze niż Haarlemmer Houttuinen, jest ładny widok, można stąd oglądać dwa kanały i dach po drugiej stronie. Zachodnia Wieża ładnie stąd wygląda, tylko tu trochę za wysoko. Siedem zakrętów po schodach robi swoje.

- Zdarza ci się o czymś zapomnieć? - spytał de Gier-to znaczy: dowlokłeś się nareszcie na górę, a nagle sobie przypominasz, że jeszcze o czymś zapomniałeś.

Van Meteren roześmiał się.

- Nie dalej jak dzisiaj. Kupiłem paczkę tytoniu, a kiedy byłem na górze, zauważyłem, że nie mam bibułki, a jak już miałem, to nigdzie nie mogłem doszukać się zapalek, a wieczny płomyk w kuchennym grzejniku też w dodatku zgasł.

Grijpstra i de Gier zaczęli się śmiać i Van Meteren patrzył na nich zadowolony. Miał opuszczony wygląd, kiedy zobaczyli go na schodach, ale teraz jego zamknięta twarz zaczęła się rozluźniać.

- Piwo - powiedział Van Meteren - zaraz wam przyniosę z kuchni. Po południu wstawiłem do lodówki, powinno być w sam raz.

Znikł w wąskich drzwiach w głębi pokoju, a policjanci rozglądali się po mieszkaniu. Ściany były pomalowane na biało, tak jak w fundacji, i rozpoznali niektóre przedmioty. Czaszka dzikiej świni zajmowała honorowe miejsce na ścianie i Van Meteren zawiesił też półki, na których umieścił swój zbiór kamieni. De Gier obejrzał wielką mapę wodnego obszaru Ijsselmeer, która zajmowała połowę ściany. Grijpstra spoglądał na bęben z dżungli, który stał w kącie pokoju. Na wyszorowanym do białości stole leżało, kilka książek. De Gier przejrzał je pobieżnie. Historia. „Rozejm dwunastoletni”.

„Powstanie roku 1830”.

- No - powiedział Van Meteren - proszę. Siadaj, de Gier.

De Gier usiadł, blisko drzwi. Podejrzany nie mógł mieć wolnej drogi do drzwi, a już nigdy, jeżeli ma być zatrzymany. Albo już jest.

Grijpstra nie myślał jeszcze o rychłej konfrontacji. Pogrążył się w obserwacji drewnianego kręgu, plastra z grubego drzewa. Krąg wisiał na ścianie i był pociągnięty czerwoną farbą, spod której jakby wystawały zziarnienia przekroju. Grijpstra chciał popatrzeć na coś innego, ale ten czerwony kolor fascynował go. Po plecach przeszedł mu dreszcz. Znowu stanęła mu przed oczami dziewicza dżungla tropikalna w Indonezji i usłyszał odgłosy nocy, które go niegdyś tak osaczały, kiedy był na patrolu i w każdym szeleście podejrzewał skradającego się śmiertelnego wroga.

Van Meteren postawił piwo i wrócił do kuchni.

Muszę go zaraz zapytać, czy ma jeszcze swój karabin, pomyślał de Gier i przypomniało mu się, że nie zadzwonił do zbrojowni, żeby sprawdzić, czy Van Meteren oddał karabin w celu zagwoźdżenia lufy aluminiowym stopem.

- Może ma jeszcze swój karabin - powiedział do Grijpstry.

- To już nie szkodzi - odparł Grijpstra - przecież i tak go nie użyje.

- Uważaj, jak zaraz z nim tu wpadnie...

- Coś ty - powiedział Grijpstra.

De Gier wstał i otworzył trzecie drzwi pokoju. Prowadziły do małej sypialenki. Poczul się uspokojony, jedyna droga ucieczki prowadziła przez drzwi wejściowe. Do kuchni już zaglądał, kiedy Van Meteren był tam po piwo, kuchnia nie miała balkonu. Okna pokoju głównego były otwarte na oścież, ale znajdowali się na siódmej kondygnacji, Van Meteren nie miał którędy uciec.

Van Meteren wrócił z talerzem pełnym sera.

- Zdrowie.

Trzej mężczyźni podnieśli do góry szklanki.

Grijpstra wypił swoje piwo duszkiem i postawił szklankę ostrożnie na stoliku. Van Meteren znów ją napełnił.



- Przykro mi, Van Meteren - powiedział Grijpstra - może nie powinienem był przyjmować tego poczęstunku, ale tak mi się chciało pić. Nie przyszliśmy do ciebie dzisiaj jako przyjaciele.

Wyrzwał przez okno.

- Widzisz, musimy cię zatrzymać.

De Gier wstał i stanął przy drzwiach. Rękę wsunął pod marynarkę, trzymał ją na kilka centymetrów od kolby pistoletu.

- Zatrzymać? - spytał Van Meteren. Uśmiech, z jakim powitał swoich przyjaciół, był wciąż jeszcze widoczny, ale kąciki ust zaczęły opadać, a na jego szerokiej twarzy zaczął malować się wyraz prawdziwego smutku, przykrego rozczarowania.

- Tak - powiedział Grijpstra - jesteś podejrzany o morderstwo.

- Dlaczego? - zapytał cicho Van Meteren.

- Seket - powiedział de Gier.

- A!

De Gier odskoczył na bok, ale było z& późno. Nic już nie widział, piwo ze szklanki Van Meterena zalało mu oczy.

W tej samej chwili fotel Grijpstry zapadł się, kopnięty przez Van Meterena, który wiedział, gdzie jest najsłabszy punkt starego mebla, i nie musiał nawet mocno kopnąć.

Ręka Grijpstry, w drodze po broń, musiała podeprzeć przewracające się ciało.

Kiedy de Gier wytarł piwo z oczu i znowu widział, choć jeszcze niewyraźnie, był w pokoju sam z Grijpstrą.

Grijpstra wyglądał przez okno.

- Wielkie nieba - powiedział z podziwem.

De Gier odsunął go trochę na bok i też wychylił się przez okno.

Trzy piętra niżej zobaczyli Van Meterena. Zjeżdżał w dół po linie, zwisającej z urządzenia blokowego ponad głowami i poza zasięgiem rąk policjantów. Van Meteren musiał się znowu czuć jak w górach Nowej Gwinei. Jeszcze jeden zamaszty odskok i stał na ulicy, ale policjanci już na to nie czekali.

De Gier był pierwszy na dworze, raczej spadł ze schodów niż z nich zbiegł. Grijpstra tupał jeszcze gdzieś około trzeciego

piętra.

Van Meteren odjeżdżał, bez pośpiechu, krawężnik jest tam dość wysoki, a resory harleya mają ograniczoną wytrzymałość, dopiero na jezdni dodał gazu.

De Gier patrzył za nim. Nawet nie wydobył pistoletu, był za duży ruch, szansa, że trafi Van Meterena, była zbyt mała, a niebezpieczeństwo trafienia kogoś innego zbyt wielkie.

Chwilę potrwało, nim otworzył drzwi samochodu i wezwał Biuro Główne. Głos Sientje przekazywał zlecenie jakiemuś patrolowi na Damraku i de Gier nie przerywał.

Podał swój numer.

- Już słucham - powiedziała Sientje.

- Białe motocykl Harley Davidson ucieka po Brouwersgracht w kierunku wschodnim, w tej chwili prawdopodobnie jest na mostku nad Singlem. Motocyklista jest podejrzany o dokonanie morderstwa. Niebezpieczny, przypuszczalnie uzbrojony. Mały, ciemny mężczyzna. Kolorowy. Znak rejestracyjny Victorie Ferdinand 17-72. Pożądane zatrzymanie. Over.

- Zrozumiałam, koniec - powiedziała Sientje.

Usłyszał, jak powtarza wiadomość.

Wezwał ją jeszcze raz.

- Już słucham - odezwała się Sientje, uprzejmie i akuratnie jak zawsze.

- Jedziemy za nim - powiedział de Gier. - Ile masz dla nas samochodów do pomocy?

- Jeden - odpowiedziała Sientje - na Prins Hendrikkade. Reszta jest zajęta, ale mam już na linii biuro Amsterdam-Północ, a tam powinni mieć przynajmniej jeden samochód w pogotowiu. Ogłoszę to jeszcze kilka razy, może gdzieś złapię jakiś radiowóz.

- Zawiadom też Policję Państwową - powiedział de Gier.

- Tak, zrobiłabym to. Koniec.

De Gier zarumienił się.

Grijpstra siedział już obok niego.

- No?

- Już jedziemy - powiedział de Gier. - Pojechał na wschód, ale

już może być wszędzie. Może zawrócić w Haarlemmerstraat.

- Ta ulica jest zamknięta - powiedział Grijpstra - konserwują kanały kanalizacyjne czy coś takiego, ulica jest fachowo rozkopana. Ale może jedzie chodnikiem. Czy popadł w panikę?

- Skądże. To doskonały policjant. Powinieneś być go widzieć, jak odjeżdżał.

- No? Więc jak odjeżdżał?

- Jakby się wybierał z wizytą. Spokojniutko, a specjalnie kiedy zjeżdżał z krawężnika; bał się, że za wysoko.

- Ha - powiedział Grijpstra.

- Co robimy? - spytał de Gier. - Na prawo, czy rozejrzemy się po kanałach?

- Na prawo. Na ulicach nad kanałami za bardzo rzucałby się w oczy na tym białym motorze. Musi wyjechać z miasta. Zna kraj jak własną kieszeń, jeździ po nim w każdy weekend. Jedź na Prins Hendrikkade, on pojedzie albo przez tunel pod Ijem, albo pojedzie w kierunku Amersfoortu. Tam powinno się kręcić trochę patroli, może ktoś go zobaczy.

De Gier. pokręcił głową.

- Dlaczego miałby go ktoś zauważyć? Jedzie spokojnie i akuratnie będzie się zatrzymywał na światłach, jeszcze kiedy będą żółte.

- Biały harley to jest biały słoń w mieście, a policjanci nie są ślepi. Gdyby mieli szukać małego citroena albo garbusa, to co innego, ale harley...

Rozległ się głos Sientje.

- Wasz motocykl jedzie przez tunel pod Ijem. Ściga go karetka z syreną.

- Aha - powiedział Grijpstra - widziałeś?

- Szkoda, że my nie mamy syreny - zauważył de Gier, kiedy dodał gazu i przejechał na czerwonym świetle. Dwa samochody zatrąbiły ze zgorzaniem i jakiś kierowca postukał się w czoło.

- Spokojnie - powiedział Grijpstra - ja mam dzieci.

- A ja kota - nie pozostał mu dłużny de Gier.

Volkswagen dał nura w tunel, a Grijpstra zamknął oczy,

nie lubił tuneli. De Gier przyhamował. W tunelu był duży

ruch. Radio ucichło.

- Hej - odezwał się de Gier i Grijpstra otworzył oczy.

- Sientje - powiedział de Gier - wywołuje nas.

Grijpstra wziął do ręki mikrofon.

- Byliście w tunelu? - spytała Sientje.

- Tak - powiedział Grijpstra - mają go?

- Nie, zgubili.

- Gdzie?

- W ptasiej dzielnicy. Wjechał w ulicę Jastrzębi i musi tam dalej jeździć. Karetka szuka go jeszcze'. Już sobie wgnietli karoserię.

- Też tam jedziemy - powiedział Grijpstra.

De Gier zatrzymał się na ulicy Kukulek.

- Co ty wyprawiasz? - spytał Grijpstra.

- To nie ma sensu - powiedział de Gier - możemy tu sobie jeździć po tych zakichanych uliczkach i też zaraz na coś wpadniemy. Gdzie on może być? Słyszysz go?

Grijpstra wysiadł z samochodu i słuchał. W okolicy panowała cisza, ciężkiego gulgotu harleya nie było słycać.

- Mapa - powiedział Grijpstra wsiadając do samochodu.

- Mapa - powtórzył de Gier - masz na myśli mapę u niego w pokoju. Ijsselmeer. Powinien mieć w takim razie łódź. Po co by mu była taka mapa? To jest żeglarska mapa, z bojami i zaznaczonymi mieliznami, i w ogóle rzecz dla zawodowca.

- Ale gdzie on ją może mieć, tę łódź? - zadał pytanie Grijpstra.

- Blisko.

- Masz nadzieję - powiedział Grijpstra i zapalił papierosa.

- Monnikendam - zaproponował de Gier.

- Albo Hoorn, albo Enkhuizen, albo Medemblik.

- Nie, Monnikendam. Tam bym miał przystań, gdybym był Van Meterenem.

- Możemy zapytać Sientje - powiedział Grijpstra. - Sientje może zadzwonić do nadinspektora, on kazał śledzić Van Meterena.

- Daj sobie spokój - powiedział de Gier - stracony czas. Van Meteren wiedział, że jest śledzony. Nie mógł korzystać z łodzi ostatnimi czasy. Wiedział, że jeżeli dojdziemy do tego, że ma

pieniądze, zatrzymamy go, bo nie mógł mieć pieniędzy. Nie bez powodu wyskoczył przez okno, kiedy powiedziałem „Seket”. Jeżeli znamy Seketa, to wiemy, że kupił motocykl za duże pieniądze. Gdybyśmy go zatrzymali, mógłby miesiącami siedzieć w areszcie śledczym, choćby nie wiem jak się wszystkiego wypierał. Tych pieniędzy nie mógłby wytłumaczyć.

- Zgoda, zgoda - powiedział Grijpstra - te pieniądze łączyły go z Pietem Verboomem i handlem narkotykami. I gdzieś w tej płataninie musi tkwić powód, dla którego zamordował Pieta. Zgoda. Musiał schować jego własność, ale ta łódź nie powinna być daleko.

- Może już na niej jest. Na Ijsselmeer nie znajdziemy go tak prędko i nie wiemy, co to za łódź. To lepszy pojazd niż motocykl, którego jutro może szukać cała policja w Holandii i każdy człowiek w służbie państwowej. Jeżeli jest zręczny, nie pozostanie długo na tej łodzi. W dowolnym miejscu może zejść na ląd.

Grijpstra pokręcił głową.

- Nie?

- Nie. Ten motor to biały słoń, a sam Van Meteren to czarny słoń. Rzuca się w oczy. Mały kolorowy, tyłu kolorowych nie ma w końcu w Holandii. Raczej powinien jakiś czas pozostać na łodzi, aż poszukiwania ustaną.

Grijpstra ujął mikrofon.

- Podejrzewamy, że ma łódź na Ijssselemeer. Jedziemy teraz do Monnikendam. Możesz zawiadomić Państwową Policję Wodną?

- Zrobi się - powiedziała Sientje - pomyślnych łowów. Koniec.

- I to jest koniec Sientje - powiedział de Gier - jeszcze trochę i już nas nie usłyszysz.

- No, jedź już - powiedział Grijpstra.

Pojechali. W przystani Monnikendam niczego się nie dowiedzieli. Pojechali trochę dalej małymi grobelkami wzdłuż wody. Znowu nic. Zawrócili. Nikogo nie spotkali po drodze, nie było kogo zapytać, aż wreszcie zobaczyli jakiegoś mężczyznę w łodzi, w jachcie z kajutą, przycumowanym do

wąskiego pomostu. De Gier wyciągnął pistolet, ale schował go z powrotem.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór - odpowiedział mężczyzna, wysoki, mniej więcej trzydziestoletni blondyn w prążkowanej koszulce.

- Jesteśmy z policji - powiedział de Gier - szukamy małego ciemnego mężczyzny na białym motocyklu. Widział go pan?

- Tak - powiedział mężczyzna - motor stoi tam, za żywopłotem. A wasz człowiek jest już na wodzie. W kutrze. Odpłynął jakąś godzinę temu.

Mężczyzna wskazał kierunek.

- Wspaniale - ucieszył się Grijpstra - czy pan go zna?

- Nie za bardzo - powiedział mężczyzna - ale ten kuter zawsze tu stoi, kawałeczek dalej przy tym pomoście. Dzierżawimy miejsca od tego samego chłopca. A on i ja jesteśmy jedynymi, którzy tu cumują.

- Ten człowiek jest podejrzany o morderstwo - oznajmił de Gier. - Czy moglibyśmy pożyczyć pańską łódź?

Mężczyzna roześmiał się. - Dobrze, ale razem ze mną.

- Ja potrafię obsługiwać łódź - powiedział de Gier - nasz przyjaciel jest niebezpieczny.

- Nie szkodzi - odparł mężczyzna. - Czy mogę się przedstawić? Jestem Van Runau. Byłem sierżantem w komandosach, może się panom przydam.

- Jedziemy - powiedział Grijpstra - wieje tutaj. Ma pan kawę na pokładzie?

- Bardzo proszę - Van Runau pomógł Grijpstrze wejść za burtę. De Gier wrócił do samochodu. Cudownie, myślał, jest karabin, naboje, reflektor, apteczka i cały ten kram, który nigdy nie jest nam potrzebny.

Obladowany wszedł na pokład.

- Karabin - powiedział Van Runau - to piękna broń, dobry byłem w niej kiedyś, ale już dawno nie strzelałem.

- I nie postrzela pan sobie - powiedział Grijpstra, który myszkował po kajucie. - Mój kolega od lat czeka na okazję, żeby użyć tego karabinu. Nie wydrze mu go pan z rąk.

- Nie muszę, nastrzelałem się w życiu.

Silnik zapalił i jacht odsunął się od pomostu.

- Przyjemna łódka - powiedział de Gier i postukał w burtę jachtu. - Stal. I silnik ładnie chodzi.

Van Runau stał blisko niego.

- To tylko taki jachcik przejazdzkowy. Pracuję w Zarządzie Robót Publicznych w Amsterdamie i pływam na nim w weekendy. Wziąłem na jutro wolne i dlatego chciałem już dzisiaj wypłynąć. Byłem na prywatce, chciałem tu spokojnie wytrzeźwieć.

- Nie wygląda pan na pijanego - powiedział de Gier.

- Siedem kieliszków starego zimnego jenevera to mniej więcej szczyt moich możliwości. Przeważnie piję nie więcej niż pięć, ale moja dziewczyna była jakaś na mnie zła. I nie chciała ze mną tu przyjechać.

- No i dobrze - powiedział de Gier.

Byli już na otwartej przestrzeni. Grijpstra zdołał zapalić kuchenkę gazową w kajucie i brząkał rondelkiem, filiżankami i pojemnikiem z kawą. De Gier siedział na burcie łodzi i moczył rękę w wodzie. Van Runau wyłączył silnik i nasłuchiwał.

- Słyszę go.

Policjanci też nadstawili uszu. Bardzo daleko było słychać ciężki warkot staroświeckiego diesla.

- Jest nieduży wiatr - powiedział Van Runau - a na wodzie głos niesie się daleko, ale i tak powinniśmy go szybko dosięgnąć, ten jego stary kuter nie jest szybki. Ale jest fajny, zawsze mu go zazdrościłem, mój jacht jest szybki, ale nie ma tej atmosferki.

- Policja Państwowa też go szuka - wyjaśnił de Gier - ale nie wie, czego ma właściwie szukać. Będą musieli zatrzymać każdy statek, jaki zobaczą, a to zabierze im masę czasu.

- Ile łodzi policja ma tutaj?

- Nie mam pojęcia - powiedział de Gier - może jedną, może dwie. Zdaje mi się, że jedną na Monnikendam a drugą na Hoom.

- To mogą długo szukać - powiedział Van Runau - szkoda, że nie mam radia. Będziemy musieli się sami z tym uporać. Czy on ma broń?

Grijpstra przyniósł na tacy trzy filiżanki kawy.

- Karabin Lee Enfield - powiedział Grijpstra.

- Co pan mówi? - zdumiał się Van Runau. - Skąd on to wytrzasnął? Przecież to cholernie niebezpieczna broń, a szczególnie tu, na wodzie, gdzie można idealnie mierzyć do celu. Z tym naszym karabinkiem nie mamy szans.

De Gier mieszał swoją kawę.

- Nigdy się tego nie nauczę - powiedział. - Wiedziałem, że on ma ten karabin i pozwoliłem mu go tyle czasu trzymać.

- Tak, tak - potwierdził Grijpstra - mili z nas goście.

- Opowiedzcie coś więcej - poprosił Van Runau

De Gier opowiedział. Van Runau słuchał z zainteresowaniem, co jakiś czas wyłączając motor, żeby określić położenie kutra. W końcu zaczęli go widzieć, czarną kreskę masztu i niską czarną sylwetkę na wodzie. Mały przecinek przy sterze musiał być Van Meterenem.

- Naboje pewnie ma na pokładzie, może całymi tuzinami - powiedział Van Runau - a w samym karabinie jest ich pewnie teraz pięć. Jeżeli zrobi to bez pośpiechu, to mu jeszcze dwa zostaną.

- Chcesz wracać? - spytał de Gier Grijpstrę.

Grijpstra dołał sobie kawy i patrzył przed siebie.

- Będzie niebezpiecznie - powiedział de Gier. - Jak się zbliżymy, będziemy wymarzoną celem. Możemy wrócić i zawiadomić Policję Państwową, gdzie on jest, albo zostaniemy poza zasięgiem strzału i czekajmy, aż nadleci samolot. Przed świtem powinniśmy go i tak dostać.

- Albo nie - powiedział Grijpstra - może podpłynąć do brzegu, wyskoczyć na ląd, wsiąść na motor i tyle go będziemy widzieć. Albo ukradnie samochód. Starczy mu sprytu. Nie, zostają. A ty chcesz wracać?

- Ja nie - zdecydował de Gier. - A pan?

- Ja też jestem ty - powiedział Van Runau - i też nie chcę wracać. To jest ciekawsze, niż kreślenie linii na mapie, mam nudne życie, mówiłem wam. Gdyby się zrobiło za gorąco, wyskoczę za burzę, pół centymetra wody nad głową to jest najlepsza tarcza, jaką ci może ofiarować Neptun, żadna kula



jej nie przebiję.

- No to naprzód - powiedział de Gier biorąc do ręki karabin. - Oddam strzał ostrzegawczy, a jeżeli on nie zatrzyma się, strzelam do niego. Z tej odległości mogę go trafić.

Van Meteren stał się wyraźną laleczką. Musiał już wiedzieć, że za nim płyną, jeżeli oni widzieli jego, on widział ich.

De Gier strzelił w powietrze.

Van Meteren pomachał im, ale płynął dalej.

De Gier wycelował. Zanim rozległ się strzał, Van Meteren padł, zaraz potem też usłyszeli świst kuli.

Van Meteren odpowiedział strzałem. To też był strzał ostrzegawczy, kula przeszła parę metrów nad ich głowami.

Grijpstra sprzątnął filiżanki do kajuty i nadbiegł ze swoim pistoletem. De Gier oddał swój pistolet Van Runau-owi i we trzech oddali chropawą salwę. Huk karabinu był nieco głośniejszy niż odgłosy pistoletów.

Odległość znacznie się zmniejszyła i łodzie płynęły sześćdziesiąt metrów jedna za drugą. Strzały karabinowe następowały teraz szybko po sobie, Van Meteren strzelał tak prędko, jak tylko nadążał odwodzić zamek i najwyraźniej nie potrzebował dużo czasu na ładowanie.

Van Runau i dwaj policjanci siedzieli w kucki blisko siebie.

- Halo - krzyknął Van Meteren.

- Tak? - to był Grijpstra, jego głos brzmiał spokojnie.

- Wstań - powiedział Van Meteren - chcę z tobą porozmawiać. Nie będę strzelał.

- Dobra myśl - Grijpstra wstał, de Gier i Van Runau poszli za jego przykładem.

- Mogę was łatwo trafić - krzyknął Van Meteren - i mam dosyć naboji, żeby wytrzymać tu cały dzień, więcej niż wy. Ale nie chcę was trafić. Odpłyńcie i zostawcie mnie.

- Nie da rady - odkrzyknął Grijpstra. Jego ciężki głos niósł się cichym powietrzem nad wodą. Nie musiał głośno krzyżeć.

- Jesteś podejrzany o morderstwo, Van Meteren. To jest najcięższa zbrodnia, jaką zna prawo. Poddaj się, bo nie przestaniemy cię ścigać. Jeżeli nas zabijesz albo postrzelisz, pogorszysz tylko swoją sytuację.

Van Meteren milczał. Karabin trzymał gotowy do strzału, tak samo de Gier.

- Nie wygłupiajcie się - krzyknął Van Meteren - strzelam prędzej i lepiej od was. Do tej pory strzelałem nad wami, ale teraz będę wam robił dziury w burcie.

- Poddaj się - krzyknął de Gier.

- Nie. Kryjcie się i przejdziecie jak najdalej na dziób. Stanę za wami i podziurawię wam jacht.

Van Runau i Grijpstra skryli się pierwsi; z pistoletem na sześćdziesiąt metrów nie mieli cienia szansy. De Gier strzelił raz, kucając, ale Van Meteren znikł, zanim de Gier nacisnął spust i kula przeleciała tuż nad ochronną boczną płytą na kutrze. Usłyszeli, jak kuter zaczyna okrążyć ich jacht.

- Uważajcie - krzyknął Van Meteren - nie schodźcie z dziobu. Usiądźcie na czymś.

Zobaczyli, jak na rufie powstają dziury, pięć z prawej strony, potem pyr-pyr-pyr dlesia i pięć z lewej. Strzały były dobrze odmierzone i dziury ułożyły się w kreskę tuż nad linią wody.

- Piękna robota - powiedział Van Runau - tym sposobem zaczniemy brać wodę, a już na pewno, jak się trochę podniesie wiatr. Z czerpakiem nikt nie nadąży. Zrobił nam normalne sito.

Van Meterenowi było tego mało. Dorobił jeszcze dziesięć dziur, niektóre łączyły się ze sobą tworząc rozdarcia.

- Amunicji mu rzeczywiście nie brakuje - stwierdził de Gier.

Silnik kutra znowu zaterkotał, Van Meteren odpłynął.

Nagle de Gier podskoczył, wynurzył się z kajuty, przyłożył karabinek do barku i wystrzelał cały magazynek. Ruch był tak nagły, że Van Meteren, który w jednym ręku trzymał karabin, a drugą obsługiwał ster, nie był w stanie skryć się.

- Trafiony? - spytał Grijpstra.

- Chyba tak - powiedział de Gier - pierwszym strzałem, ale nie zabiłem go, skrył się, a nie upadł.

- Prawdę mówiąc, to nie fair - powiedział Van Runau - nasz przyjaciel strzelał tylko do naszej łodzi, a my do niego.

De Gier nie odpowiedział, patrzył z białą twarzą na kuter, który zaczął skręcać wielkim łukiem i dalej spokojnie warczał.

- Jesteś trafiony, Van Meteren?  
Ścigany odpowiedział po paru sekundach.  
- W ramię. Poszło wierzchem. Leci krew.  
Grijpstra też wyszedł, woda sączyła się do jachtu.  
- Wracajcie do kajuty - powiedział de Gier.  
- Poddaj się, Van Meteren. Płyniemy do ciebie, mam bandaż.  
Silnik kutra ucichł.  
- Popłynę do niego - powiedział Van Runau i rozebrał się.  
Pięć minut później kuter stał bokiem do ich unieruchomionego jachtu. Van Runau był przy sterze. De Gier i Grijpstra przesiedli się.  
Van Meteren siedział oparty o ściankę kajuty. Trzymał się za lewe ramię, jego barankowa kurtka nasiąkała krwią.

## 15

De Gier spojrział przestraszony na swoją ofiarę, osadził sztywno karabin między dwoma słupkami cumowniczymi okręconymi liną, i trącił Grijpstrę.

- Trzymaj go na muszce.  
Potem ruszył łukiem ku siedzącemu.  
Chora małpka, pomyślał.  
- Bardzo słusznie - powiedział Van Meteren.  
- Co takiego? - zapytał zdziwiony de Gier.  
- Ze mnie trzymacie na muszce. Miałem kolegę na Nowej Gwinei, który kiedyś o tym zapomniał. Postrzeliliśmy pewnego Jawajczyka i łobuz siedział pod drzewem i krwawił. Mój kolega szedł do niego, żeby mu pomóc, a jak podszedł, to tamten strzelił mu prosto w głowę.

De Gier był już przy nim i przykucnął po stronie krwawiącego barku. Grijpstra stał niewzruszony koło steru z pistoletem w ręku. Van Runau przyniósł ze swego jachtu ubranie i ubierał się, pistolet de Giera leżał koło niego, daleko poza zasięgiem Van Meterena.

- Obszukaj mnie - powiedział Van Meteren.  
De Gier obmacał go ostrożnie. Wyczuł wzgórek pod lewą pachą.

- Mój rewolwer - powiedział Van Meteren - wyciągnij go, ale ostrożnie, wszystko mnie tam boli.

- Sorry — powiedział de Gier i wygrzebał rewolwer.

- Oprócz niego nic nie mam - powiedział Van Meteren.

- Powiniennem być prędzej się schylić, ale motor coś szwan-kował i to mnie rozproszyło. Ledwo mnie tknąłeś, chyba mam wyszarpięte ciało, ale kość powinna być cała. Często ćwiczysz na tym karabinie?

- Raz na dwa tygodnie, kiedyś częściej, kiedy byłem jeszcze w stowarzyszeniu strzeleckim.

- Masz tu nóż - powiedział Grijpstra i lewą ręką otworzył sztylet.

Van Meteren pokazał białe zdrowe zęby.

- Zakazana broń.

- O, tyle rzeczy nie wolno - powiedział Grijpstra.

De Gier wyciął otwór w kurtce Van Meterena i rozdarł znajdującą się pod spodem koszulę. Pogoń trwała dłużej niż sobie z tego zdawał sprawę. Było prawie wpół do piątej i widno jak w biały dzień.

Van Runau przyszedł też popatrzeć, Grijpstra schował pistolet do kabury.

- Szarpana - powiedział Van Runau - zaraz obandażuję, w wojsku robiłem kurs pierwszej pomocy.

- Dać ci coś na ból? - spytał de Gier.

Van Meteren skinął głową, szczekał zębami.

- To szok - powiedział Van Meteren - miałem coś takiego, kiedy dostałem nożem w plecy. Wracaliśmy z patrolu i byliśmy koło obozu, kiedy poczułem, że ktoś za mną idzie, ale zanim się odwróciłem, on już mnie pchnął nożem. Ostrze się ułamało, rana nie była głęboka, ale przez całą noc szczekałem zębami, jak kot, kiedy widzi ptaka, do którego nie może się dostać.

Van Runau dał mu tabletkę z apteczki, a Grijpstra przyniósł wody z kajuty.

Van Runau umocował bandaż zaciskiem.

- Możesz się położyć. Jak się nie będziesz wiercił, to nie powinno ci to bardzo dokuczać. Za jakieś dwie godziny będziemy w Monnikendam, wtedy zadzwonimy po pogotowie,

a może spotkamy Policję Wodną, oni mają radio.

- Co to była za pigułka? - spytał Van Meteren.

- Coś z opium - powiedział de Gier - takie pigułki prędko działają, jeszcze moment, a nic cię nie będzie obchodziło.

Van Meteren uśmiechnął się. Van Runau uruchomił silnik i stanął przy sterze. De Gier schował pistolet i wyjął magazynek z karabinu.

- Jeżeli chcecie coś zjeść albo się napić - powiedział Van Meteren - to proszę, mam wszystko. Mogłem tu wytrzymać parę miesięcy.

Przymknął oczy, ale zaraz je otworzył.

- Skąd właściwie wiedzieliście, że mam łódź? Od śmierci Pieta nie byłem tutaj i nikt nie wiedział, że ją kupiłem.

- Mapa Ijsselmeer w twoim pokoju - powiedział de Gier.

- No tak, zawsze na nią patrzyłem przed zaśnięciem. Znam ją na pamięć. Niebieski kolor działa uspokajająco, przynajmniej na mnie. Powinienem był ją zniszczyć, ale nie pomyślałem o tym.

- To znaleźlibyśmy coś innego - powiedział Grijpstra - zawsze coś się uda odkryć, jeżeli się będzie długo szukało. Seketa też znaleźliśmy przypadkiem.

- Jak? - spytał Van Meteren.

De Gier opowiedział. Van Meteren roześmiał się.

- Nie mogłem temu zapobiec.

- Toteż nie powiedziałem, że to jest twój błąd.

- Nie - powiedział Van Meteren - ale powinienem był opanować swoją zachłanność, tylko że ten motocykl jest taki piękny. Dobrze to zrobiliście, moje gratulacje. Bardzo bym chciał z wami współpracować.

- Nie bądź taki skromny - powiedział Grijpstra z kajuty - schwytaliśmy cię tylko dlatego, że dałeś się złapać, ale przecież mogłeś wystrzelać nas jak kaczki.

- Nie jestem mordercą - powiedział Van Meteren.

Zapadła bolesna cisza. Grijpstra chrobetał talerzami w kajucie.

- Skąd masz ten rewolwer? - spytał de Gier.

- Opowiem ci - powiedział Van Meteren - ale mógłbyś mi

podłożyć pod głowę poduszkę? W kajucie są dwie, przynieś mi może obie, będzie mi wygodniej mówić. A jak chcesz, rób od razu notatki, potem nie będziesz miał tyle roboty z protokołem.

- Sorry - powiedział de Gier. Grijpstra rzucił mu poduszki. Razem ułożyli Van Meterena możliwie najwygodniej na ławce.

- Tak lepiej?

- Dziękuję. Jeszcze tylko papierosa.

De Gier wetknął mu przypalonego papierosa między wargi.

- Znakomicie. Ten rewolwer kupiłem parę lat temu w Belgii. Marka Smith & Wesson, miałem taki na Nowej Gwinei. Tego Lee Enfielda przemycałem w swoim czasie, to już wiesz. Naboje do niego kupiłem też w Belgii. Jedyne rzecz, jakiej mi brakowało, to była maczeta, postradałem ją wtedy, a tu nigdzie nie mogłem takiej zdobyć.

- Nostalgia - powiedział Grijpstra.

- Tak to można nazwać. Na Nowej Gwinei byłem kimś. Miałem mundur, byłem uzbrojony, pełniłem funkcję. Służyłem królowej. Wy tu się czasem śmiejecie ze swojej królowej, ale dla nas na Nowej Gwinei była święta. Salutowaliśmy przed jej portretem. Mistyka korony. Kiedy zrezygnowało się z Nowej Gwinei, mogłem tylko wyjechać do Holandii. Ziemia usunęła mi się spod nóg. Myślałem, że mnie tu od was spotka uznanie. Miałem medale i papiery.

- Wachmistrz Van Meteren melduje się - powiedział de Gier.

- Właśnie. Wachmistrz Zamorskiej Policji Państwowej. To nie jest byle co. Ale okazało się, że to tyle co nic, zupełnie nic. Tak jak z tymi Molukańczykami, oni też są niczym, ale są przynajmniej razem. Ja byłem niczym i byłem sam.

- Tak ci się wydaje - powiedział de Gier - ale tak nie jest. Jesteś tu człowiekiem. Obywatelem. Holendrem, masz wszelkie prawa.

- Tak - zgodził się Van Meteren - emeryturę, jak dojdę do sześćdziesięciu pięciu lat. To prawda. A wy zaproponowaliście mi posadę w Hadze, urzędnika biurowego. To nie było nawet takie najgorsze. Lubię pisać. Na Nowej Gwinei przepisywałem

od nowa protokół, jeżeli zrobiłem chociaż jeden błąd. Ale tam mogłem też robić inne rzeczy. Tutaj nie.

- Ejże, ejże - powiedział Grijpstra.

Van Meteren poruszył ramieniem i twarz skrzywiła mu się z bólu.

- Dobrze, dobrze, opowiadam wam, co czułem. Teraz już nic nie czuję. Ale wtedy chciałem do policji, w moim poczuciu byłem jeszcze w policji. Jestem specjalistą od wszystkich broni, z erkaemem włącznie, umiem walczyć nożem, dużo ćwiczyłem judo. Znam na pamięć kodeks

- Mogłeś potem tam wrócić - powiedział de Gier.

- Myślałem o tym, ale nie miałem pieniędzy na bilet. Mogłem oszczędzać, ale wtedy tam bym nic nie miał. Chciałem wrócić z pieniędzmi.

Van Meteren usiadł, de Gier pchnął go lekko z powrotem na poduszki.

- Leż spokojnie, jak rana zacznie znowu krwawić, to ci się od tego nie polepszy.

- Tak - powiedział Van Meteren - podniecam się. Czy masz pojęcie, że kiedy poszedłem się zameldować w Hadze, to przypiąłem sobie wszystkie odznaczenia? A oni nawet nie spojrzeli.

- Co ci powiedzieli? - zapytał Grijpstra.

- Głupie wykręty. Byłem niby za stary, nie było miejsc. A ja nie miałem jeszcze trzydziestu lat. W gazetach było pełno ogłoszeń werbujących do policji, nikt nie chciał się zgłaszać, ale mnie absolutnie nie chcieli. Przecież nie byłem dla nich człowiekiem, byłem kanibalem z kolczykiem w nosie, który przy ognisku obgryza kość, po co im był ktoś taki.

- Znam wielu Indonezyjczyków w policji - powiedział de Gier.

- Ale nie Papuasów, ich nie ma w policji. Ani jednego.

- Kawy? - spytał Grijpstra i pomógł Van Meterenowi otoczywszy go ramieniem. Ranny wypił kawę.

- I wtedy trafiłeś do Amsterdamu?

- Tak, do policji drogowej. Znowu miałem czapkę i broń: pałkę.

De Gier chciał coś powiedzieć, ale Van Meteren powstrzymał

go dłonią.

- Dobry z ciebie chłopak, de Gier, ale nie spieraj się ze mną. Może masz rację, może powinienem był się tym zadowolić, ale nie mogłem. Pozwól, żebym wam teraz opowiedział resztę, dowiecie się tego, o co wam chodzi.

De Gier skinął głową.

- Byłem właściwie zadowolony. Haga przypominała mi cmentarz, cmentarz zaludniony cieniami. Nikt mnie nie widział, nikt ze mną nie rozmawiał. W Amsterdamie znowu odżyłem. W Amsterdamie ludzie ze sobą rozmawiają, nawet tak po prostu, na ulicy. A kiedy spotkałem Pieta, znowu poznałem trochę ludzi.

- Właśnie - powiedział Grijpstra. - Jak to było z Pietem? Co dla niego robiłeś?

- A jak myślisz? - spytał Van Meteren.

- Nie wiem. Pomagałeś mu w handlu haszyszem?

- Tak. Byłem jego ochroną. Piet był idealistą. Miał rozmaite teorie na temat narkotyków. Holandia jest hermetyczna, powiadał. A nadeszły czasy, kiedy świat trzeba otworzyć. Ludzie powinni poznać samych siebie, to umożliwiała mistyka, ale mistyka jest trudna. Narkotyki rozluźniają człowieka, po nich można głębiej wnikać w siebie. Do tego, zdaniem Pieta, był niezbędny haszysz. Jego Fundacja Hindystyczna nie miała dostatecznego powodzenia, tylko mała grupka chciała medytować. Gdyby mógł dostarczyć haszysz większej liczbie ludzi, to wielu z nich zapragnęłoby się więcej dowiedzieć, a wtedy pomogłaby im fundacja. Mądrość przychodzi ze Wschodu, haszysz też. Ale handel jest niebezpieczny, czasem się trzeba bić, a Piet się bał. Musiałem być zawsze przy nim.

- Ale nie odszedłeś z policji drogowej?

- Jasne, że nie. To była ciepła posadka na dzień, handlowało się wieczorami.

Van Meteren zaczął mówić wolniej, pigułka działała, zasychało mu w ustach. De Gier przypalił mu jeszcze jednego papierosa. Na wodzie było cicho, terkot motoru był spokojnym tłem rozmowy. Van Runau siedział rozluźniony u steru i słuchał. Stadko kaczek leciało nisko nad wodą. W dali było



widać linię brzegu.

- Pięknie tu, prawda? - powiedział Van Meteren. - Bardzo często leżałem w tej łodzi, czasami całymi dniami, kiedy miałem urlop albo w weekend. Tylko leżałem i patrzyłem. Na wodzie zawsze dobrze się czułem, ale nie można tak pływać bez celu w nieskończoność. Czasem płakałem tu ze szczęścia.

Policjanci zdjęli marynarki. Grijpstra leżał wyciągnięty na ławce naprzeciwko Van Meterena, de Gier siedział na drewnianej kracie na dnie łodzi, z wyciągniętymi nogami i głową opartą o ławkę.

Van Meteren spojrział na Van Runaua.

- Przykro mi, że zrujnowałem ci jacht.

- Nie szkodzi - powiedział Van Runau - dzisiaj go sprowadzę do przystani, powinno się udać, nawet jeżeli zatonął, tam nie jest głęboko. I mam na niego ubezpieczenie. Zresztą wiedziałem, że coś się może wydarzyć, zdecydowałem się dobrowolnie.

- I co potem? - podjął de Gier.

Van Meteren uśmiechnął się. - Chcesz zakończyć sprawę, co?

- Ostrożnie pomacał się po ramieniu.

- Da się wytrzymać?

- Tak, już nic nie czuję. To musi być dobra tabletką. Już opowiadam resztę. Piet dużo podróżował, znał daleki Wschód. Przedtem spotkał Pakistańczyków, którzy zaoferowali mu haszysz. Piet był dobrym kupcem. Zgromadził zapas i zaczął szukać klientów. Sam nie chciał sprzedawać bezpośrednio konsumentom, wtedy jest co prawda wyższy zysk, ale i ryzyko większe.

- I był idealistą - dodał Grijpstra.

- Tak mówił. Może w to sam wierzył. A może było na odwrót. Ponieważ chciał zarobić, wymyślał takie usprawiedliwienia.

- Dlatego go powiesiłeś - powiedział de Gier.

Van Meteren patrzył długo na de Gier a.

- Tak, dlatego go powiesiłem. Z haszyszem to było coś dopuszczalnego. Sam paliłem i to nie robi człowiekowi krzywdy. Nawet pomagałem mu w znajdowaniu klientów. Van Beuzekoma ja znalazłem, przypadkiem. Parkował samochód

na chodniku i dałem mu mandat. W jego samochodzie było pełno puszek. Ringma był też i zaczął się denerwować. Otworzyłem taką puszkę. Haszysz. Chcieli mnie przekupić, ale udałem, że nie rozumiem i wieczorem odwiedziłem ich, żeby nawiązać kontakt w imieniu Pieta. Kupili całą partię, jaką trzymał w piwnicy Piet, i zapłacili gotówką.

- Ile tego było? - spytał de Gier.

- Dużo. Ten Beuzekom trzyma w swoich rękach co najmniej trzecią część amsterdamskiego handlu haszyszem. Ma całą sieć pośredników i wszystko jest doskonale zorganizowane. A wtedy Beuzekom nie miał nowej dostawy, bo celnik odkrył wielką partię, która była przeznaczona dla niego, i akurat w tym momencie zjawilem się z propozycją Pieta, nie można było lepiej.

- Kto dawał na to pieniądze? - spytał de Gier.

- Piet nie miał pieniędzy — powiedział Van Meteren - w każdym razie nie tak dużo. Jego zakupy były finansowane przez Joachima de Katera, Piet osiągał na tym nie więcej niż trzydzieści procent zysku i zawsze natychmiast spłacał dług de Katerowi. Przy następnej transakcji znowu od niego pożyczał; a dopóki w domu były pieniądze albo haszysz, ja byłem strażnikiem. Brałem wtedy wolne dni z urlopu albo zgłaszałem chorobę. Przeważnie nie trwało to dłużej niż jeden dzień.

- Co z tego miałeś? - spytał Grijpstra.

- Nie tak wiele, pięćdziesiąt tysięcy przez dwa lata. Piet uzbierał trochę więcej. Chciał mi dawać mniej, ale w pewnym sensie miałem go w swojej władzy, beze mnie bał się zrobić kroku. Za te pieniądze kupiłem najpierw motocykl, a potem ten kuter, miałem zamiar uzbierać sto tysięcy i wrócić na Nową Gwineę.

- Z holenderskim paszportem? - spytał Grijpstra.

Van Meteren roześmiał się.

- Tutaj jestem zerem, ale na Nowej Gwinei wszystko jest do załatwienia. I nie zapominaj, że miałbym kupę forsy. Znalazłbym sobie jakąś ładną wyspę, miałem rozmaite plany. Całkiem dzikie. Wiecie, że tam można być jeszcze piratem, w długich czólnach z czterdziestoma wioślarzami? Mogłem tam

stworzyć małe królestwo.

- Król Habberdudas Pierwszy - powiedział de Gier. - Ale po co w takim razie czytałeś książki o historii Niderlandów?

- Z ciekawości - powiedział Van Meteren - mieszkam tutaj, to przecież muszę wiedzieć, gdzie mieszkam, nie? Skąd to się wszystko wzięło? Studiowałem wasze metody, tak jak je opisują w waszych własnych podręcznikach historii. No i czasem miałem zamiar tu pozostać.

- Ile zarobił na tym Piet? - spytał Grijpstra.

- Więcej niż ja, ale wszystko wydał. Kazał przebudować dom, kupił letni domek w Brabancji. Fundacja też to i owo przynosiła, ale to by mu nie wystarczyło. I miał niezły samochód, chodził do najdroższych restauracji, a niekiedy noc w noc siedział w burdelu. A to wszystko kosztowało.

- A Joachim de Kater ciągle finansował?

- Oczywiście. Zarabiał pieniądze garściami, bez żadnego ryzyka, jedyne ryzyko to była możliwość, że Piet kiedyś nie zwróci pieniędzy, ale Piet chciał prowadzić ten interes i zawsze podpisywał skrypty dłużne, zdaje się, że też zastawiał budynek fundacji.

- Czy Piet miał jeszcze więcej ludzi, którzy dla niego pracowali?

- Nie - powiedział Van Meteren - ja byłem jedyny. A on umiał trzymać język za zębami. Jego własna żona o niczym nie wiedziała.

Policjanci milczeli chwilę. De Gier przejął ster z rąk Van Runaua.

Miły spacer, pomyślał Grijpstra, będę musiał się kiedyś wybrać na wodę z dziećmi. Wypożyczę jakąś łódź.

- To był spokojny handel - ciągnął Van Meteren. - Beuzekom wiedział, że pod pachą trzymam rewolwer. Kiedy przekazywaliśmy mu te beczułki, nigdy nie pomagałem dźwigać, ale pozostawałem w tle. Nigdy nie spuszczałem go z oka. Piet był ze mnie zawsze bardzo zadowolony. Jesteś moim kochanym słodkim Papuasem - mówił.

- Ale go zamordowałeś - powiedział de Gier.

- Tak - powiedział Van Meteren - czekałem na właściwą

chwilę. Musiałem go zabić, ale nie mogłem tego zrobić w niewłaściwy sposób.

- Musiałeś go zabić? - spytał Grijpstra.

Van Meteren skinął głową.

- Może w Hadze mieli rację, kiedy nie chcieli mnie dopuścić do waszej policji. Może wciąż jeszcze jestem dziki. Widzisz, wygląda to w ten sposób... Naczelnik papuaski czy przywódca plemienia, czy jak tam chcesz, królik, hrabia, jak tam chcesz, musi być zabity, jeżeli jego sposób rządzenia jest zły. Nikt nie może go osądzić, on jest na to za potężny. Więc jest we właściwym momencie zabijany. Nikt o tym nie rozmawia. Plemię decyduje, ale nie wdając się w dyskusję. Powstaje określona atmosfera i każdy się na to zgadza. I naczelnik umiera, jeden albo dwóch ludzi to robi, przeważnie ci, którzy byli mu najbliżsi, jego ministrowie. Ale ci ludzie, trudno mi to będzie wytłumaczyć, nie stają się mordercami. Naczelnik zostaje zabity przez plemię. Lud zabija.

Policjanci patrzyli na twarz Van Meterena.

- Rozumiecie mnie?

- Trochę - odparł de Gier.

- Może to jeszcze sprecyzuję. Papuas nie jest jednostką ludzką, uważasz. Ma oczywiście imię i każdy zna go z tego imienia, ale to tylko dla wygody. Kiedy krzykniesz: Piotrek, to przyjdzie Piotrek, a nie Janek. Ale naprawdę ani Janek, ani Piotrek nie mają imienia, nawet nie mają własnej twarzy. Są składowymi częściami plemienia, niczym więcej. Są elementem całości.

Spojrzał na policjantów.

- Kiedyś odkryłem plemię, które jeszcze nigdy nie widziało białych, nie wiedzieli też, co ze mnie za jeden, i musiałem im tłumaczyć, że jestem przedstawicielem takich jakby bogów, którzy mają białe twarze. Któryś z naszych ludzi miał w swoim chlebaku lusterko i podarował je jednemu Papuasowi. To był duży tęgi chłop z olbrzymim nosem, przetkniętym ludzką kostką. On zajrzał do lusterka i zaczął się śmiać. Zapytałem, dlaczego się śmieje. Powiedział, że zobaczył figlarza, który mieszka w wodzie.

- A co będzie, jak zrobisz zdjęcie takiej grupie Papuasów i pokażesz im? - zapytał de Gier.

Van Meteren uśmiechnął się.

- Zrozumiałeś, w czym rzecz, co? Wszystko jedno, komu pokażesz to zdjęcie, wszyscy rozpoznają na nim każdego swojego znajomego.

- Oprócz jednego człowieka - odgadł de Gier - na zdjęciu każdy znajdzie jednego obcego.

- Właśnie tak - powiedział Van Meteren.

Van Runau wyszedł z kabiny i znowu rozlano kawę.

- No więc czekałeś na właściwy moment — przypomniał Grijpstra.

- Tak - powiedział Van Meteren - czekałem na właściwy moment, bo już od dawna to planowałem. Therese rzuciła w niego książką, trafiła dokładnie w skroń. Kiedy wszedłem, siedział na łóżku z głową w dłoniach, na pół ogłuszony. Pobiegłem do pokoju jego matki i przyniosłem pastylkę palfium, ona zawsze miała tego pełny słoik. Lekarz dawał jej tyle, ile sobie zażyczyła, i tak była dość stara, żeby już umrzeć, mówił. A kiedy zażyła taką pigułkę, nikomu nie dokuczala jej obecność.

- Czy Piet wiedział, że to było palfium? - spytał de Gier.

- Może wiedział - odparł Van Meteren - ale nie miał czasu, żeby się zastanowić. Połknij, powiedziałem, a on połknął. Nigdy nie pił wódki, a kiedy palił haszysz, to po dwóch skrętach miał dosyć. Ta pigułka dobrze na niego podziałała. Kiedy go wieszałem, był całkiem otępiąły, myślę, że nie żył, zanim zdążył się domyślić, co się z nim dzieje.

- Ale dlaczego? - spytał de Gier. - Chciałeś mieć te siedemdziesiąt pięć tysięcy, których nie mogliśmy potem znaleźć?

- On już ich nie miał.

Grijpstra potrząsnął głową i zrobił taką minę, jakby chciał coś powiedzieć. De Gier spojrział na niego z rozpaczą i zrobił zakazujący gest.

- Dlaczego on już nie miał tych pieniędzy? - spytał de Gier przyjaźnie.

- Kupił za wszystko heroinę - powiedział Van Meteren.

- Beuzekom już od roku marudził, że chciałby mieć heroinę, ale Piet miał dostęp tylko do haszyszu, nie miał żadnych kontaktów z branżą heroiny. Beuzekom i Joachim de Kater nie znali się nawzajem. Piet starannie ich izolował. Beuzekom był klientem, Joachim finansistą. W końcu Piet opowiedział Joachimowi, że potrzebuje heroiny, a Joachim tylko na to czekał. Heroina jest dużo droższa niż haszysz i zajmuje mniej miejsca. Heroina to jest rdzenne złoto. Piet myślał, że uda mu się kupić towar w Marsylii i był tam parę razy, ale nic nie mógł znaleźć, może uważali go za tajniaka. Wtedy Joachim udał się na poszukiwanie i natychmiast się udało. Joachim ma we Francji rodzinę i należy do elity. Mógł wejść w kontakt z gangsterami w Paryżu przez górę i od razu trafił.

- Aha - powiedział de Gier - teraz rozumiem. Piet potrzebował pieniędzy, żeby zapłacić Joachimowi, dlatego wziął hipotekę i całą gotówkę z konta, nie mógł przecież pożyczać od Joachima, jeżeli Joachim dostarczał towar. A Joachim żądał oczywiście gotówki.

- No jasne - powiedział Van Meteren - gotówka z rączki do rączki, siedemdziesiąt pięć patyków. I dostał to, co chciał,

Grijpstra znów przyrządził kawy. Monnikendam było w polu widzenia.

- O, jest Policja Wodna - powiedział Van Runau.

Niska, szara łódź zbliżała się prędko, zobaczyli fale idące od dzioba i policjantów na przednim pokładzie z karabinami gotowymi do strzału.

- Wyłączę silnik - powiedział de Gier - bo jeszcze zaczną do nas strzelać, a już się dzisiaj dość na wachałem prochu.

- To w takim razie ty masz heroinę - stwierdził Grijpstra.

- Tak — powiedział Van Meteren — cały zapas. I nie trafi na rynek. Heroina to koniec wszystkiego. Piet nie chciał w to uwierzyć. Haszysz to dziecinna zabawka, człowiek się od tego nawet nie uzależnia, ale heroina to jest wcielony diabeł, człowiek wstrzykuje ją sobie prosto do krwi i przez resztę życia musi robić, co mu diabeł każe.

- I dlatego powiesiłeś Pieta? - spytał Grijpstra.

- Tak - powiedział Van Meteren - ale sędzia nigdy w to nie uwierzy.

Łódź Państwowej Policji Wodnej już stykała się prawie z burtą ich kutra, dwaj mundurowi policjanci szykowali się do przeskoczenia.

- Co miałeś zamiar zrobić, gdybyśmy cię nie złapali? - zapytał Grijpstra.

- Chciałem jeszcze trochę poczekać, jakiś rok mniej więcej, ażby sprawa na dobre przycichła, wtedy sprzedałbym motocykl i kuter.

- I wrócił na Nową Gwineę?

Van Meteren skinął.

- Jako król Habberdudas?

Van Meteren roześmiał się. - Nie, to było tylko fantazjowanie. Może bym zamieszkał samotnie na małej wysepce, sam z kotem i świnią. Świnie to są bardzo inteligentne stworzenia. Czyli bawiłbym się w pustelnika, miałbym spokojne życie.

- A heroina?

- Wyrzuciłbym albo spalił. Ale tymczasem ją zachowałem. Liczyłem się z tym, że możecie mnie złapać. Może będziemy jeszcze mogli z niej zrobić użytek.

- To on? - spytał policjant, który pierwszy zeskoczył na ich pokład.

Grijpstra skinął głową.

- Niech tani na razie leży - powiedział nowy - wezwiemy przez radio pogotowie. Za pięć minut będziemy w porcie. Zostaniecie przy nim?

- Tak - powiedział Grijpstra.

- Co myśmy się was naszukali. Tylu pocziwych rybaków najadło się niepotrzebnie strachu.

- Życie to nie jest bajka - powiedział de Gier.

Grijpstra patrzył zazdrośnie na nowego policjanta, był spalony na brąz i tryskał zdrowiem.

Taki to ma życie, pomyślał Grijpstra, cały Boży dzień pluska się w wodzie i co jakiś czas sprawdza kartę rybacką.

Van Meteren spojrział na niego i roześmiał się, odczytał myśl Grijpstry.

Nadinspektor siedział za biurkiem i patrzył na swój kaktus. Ręce wsadził do kieszeni i rozparł się w fotelu. W pokoju było ciepło. Przed nim leżał notes z zapiskami. Wokół unosił się zapach szpitala.

Nadinspektor rozdał nozdrza i zrobił głęboki wdech.

Myśli porządkowały się z trudem.

Ten Papuas, myślał nadinspektor; odkazili mu ranę i zrobili opatrunek. A potem przyprowadzili go do mnie. Grijpstra i de Gier. Aresztowanego mordercę. Dobra robota. Długo to trwało. Trzy tygodnie. Chytra sztuka, ten Papuas.

Przymknął oczy i jał rozpamiętywać. Przewijały się myśli, które nie miały ze sobą pozornie żadnego związku. Myślał o Papuasach. Dzikich, żyjących jeszcze w epoce kamienia. Porównywalnych do Batawów i Kaninefatów. Tutaj przyszli Rzymianie, myślał nadinspektor. A na Nową Gwineę Niderlandczycy.

Papuas w Amsterdamie, Batawczyk w Rzymie.

Wstał i stanął przy oknie. Grijpstra zrobił pewną propozycję, na prośbę Papuasa. Papuas nie miał już żadnych praw, był aresztowany, podejrzany w areszcie śledczym nie może o wiele prosić.

Nadinspektor odwrócił się do swojego kaktusa, olbrzymiego falicznego symbolu na środku jego pokoju, fallusa z kolcami.

Poproszono go o wypuszczenie mordercy, na krótko oczywiście, ale ryzykując, że ucieknie.

Nadinspektor podniósł słuchawkę.

- Komisarz jest chory, panie inspektorze - powiedział dziewczęcy głos.

Nadinspektor mruknął i odłożył słuchawkę.

Wykręcił inny numer.

- Mój mąż ma atak reumatyzmu, leży w wannie, to jest jedyne miejsce w całym domu, gdzie go omija ból. Czy ja mogę przekazać wiadomość?

Nadinspektor zastanowił się.



- Muszę pilnie porozmawiać z pani mężem - powiedział w końcu.

- Jedną chwileczkę.

Nadinspektor czekał.

- Czy mógłby pan do nas wpaść?

- Już idę, proszę pani, za dziesięć minut będę u państwa.

Nadinspektor usiadł na drewnianym taboreciku i patrzył na głowę komisarza, wystającą z kąpeli. Gdyby chciał, mógłby zobaczyć całego komisarza, ale próbował skoncentrować się na głowie.

- Niech pan opowiada - powiedział komisarz.

Nadinspektor mówił długo. Komisarz przerwał mu raz, prosił o cygaro.

Nadinspektor przypalił mu cygaro i wetknął starannie między pozbawione krwi wargi komisarza.

- Tak — powiedział komisarz.

- W porządku - powiedział Grijpstra i odłożył słuchawkę.

De Gier zerwał się.

- Zgadzą się?

Grijpstra przytaknął i potarł dłonią po brodzie. Krótkie włosy drapały. Nie ogolił się tego ranka i do tej pory nie znalazł czasu, żeby odosobnić się w toalecie z blaszanym pudełkiem, które przechowywał w górnej szufladzie swojego biurka i w którym trzymał nożyk do golenia, lepszy od tego w domu, i tubkę kremu. Pani Grijpstra uważała krem do golenia za luksus, słupki mydła do golenia są tańsze.

- Nie ogoliłeś się - powiedział de Gier.

- Nie - powiedział Grijpstra, a między jego brwiami powstał głęboki rowek.

- Pewnie też zaspasłeś - wyraził podejrzenie de Gier.

- Nie - zaprzeczył Grijpstra.

- To dlaczego się nie golisz? Nie chce się?

- Golenie to jest przyjemna rzecz - powiedział Grijpstra - ale nikt nie może przy tym do ciebie mówić.

De Gier skinął.

- I nikt w żadnym wypadku nie może przy tym na ciebie krzyczeć.

No nie - powiedział de Gier - w żadnym wypadku.

- Idę się teraz ogolić - powiedział Grijpstra - a ty przyprowadź Van Meterena. Mam nadzieję, że mu się dobrze spało, na pewno był już u niego lekarz. Z niego jest mocny chłopak, wczoraj krwawił jak nieszczęście, a teraz już mu się chce pogaduszek.

- No i miał dobrą celę - dodał de Gier - a ja mu kazałem zanieść czystą pościel i poduszkę z poszewką, a pijaków z sąsiedniej celi zabrali na Overtoom. Miał zupełny spokój.

W niecałe pół godziny później był z powrotem.

Van Meteren otrzymał filiżankę kawy, papierosa i książkę telefoniczną.

- Dzień dobry, panie de Kater, tu Van Meteren. Grijpstra wcisnął guzik, dzięki któremu odpowiedzi de Kater a były słyszalne dla policjantów.

- Dzień dobry, panie Van Meteren - de Kater bardzo starannie wymawiał słowa. - Jak się pan miewa? Czy znalazł pan sobie dobre lokum?

- Jak najbardziej - powiedział Van Meteren - niedaleko. Mieszkam teraz jedną ulicę dalej, na poddaszu starej kamienicy przy Brouwersgracht, nie straciłem na tej przeprowadzce.

- Przyjemnie mi to słyszeć. Żałuję, że musiałem pana poprosić o zwolnienie pokoju w budynku fundacji, ale rozumie pan, że nie kupiłem go na stałe. Chcę go znowu zbyć, a sprzedaż jest o wiele łatwiejsza, jeżeli lokale są wolne. Czy mogę coś dla pana zrobić?

- Prosiłbym o drobną przysługę, panie de Kater. Mam zamiar opuścić wkrótce kraj i potrzebuję nieco pieniędzy. Wyliczyłem sobie, że potrzebowałbym jakieś dwadzieścia tysięcy małymi banknotami, najlepsze będą chyba dwudziestki piątki i setki.

- Tak? - spytał uprzejmie de Kater.

- Tak. I sądziłem, że pan powinien jeszcze nimi dysponować. Piet Verboom dał panu niedawno o wiele większą sumę i nie sądzę, żeby pan wpłacił te pieniądze do banku. Myślę, że

powinien pan mieć je jeszcze w domu.

Głośniczek słuchawki milczał i Grijpstra z de Gierem oglądali plastikowy aparacik.

Tam jest kratka, myślał de Gier, zupełnie jak nad studzienką kanalizacyjną. Pod kratkami studzienek też mieszkają szczury.

- W istocie - powiedział głos de Katera, który brzmiał już mniej starannie, pojawił się chropawy odcień. - Tak, tak.

Grijpstra zaciągnął się papierosem, de Gier przymknął oczy.

Van Meteren mówił lekkim tonem, jakby rozmawiał z przyjacielem lub dobrym znajomym.

- To nie jest taka wielka suma - powiedział Van Meteren.

- Może i nie - powiedział de Kater - ale zakładam, że pan zaoferuje mi coś w zamian?

- Oczywiście.

- To znaczy?

- Już panu mówię. Pan dostarczył Piętowi na krótko przed jego śmiercią pewne towary. Za towary zapłacił, pan ma pieniądze i transakcja jest tym samym zakończona. Ale towary przedstawiają w dalszym ciągu dużą wartość rynkową, może są więcej warte niż zapłacił panu Piet, bo ceny ciągle rosną.

- W samej rzeczy tak jest, panie Van Meteren. - Głos był znowu pełniejszy i towarzyszyło mu cyknięcie, a po nim szmer wciąganego powietrzem.

Zapalił cygaro, pomyślał Grijpstra - dobre, grube cygaro.

- Więc pomyślałem sobie, że zechce pan może z powrotem odkupić te towary - powiedział Van Meteren.

- Za dwadzieścia tysięcy? - spytał de Kater.

- Właśnie. Za niewielki ułamek wartości. Ale niezupełnie są moje, choć mógłbym uważać, że je odziedziczyłem.

- Cóż - powiedział de Kater - jeżeli je pań posiada, to chyba może tak pan uważać. Kto jest w posiadaniu towarów, jest w tym przypadku ich właścicielem. To osobliwe swoją drogą, że policja ich nie znalazła.

- Oni nie szukali tam, gdzie należało - powiedział Van Meteren.

- Zapewne, zapewne - zgodził się de Kater - ale dlaczego chce je pan z powrotem odsprzedać mnie, zakładając, że pan je rzeczywiście ma? Przecież pomagał pan Piętowi we wszystkim, musiał pan więc wiedzieć, jakich miał kupców, od nich może pan zażądać wysokich cen.

Grijpstra podniósł wzrok. Van Meteren zrobił uspokajający gest. De Gier ciągle miał przymknięte oczy.

- Znam tych kupców - powiedział Van Meteren - ale w branży zrobiło się trochę niespokojnie. Śmierć Pieta pobudziła czujność policji i wszędzie teraz grzebią.

- Ach, tak.

- A mnie się trochę śpieszy - powiedział Van Meteren - chcę wyjechać z kraju. Im dłużej, policja grzebie, tym bardziej się do mnie zbliża. Dlatego robię poważną propozycję.

- Dwadzieścia tysięcy - powiedział de Kater.

- Dwadzieścia tysięcy - powiedział Van Meteren.

- To brzmi interesująco. Gdzie i kiedy, panie Van Meteren?

- Dziś wieczorem w pańskiej posiadłości przy Haarlemmer Houttuinen 5, o dziesiątej. Czekam na pana na podeście.

- I będzie pan miał towary przy sobie?

- Wymieniamy z ręki do ręki.

Wróciła cisza. De Gier otworzył oczy i przeciągnął się. Grijpstra wwiercił niedopałek papierosa z taką siłą w dno popielniczki, że papier poszedł w strzępy i zmieszał się z okruskami tytoniu. Van Meteren patrzył w okno, oczy mu lśniły.

- Nie zwykłem działać pośpiesznie - powiedział de Kater - ale pańska propozycja jest atrakcyjna. Gdybym się nie zjawił dziś wieczorem, proszę do mnie jeszcze koniecznie zadzwonić.

W słuchawce rozległ się sygnał. Van Meteren odłożył ją ostrożnie na widelki.

- Przyjedzie? - spytał Grijpstra.

- Przyjedzie - powiedział Van Meteren - jego zachłanność popchnie go w wasze ręce. Dziś wieczór możecie go złapać z heroiną w garści.

- Odprowadzę cię do celi - powiedział de Gier.

Grijpstra uściśnął rękę Papuasa — Do wieczora. Cholera

jasna, jak to się nam uda, to dostaniemy po medalu.

- Ja mam już dwa - powiedział Van Meteren.

## 17

De Gier siedział w kucki w zaroślach naprzeciwko posesji numer 5 i spoglądał na zmianę to na zegarek, to na frontowe drzwi wysokiego domu. Niedaleko kryli się jeszcze dwaj wywiadowcy. Obaj wdepnęli w psie łajno i klęli z cicha. De Gier zdołał się jeszcze ustrzec przed czymś podobnym, ale nogi go bolały od kurczowego przysiadu.

- Ech - szepnął de Gier do siebie. Zajmowali niezbyt szczęśliwą pozycję, po niewłaściwej stronie płotu biegnącego wzdłuż nasypu kolejowego, i było wątpliwe, czy w razie potrzeby zdoła się dość szybko przekaraskać przez dziurę w siatce, którą przed chwilą naciał czązkami. Ale nie mógł znaleźć lepszego miejsca, na szczęście ulica była pusta, tylko co jakiś czas przejeżdżał samochód. Jediną żywą duszą na szerokim chodniku naprzeciwko nich był nadinspektor, ubrany w wytartą marynarkę i prowadzący na smyczy owczarka. De Gier patrzył na swojego przełożonego z podziwem. Nadinspektor szedł trochę pochylony, raczej sunął, niż szedł.

- Widzisz tamtego faceta z psem? - zapytał wywiadowcę koło siebie.

Wywiadowca popatrzył.

- Widzę. Facet, co wyszedł ze swoim psem. Niedawno też jednego widziałem z dwoma takimi śmiesznymi jamnikami. Za dużo mają tu tych psów, cały nasyp zaszary, jak one tu właściwie wchodzą? Przecież jest płot!

- Dalej płot jest całkiem rozwalony - powiedział de Gier - ale ten facet, co tam idzie, to jest nadinspektor.

Wywiadowca popatrzył jeszcze raz.

- Cholera - powiedział - rzeczywiście, to on. Jeszcze po południu widziałem go w biurze, ale teraz wygląda całkiem inaczej. Założył perukę?

- Coś ty - zdziwił się de Gier - po co miałyby wkładać perukę?

- Inaczej wygląda - powiedział nie przekonany wywiadowca.

De Gier spojrział jeszcze raz. Nie upatrywałby tego we włosach, ale raczej w ubraniu. Nadinspektor miał na sobie starą, poprzecieraną na skrajach marynarkę z wełny dufelskiej. Ale jego włosy wyglądały rzeczywiście inaczej. Były potargane, nie jak zazwyczaj ułożone równiutko, każdy włos na swoim miejscu.

Ładne przebranie - pomyślał de Gier - facet pod sześćdziesiątkę, który mieszka gdzieś na poddaszu w okolicy, sam z psem. Taki człowiek nie czesze się, kiedy wychodzi z psem na spacer.

Znowu spojrział na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Van Meteren nadszedł i stanął na podeście domu numer 5, oparłszy się o barierkę. Nadinspektor przeszedł koło niego. Za rogiem powinien stać stary daf z dwoma wywiadowcami, a ulica Haarlemmer Houttuinen była patrolowana przez dwóch policjantów w mundurach. Haarlemmerstraat jest z reguły patrolowana przez pieszych funkcjonariuszy, a ponieważ biegnie ona równoległe do Składów, policja mogła być spokojna, że w razie gdyby de Kater zechciał salwować się ucieczką w kierunku zaplecza domu, zostanie prawdopodobnie złapany na Haarlemmerstraat. Oprócz tego w ogródku domu numer 5 ukrywał się Grijpstra z jednym pomocnikiem, okazałym młodzieńcem, który w razie konieczności mógł wspinać się na ścianę domu niczym alpinista na stromą skałę. Wpuścili ich tam sąsiedzi.

Wywiadowca położył rękę na ramieniu de Giera.

- Czy to ten?

Joachim de Kater nadchodził sprężystym krokiem. Pomachał z daleka Van Meterenowi, a na podeście nawiązała się rozmowa. Van Meteren wskazał na drzwi, a de Kater zdawał się o coś pytać. Po kilku minutach widocznie doszli do porozumienia i de Kater otworzył zamek swoim kluczem. Ulica wyglądała jak przedtem. Owczarek siusiał pod latarnią, a jego pan czekał cierpliwie.

- I co teraz? - spytał szeptem wywiadowca.

- Cicho - syknął de Gier.

De Gier próbował sobie wyobrazić, co się dzieje w korytarzu.

Heroina była ukryta w stojącej w niszy figurze Buddy, taniej kopii, którą Piet Verboom kupił kiedyś na pchlim targu. Wiedział teraz, ponieważ zdradził im to Van Meteren, że Budda był w środku pusty. Metalowe rzeźby, choć są w środku puste, z reguły nie otwierają się, a wywiadowcy, którzy przeczesywali dom, nie wpadli na pomysł, że można Buddzie odkręcić głowę.

De Kater był od chwili kupienia nieruchomości na Składowach Haarlemskich również właścicielem całego dobytku, jaki się znajdował w środku. Podług Constanze w akcie kupna była specjalna klauzula, że cały inwentarz przechodzi na własność nabywcy. Również rzeźba. Również heroina w rzeźbie. De Gier wciąż myślał o rzeźbach, kiedy Constanze mówiła o inwentarzu.

De Gier westchnął. Myślał o ciele Constanze, o długiej nodze, która leżała na jego nodze, o gorącu jej piersi, o łagodnym głosie. A teraz przyszło mu siedzieć w kucki, gałąź jakiegoś krzaka drapała go w szyję, wokół niego śmierdziały psie odchody, a obok tkwił w tej samej pozycji wywiadowca w złym humorze.

Powinien był o tym pomyśleć, że Budda może być pusty w środku, ale pomyślał tylko o tym, że religie Wschodu stają się popularne, że rzeźbę da się spieniężyć, że de Kater to zręczny gość i że handel to doskonały sposób, aby się wzbogacić.

Oryginał rzeźby stał kiedyś w pewnej świątyni na Cejlo nie - powiedziała Constanze. Słynna rzeźba, później skradziona i przypuszczalnie odsprzedana jakiemuś kolekcjonerowi w Ameryce. Tymczasem narobiono sporo kopii. Pewnie wszystkie puste, myślał de Gier. Tak Się zaoszczędza masę brązu, a brąz jest drogi. Piet odkrył, że rzeźba jest pusta, ponieważ głowa była trochę przekrzywiona. To znowuż powiedział mu Van Meteren. A kiedy Piet się przyjrzał, odkrył gwint, zaniósł rzeźbę do warsztatu, tam odkręcili głowę, zrobili nowy gwint, a przy tej okazji odkryli schowek. Schowek niedługo potem Piet wykorzystał, żeby ukryć w nim biały proszek, który duszy ludzkiej pozwala zajrzeć do nieba. Urojonego nieba, pomyślał de Gier, a potem do prawdziwego

piekła. Ale tam już nie wystarczy zajrzeć, tam trzeba iść. A de Kater, który teraz pewnie stoi koło rzeźby i nadstawia żarłocznie otwartą walizeczkę, gdy tymczasem Van Meteren wyczarowuje i daje mu jedną po drugiej torebki heroiny de Kater szykował się do kolejnego zamachu. Po nim stężone opium trafiłoby do krwi młodych ludzi z Amsterdamu, krwi nie szkodzących nikomu głuptasów, którzy szukają niebiańskich sfer.

Ale nie tym razem - pomyślał de Gier. Ku swemu zdziwieniu poczuł falkę zadowolenia.

Uważaj stary, pomyślał znowu. W prawej nodze chwycił go kurcz, jakiś mięsień zaczął nagle twardnieć i musiał ostrożnie rozcierać i rozgniatać to miejsce. - Zaczynasz mieć cel w życiu - dokończył po cichu.

- Co? - zapytał wywiadowca.

- Nic - odparł de Gier - siedź spokojnie. Złapiemy go, jak wyjdzie na dwór.

- A tego czarnego nie?

- Tego już mamy.

- Kapuś?

- Coś w tym rodzaju.

- Ostro grane - powiedział wywiadowca - jak on tak w biały dzień będzie się afiszował, to długo nie pociągnie. Tylko patrzeć, a będziemy go wyławiać gdzieś z kanału.

- Jego w tym głowa - powiedział de Gier.

Drzwi otworzyły się i zobaczyli de Katera. Walizeczka huśtała się w lewej ręce. Nie wyglądała na ciężką.

- Heroina jest lekka - szepnął wywiadowca, który powoli zaczął się prostować - ale jeżeli ta walizeczka jest pełna, to on ma teraz towaru za sto tysięcy.

- Już - krzyknął de Gier i zagwizdał na palcach.

Poszło bardzo łatwo. De Gier wraz z dwoma asystentami przebiegł przez jezdnię. W tej chwili nie było żadnego ruchu. De Kater rzucił walizkę i próbował uciekać. Wywiadowcy, którzy za rogiem czekali w samochodzie, wybiegli zaalarmowani gwizdem de Giera i zastawili drogę. De Kater pobiegł w przeciwną stronę, ale spotkał nadinspektora.



Pistolet de Katera padł rzucony na ziemię, kiedy wywiadowcy oddali za nim strzał ostrzegawczy. Pies nadinspektora zawarczał i pokazał kły. Nadinspektor nawet nie zadał sobie trudu, żeby dobyć pistoletu.

Tam do licha, pomyślał de Gier, kładąc dłoń na ramieniu de Katera. Sześciu panów i pies. Co za przedstawienie.

De Kater zaczął płakać. Nikt nie był zdziwiony. Podejrzani, zwłaszcza w momencie zatrzymania, często płaczą.

- Spokojnie - powiedział de Gier. - Nic panu nie zrobimy. Czy ma pan pozwolenie na broń?

- Nie - wyszłochał de Kater.

- A co jest w tej walizce, którą pan porzucił?

- Heroina - wyszłochał de Kater.

- W takim razie pójdzie pan z nami - powiedział de Gier.

## 18

De Katera zabrali dwaj wywiadowcy, którzy czekali w samochodzie, a Vafi Meteren zjawił się na podeście, kiedy malutki samochodzik zniknął w bocznej ulicy.

- Piękna robota, Van Meteren - powiedział nadinspektor.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie inspektorze

- powiedział ze śmiechem Papuas. - Niczego nie podejrzewał.

- Właśnie to jest twoja zasługa - powiedział Grijpstra, który też wyszedł z domu w towarzystwie swojego asystenta.

- Musiałeś zrobić niezłe przedstawienie.

- Zapłacił? - spytał nadinspektor.

Van Meteren poklepał się po wewnętrznej kieszeni. - Wszyściuteńko. Chciał się targować, ale nic nie wskórał. Był oczywiście uzbrojony, ale musiał się chyba domyślać, że ja też.

Wyciągnął brązową kopertę z kieszeni.

- Wszystko setkami, nie miał drobniejszych, dwieście banknotów, przeliczyłem. Proszę, panie inspektorze.

Nadinspektor wsadził brązową kopertę do zewnętrznej kieszeni marynarki.

- Dziękuję - powiedział.

- Tyle pieniędzy - powiedział jeden z wywiadowców - i

oczywiście uzbrojony. Z heroiną to jest właśnie okropna sprawa, każdy z nich ma teraz broń. To są sami bandyci i mordercy, zanim się człowiek zorientuje, już mu pakują kulkę i w najlepszym razie parę miesięcy jak głupi męczy się w szpitalu.

- Taki zawód, kolego - powiedział przyjaźnie Grijpstra. - Czy idziemy do domu, panie inspektorze?

- Jeżeli o mnie chodzi, to tak - powiedział nadinspektor.

- Chciałbym jeszcze porozmawiać z panem, Grijpstrą i de Gierem, jeśli wolno - poprosił Van Meteren. - Może w środku, jeżeli nie ma pan nic przeciw temu.

- Bynajmniej - powiedział nadinspektor. - Tymczasem reszta może iść na piwo, idźcie do Ciotki Jet na Haarlemmerstraat, róg Oranjestraat, to zaraz do was dołączę.

- Tak jest - powiedzieli chórem trzej wywiadowcy.

- Co chciałeś powiedzieć? - zapytał nadinspektor. Stali tam, gdzie kiedyś był bar Fundacji Hindystycznej. Van Meteren zajął miejsce za ladą, a trzej policjanci usiedli na stołkach.

- Trzy piwa - powiedział de Gier.

- Nie da rady - powiedział Van Meteren - jest tu jeszcze tylko parę butelek jakichś napojów chłodzących i szklanki.

- Dobrze i to - powiedział Grijpstra.

Van Meteren przetarł szklanki ścierką i zdjął kapsle z butelek coli.

- Wszystko tu jeszcze zostało - powiedział de Gier.

- Oprócz piwa - uściślił Van Meteren - piwo psuje się pozostawione w napoczętej beczce. Ale w ogóle te wszystkie graty to jest duży grosz. De Kater mógłby nielicho zarobić, nawet gdyby to puścił na licytację.

- No to de Katera już mamy - powiedział nadinspektor i pociągnął łyk coli - szkoda, że musimy puścić płazem tym dwóm, ale może jeszcze wpadną nam w ręce. Tfu, nie cierpię tego świństwa.

- Niech pan wypluje - poradził Van Meteren - dam panu wody sodowej. Właśnie chciałem rozmawiać o tamtych dwóch.

Otworzył inną butelkę i przesunął po ladzie. - Proszę, i drugą szklankę.

- Dziękuję - powiedział nadinspektor. - O Beuzekomie i jego kompanie, ma się rozumieć?

- Tak, panie inspektorze.

- To musimy się spieszyć - powiedział Grijpstra. - Do tej pory szło dobrze, ale dziennikarze niedługo powinni coś zwaćać. A jak Beuzekom się dowie, że mamy de Katera, to możemy sobie całą sprawę darować.

- Nie zapominaj o mnie - powiedział Van Meteren - tamto polowanie z nagonką na Ijsselmeer też może w każdej chwili trafić do gazet. Czytałeś już gazety?

- Ja czytałem - powiedział nadinspektor - nikt jeszcze o niczym nie wie. Do portu Monnikendam wpłynęliście tak rano, że uszło to oku gazet. W Monnikendam nie kręci się na pewno wielu dziennikarzy. To, cośmy tutaj przed chwilą zrobili, jest o wiele niebezpieczniejsze, większość gazet ma patrole na całym mieście, a oprócz tego płacą ludziom za każdą wiadomość. Jeżeli ktoś z sąsiedztwa zadzwonił, że coś się dzieje, zaraz ich tu przyniesie.

- Dlatego trzeba to zrobić natychmiast - powiedział Van Meteren. - Proponuję, że zadzwonię stąd do Beuzekoma. Jeżeli dopisze nam szczęście, to zastanę go w domu: Każę mu tutaj przyjść, heroina powędruje znów do rzeźby i odegramy jeszcze raz tę samą sztukę.

Łyknął coli i patrzył kolejno na swoich gości.

De Gier zaczął chichotać.

- Uważasz, że to fajny pomysł, de Gier? - zapytał nadinspektor.

- Tak, panie inspektorze, doskonały, ale to jest za dobre, żeby się mogło powieść. Dwa razy jednego wieczoru to za dużo.

- A Grijpstra?

- Dobry pomysł.

- Czy mamy dosyć ludzi?

- Możemy zawołać zaraz tamtych trzech piwoszów - powiedział de Gier i zeskoczył ze stolka.

- Dobrze, ale pośpiesz się. Jeżeli Beuzekom jest w domu, może natychmiast przyjechać. Przyrowadź ich tutaj i czekaj, aż Van Meteren skończy. Jak przyjedziecie, zastukaj w szybę.

Van Meteren, jest tu telefon?

- Przed chwilą próbowałem, jest jeszcze podłączony do sieci.

- No to ruszajcie.

De Gier znikł, a Van Meteren poszedł w kąę baru, gdzie na ścianie wisiał telefon. Wykręcił numer z pamięci i natychmiast usłyszał:

- Beuzekom.

- Dobry wieczór, Beus, mówi Van Meteren.

- O - powiedział zaskoczony Beuzekom - jak miło mi cię słyszeć. Kupę czasu się nie widzieliśmy, co słyhać? Jesteś jeszcze w branży, czy wszystko skończyło się, jak Piet trafił do wyższych sfer?

- Siedzę jeszcze w branży, Beus, a co u was?

- No, jakby ci tu powiedzieć, wszystko w porządku, tylko Ringetje trochę jest nieznośny ostatnimi czasy, trzeba by się gdzieś z nim wybrać na' wakacje, ale zanim się człowiek może położyć na słońcu, trzeba zarobić trochę gotówki, słońce strasznie zdrożało.

- To handel nie idzie?

- Mały idzie - powiedział Beuzekom - są jakie takie dostawy, choć trzeba strasznie uważać, żeby cię nie okiwa- li i nie wcisnęli jakiegoś gówna zamiast towaru, teraz to podrabiają z henny, wiesz, tego paskudztwa do farbowania włosów. Dranie robią z tego takie ciacha, że przysięgłbyś, że to prawdziwy towar, nawet zapach podrabiają. Pomału człowiek musi się kwalifikować na inżyniera chemika, żeby się nie dać zrobić na szaro, ale jak dotąd jeszcze w nic nie wdepnąłem.

- A prawdziwy handel?

- Chodzi ci o cukier? - zapytał Beuzekom. - No, z tym jest całkiem beznadziejnie. Piet nie zdążył wystartować. Gdzie do pioruna się podziała ta partia? Przecież mieliście dostawiać, a jak Piet się obwiesił, to to powinno gdzieś leżeć.

- Tak, tak - powiedział Van Meteren.

- Ty - powiedział Beuzekom - to dlatego dzwonisz? Jeżeli tak, to słyszę dobrą wiadomość.

- Jest, jak mówisz - powiedział Van Meteren.

- To znaczy ty to masz?

Van Meteren milczał.

- Masz to, prawda? Chcę to kupić. Ile?

- Dobrze trafiłeś - powiedział Van Meteren - rzeczywiście to mam i chcę się pozbyć. Pamiętasz, ile oferowałeś Piętowi?

- Sto dwadzieścia - powiedział Beuzekom.

- Taka była cena. Ale teraz to jest więcej warte.

- Więcej nie dam.

- Masz forszę w domu?

Van Meteren musiał chwilę czekać na odpowiedź.

- Tak, mam ją jeszcze w domu.

- Zabieraj to, Beus, i przyjeżdżaj do mnie, dostaniesz towar. Ale zaraz, bo muszę spływać. Natychmiast, żebyś nie zdążył zwołać posiłków, bo i ja jestem sam jeden.

- Sam jeden z rewolwerzyskiem, że uchowaj Boże - powiedział Beuzekom - i głową pełną przebiegłych chwytów z dżungli rodem. Niech ci się nie zdaje, że cię nie doceniam, stary Murzynie.

- Nie jestem Murzynem - powiedział Van Meteren - jestem Papuasem.

- Tym gorzej - powiedział Beuzekom - czytałem niedawno książkę o was, wy wieszacie czaszki nade drzwiami.

- Twojej nie wieszamy. Przychodzisz czy nie?

- Mogę zabrać Ringmę?

- Tak.

- Gdzie jesteś?

- Stary adres.

- Haarlemmer Houttuinen?

- Tak.

- Mieszkasz tam jeszcze?

- Nie, przeprowadziłem się, ale teraz tam jestem i jeżeli przyjedziesz w ciągu piętnastu minut, dostaniesz towar, w przeciwnym razie ja znikam i będziesz musiał jakiś czas poczekać.

- Jedziemy - powiedział Beuzekom - tylko bez żadnych figli, Van Meteren. Będę uzbrojony, Ringma też i choć ci nie damy rady, to jednak spróbujemy coś zdziałać, gdyby przyszło ci do głowy jakieś głupstwo.

- Nigdy cię nie nabrałem.
  - To prawda. Porządny z ciebie gość. Ale kwadrans to za krótko. Pół godziny.
  - Dwadzieścia minut.
  - Dobrze. To na razie.
- Van Meteren odłożył słuchawkę.
- Chryste panie - powiedział nadinspektor - nie mamy chwili czasu. Gdzie de Gier?
- Zastukano w szybę. Grijpstra pobiegł do drzwi wyjściowych i otworzył.
- Wchodźcie prędko, zaraz tu będą.
- Mężczyźni zebrali się w barze.
- Dobrze - powiedział nadinspektor - wracam na ulicę z moim Hektorem. De Gier idzie na drugą stronę ulicy z tymi samymi kolegami co uprzednio, albo nie, ty idź tam sam, de Gier, a ci dwaj niech staną w pobliżu w portykach, schowajcie się dobrze, bo ci nowi są bez porównania groźniejsi niż nasz przyjaciel de Kater.
  - Jacy nowi? - spytał jeden z wywiadowców.
  - Beuzekom i Ringma, dwaj handlarze narkotyków, młodzi, obaj uzbrojeni, szczególnie Beuzekom jest niebezpieczny, Ringma jest strachliwy, ale zapędzony w kozi róg też będzie strzelał. Beuzekom to rosły chłopak o długich jasnych włosach, a Ringma to taka jego żona, nieduży, łysiejący.
  - Jeżeli o mnie chodzi, to mogą strzelać - powiedział młody wywiadowca, który potrafił wspinać się na domy - coś się przeżyje, nie będę musiał chodzić na film tygodnia.
  - Tarzan Wspaniały - skomentował Grijpstra.
  - No, no - powiedział nadinspektor - nie pora na żarty. Wracajcie obaj z Tarzanem do ogródka. Van Meteren czeka wewnątrz.
  - Tak jest - odpowiedzieli wszyscy.

De Gier znowu tkwił w zaroślach od strony torów. Ta sama gałąź uwierała go w szyję. Z podniecenia przestał uważać i wdepnął w psie balaski, których uniknął skutecznie

poprzednim razem.

- Fu - syknął de Gier, ale uśmiechnął się: tak jak Tarzan miał nadzieję, że będzie z tego jakaś bijatyka. Jak mi się tylko napatoczy, to go zasunę, pomyślał de Gier widząc pogardliwą minę Beuzekoma, zasunę go w samego kinola. Nawet może mu pójść krew.

Patrzył na jezdnię. Gdzieś był korek i sznur samochodów włókł się przed jego oczami, zasłaniając całkiem widok na drugą stronę ulicy.

Ale walnę go tylko, jak on zacznie, dodał w myślach de Gier, i nie będę go prowokował.

Samochody przejechały i podest naprzeciwko stał się widoczny. Nadinspektor miał kłopoty z Hektorem, który zobaczył kota i zaczął się wrywać.

Są, zauważył de Gier.

Beuzekom wjechał mikrobusem na chodnik przed domem. Po chwili obaj handlarze stali przed drzwiami domu numer pięć. Drzwi otworzyły się. Podobnie jak de Kater, Beuzekom miał przy sobie walizeczkę. Beuzekom wszedł pierwszy, Ringma pozostał przez chwilę na dworze i rozglądał się.

Minęły trzy minuty, zanim rozległ się strzał. De Gier przebiegł jezdnię i omal nie został potrącony przez autobus miejski, który tak skręcił w lewo, że mało nie zawadził o samochód jadący z przeciwnego kierunku. Krzyki wściekłych kierowców i głęboki ryk klaksonu autobusowego nie zraziły de Giera. Razem z dwoma wywiadowcami wywalili kopnięciem drzwi, które z trzaskiem zawisły na jednym zawiasie.

Na korytarzu znaleźli najpierw Ringmę; stał oparty o ścianę, w prawej ręce miał pistolet, ale ramię zwisało bezwładnie, lufa była skierowana ku ziemi. Jeden z wywiadowców uderzył go w przegub i wolną ręką złapał pistolet.

Beuzekom leżał zwinięty na podłodze z rękami między udami i jęczał.

- To skurwiel. Kopnął mnie w jaja. Skąd mogłem wiedzieć.

- Gdzie heroina? - ryknął Grijpstra, który zjawił się z drugiego końca korytarza.

- Tutaj — wystękał Beuzekom - w walizce. Wyłożył mi to ze

schowka w tamtej rzeźbie, a jak już mu zapłaciłem, dostałem kopa.

Beuzekom został przeszukany i jego pistolet znikł w wewnętrznej kieszeni marynarki de Giera.

- Gdzie jest Van Meteren? - zapytał nadinspektor.

Ringma, który miał ręce skute na plecach, wskazał głową na boczne drzwi.

- Wybiegł tamtędy.

- No, nie — powiedział nadinspektor.

## 19

- No, no - powiedział komisarz.

Siedzieli w ogródku dużego domu w śródmieściu, u komisarza. Był ciepły wieczór i wszędzie dookoła ludzie rozkoszowali się chłodem wieczoru. Żona komisarza wniosła szklaneczki wychłodzonego jenevera i czarękę mieszanych orzeszków, po czym wycofała się dyskretnie. Komisarz i nadinspektor palili cygara. Komisarz rozcierał sobie prawą nogę lewą ręką. Cały dzień przeleżał w łóżku i ból w kościach trochę zelżał, tylko co jakiś czas nagle ukłucie wykrzywiało mu twarz.

- Kto strzelił? - spytał komisarz.

- Ringma, panie komisarzu. Kiedy Van Meteren kopnął Beuzekoma między uda, Ringma strzelił, żeby bronić swego przyjaciela albo go pomścić.

- Przyjaciel i kochanek - powiedział komisarz. - Kopniak w jądra to nie żarty. Można od tego umrzeć. Ale słyszę, że Beuzekom mógł mówić?

- Tak, Van Meteren nie kopnął z całej siły. Lekarz, który był u Beuzekoma w celi, powiedział, że nie ma żadnych trwałych uszkodzeń, ale że jakiś czas jeszcze będzie bolało.

- Tak - powiedział komisarz, unosząc kieliszek - pańskie zdrowie.

- Pańskie zdrowie - powiedział nadinspektor i łyknął ostrożnie.

- Ale po co Van Meteren go kopnął?



- Żeby wprowadzić zamieszanie, jak mi się zdaje - powiedział nadinspektor. - Wiedział, że w każdej chwili możemy wejść i nawet gdybyśmy zatrzymali tamtych dwóch panów z walizką i bronią na ulicy, to byłibyśmy dość blisko, a Grijpstra z kolegami czuwali jeszcze na zapleczu. Beuzekom i Ringma byli oczywiście w pułapce, ale Van Meteren też. Musiał postarać się zniknąć, zanim my się zjawimy, a w obecności przytomnego Beuzekoma i Ringmy nie mógł ni stąd, ni zowąd zacząć uciekać. Obaj byli podekscytowani i uzbrojeni w pistolety automatyczne.

- Tak, tak - powiedział komisarz - musiał ich wykluczyć z gry. I najlepiej było sprowokować ich do strzelania, niecelnego rzecz jasna. Na odgłos strzałów mieliście nadbiec i zająć się nimi, a w zamieszaniu on miał prysnąć w las.

- Właśnie, w las - powiedział nadinspektor.

- Dawny termin policyjny - powiedział komisarz - usłyszałem go na swoim pierwszym w życiu kursie. „Podejrzanego, przeciw któremu nie ma żadnych dowodów, należy jak najprędzej wypuścić w las”.

- Istotnie - powiedział nadinspektor - a las oznacza wolny świat. I Van Meteren tam teraz jest.

- I wyszedł bocznymi drzwiami.

- Właśnie, panie komisarzu. Te boczne drzwi prowadzą na inny korytarz. Tamten korytarz wiedzie do tylnych drzwi, przez nie wychodzi się do ogrodu. Można też zejść po schodach do piwnicy. Piwnica ma znowuż dwa wyjścia na ulicę i jedno na ogród. Stare domy składają się z korytarzy i schodków, drzwi dolnych i górnych, można iść w dowolnym kierunku, a kiedy kto ściga człowieka, na pewno go nie osaczy. Żaden korytarz nie kończy się ślepo, zawsze jest jakieś wyjście.

- A Van Meteren nie był nawet ścigany - powiedział komisarz. - Pewnie odszedł spacerowym kroczkiem.

- Niosąc sto dwadzieścia tysięcy w kieszeni - dodał nadinspektor.

Komisarz zaczął się śmiać.

- Wszystko - pieniądze rzetelnym trudem zarobione przez naszych dwóch panów. Cały kapitał zakładowy firmy

Beuzekom & Co. Wspaniałe.

Nadinspektor wziął garść orzeszków i włożył je do ust.

- Wspaniałe - powiedział.

- Proszę? - spytał komisarz.

Nadinspektor pokazał na swoje usta i zaczął pośpiesznie przeżuwać.

- Spokojnie - powiedział komisarz - tymi orzeszkami można się paskudnie zakrztusić. Mojej żonie dopiero co się to przytrafiło. Musiałem dłuższy czas walić ją w plecy.

Nadinspektor pociągnął jeszcze łyk, przełknąwszy orzeszki.

- Proszę jeszcze kieliszeczek - powiedział komisarz i dołał mu z karafki, którą postawiła koło jego fotela żona.

- A policjanci na Haarlemmerstraat nic nie zauważyli?

- Owszem, panie komisarzu - powiedział nadinspektor

- to jest najgorsze ze wszystkiego. Widzieli, jak sobie odchodzi, ale myśleli, że on jest razem z nami. Podobno im nawet pomachał ręką, ale to już musieli zmyślić, żeby się z nami drażnić.

- To nie powiedzieliście im, że Van Meteren też jest podejrzany?

- Nie - powiedział nadinspektor i wziął jeszcze garść orzechów.

- Aha - powiedział komisarz.

- Moja wina, panie komisarzu. Sądziłem, że to nie będzie konieczne. Koło Van Meterena stale było kilku wywiadowców.

- Nie - powiedział komisarz.

Nadinspektor spojrzał na niego pytająco.

- To nie o to chodzi. Nie sądzę, żeby można było mówić o czyjejkolwiek winie. Van Meteren to policjant, i to prawdziwy. Ja zawsze miałem uczucie, że on jest razem z nami, nawet kiedy siedział przede mną jako podejrzany. A kiedy ktoś jest razem z tobą, nie zwracasz na niego uwagi.

Kiedy godzinę później karafka zaczęła się robić pusta, komisarz po raz pierwszy rzucił termin „force majeure”.

Nadinspektor ucieszył się z tego, ale nie podjął tego tematu.

Rozmowa potoczyła się w innym kierunku. Omawiali możliwości ucieczki, jakie miał Papuas.

- Ukradzionym samochodem może przekroczyć granicę z Belgią - powiedział komisarz - jest tyle różnych dróg.

- I ma mnóstwo pieniędzy - powiedział nadinspektor - może kupić sobie paszport i z Paryża odlecieć do Indonezji albo do Hongkongu, to bezpieczniejsze. Interpol zawiadomiony, wszędzie będą wypatrywać czarnego człowieka lecącego do Dżakarty.

- Na pewno poleci okreśną drogą - powiedział komisarz - ten człowiek zastanawia się nad tym, co robi. Dużym objazdem, może nawet przez zachód. Jako Czarny może lecieć do Surinamu, a stamtąd dalej.

- I o tym pomyśleliśmy - powiedział nadinspektor.

- Jeżeli my pomyśleliśmy, to on też pomyślał - powiedział komisarz - na pewno znajdzie coś oryginalnego. Za jakiś czas będzie na Nowej Gwinei, tam kręci się jeszcze parę milionów Papuasów, a między nimi nikt go nie znajdzie. Przecież mówił, że chce się zabawić w pustelnika na jakiejś wysepce.

- Mówił.

Nadinspektor patrzył przed siebie.

- Ale mówił jeszcze inne rzeczy, chciał też zostać królem, królem Habberdudasem Pierwszym, mówił de Gier. Admirałem floty czółen, wojennych czółen, mają tam też takie wielkie z czterdziestoma ludźmi na pokładzie. Może zechce wywalczyć dla tubylców niepodległość.

Komisarz spróbował ostrożnie zmienić pozycję w fotelu.

- Nie, nie - powiedział komisarz - jest zbyt przebiegły, żeby chcieć stać się kimś potężnym. Twierdzą, że za jakiś czas zostanie pustelnikiem i całkiem sam zamieszka na wyspie, jakiejś niegościnnej wyspie, na której nikt mu nie będzie zakłócał spokoju.

- I co on tam będzie robił? - zapytał nadinspektor.

Karafka była całkiem pusta, kiedy nadinspektor ponowił pytanie.

- No cóż - powiedział komisarz - a co takiego robią pustelnicy? Medytują. Siedzą bez ruchu w jednym miejscu. Był

przecież członkiem tej religijnej fundacji?

- Lipna fundacja - powiedział nadinspektor, ostrożnie wymawiając to słowo.

- Wszystko jest lipne - powiedział z wolna komisarz.

Nadinspektor tego nie słyszał.

- Force majeure - powiedział nadinspektor. - Tak pan się przed chwilą wyraził. Siła wyższa czyni nas wolnymi od winy, działa ponad nami. Anglicy mówią: „zrządzenie boskie”.

- Ach, tak - powiedział komisarz - boskie.

zł 80,-

ISBN 83-07-00531-0

lesiojot